

Tracy Chevalier

DAMA Z JEDNOROŻCEM

Tłumaczył Krzysztof Puławski

To było zamówienie jego życia. Jean Le Viste, piętnastowieczny wielmoża, będący doradcą Króla, chce uczcić wzrost swojej pozycji na Dworze, zlecając Nicolasowi des Innocents wykonanie projektów sześciu gobelinów. Utalentowany i ambitny miniaturzysta pozbywa się wszelkich wątpliwości, dotyczących tego zamówienia, gdy poznaje piękną córkę klienta, Claude. Próbując ją uwieść, coraz bardziej wikła się w cienką sieć zależności między małżonkami Le Viste, ich dziećmi oraz służbą.

To były całkowicie nowatorskie projekty Georges de la Chapelle, znany brukselski tkacz, podejmuje się największego wyzwania w swojej zawodowej karierze. Nigdy wcześniej tyle nie ryzykował. Nagle wraz z rodziną staje się częścią wymyślonego świata miłosnych intryg i coraz bardziej daje się weń wciągnąć w swojej rozgrywce z wyzwaniem oraz niesfornym paryskim malarzem.



I

Paryż

Wielki Post – Wielkanoc 1490

Nicolas des Innocents

Posłaniec powiedział, że mam przyjść natychmiast. Właśnie taki jest Jean Le Viste — oczekuje, że wszyscy będą od razu wykonywać jego polecenia.

Tak też zrobiłem. Poszedłem za posłańcem, zwlekając tylko chwilę, żeby umyć pędzle. Zamówienie od Jeana Le Viste oznacza jedzenie na wiele tygodni. Tylko Król mówi „nie” Jeanowi Le Viste, a ja z pewnością nie jestem królem.

Z drugiej strony, ileż to razy spieszyłem na drugą stronę Sekwany na rue du Four, a potem wracałem bez zamówienia. Nie znaczy to, że Jean Le Viste jest niestały — wręcz przeciwnie, jest tak trzeźwy i twardy, jak niegdyś jego ukochany Ludwik XI. I bez poczucia humoru. Nigdy z nim nie żartuję. Z prawdziwą ulgą wymykam się z jego domu do najbliższej gospody, żeby się napić, pośmiać i wyobrazić jakąś dziewczkę, co mi pomaga dojść do siebie.

On wie, czego chce. Ale czasami, kiedy przychodzę, żeby omówić kolejny herb na kominek, malowidło na drzwiach powozu jego żony czy witraże do jego rodzinnej kaplicy — ludzie powiadają, że herb Le Viste'ów jest tak prosty jak końskie łajno — urywa nagle, potrząsa głową i mówi, marszcząc brwi: „To wcale nie jest potrzebne. Nie powinienem zajmować się takimi głupstwami. Idź już”. A ja idę, czując się winny z powodu tych malowideł, chociaż to on chciał o nich rozmawiać.

W domu przy rue du Four byłem już z pół tuzina razy. Nie

jest to miejsce, które robi duże wrażenie. Mimo otaczających go terenów dom zbudowano tak, jakby się znajdował w środku miasta; pokoje są długie i zbyt wąskie, ściany za ciemne, a stajnie znajdują się zbyt blisko — w całym budynku czuć końmi. W takich domach — wystarczająco paradnych, ale źle usytuowanych — mieszkają rodziny, które wkupiły się w łaski Dworu. Jean Le Viste pewnie myśli, że mu się powiodło, ale Dwór śmieje się z niego za jego plecami. Powinien mieszkać w pobliżu Króla i Notre Dame, a nie poza murami miejskimi na podmokłych terenach otaczających Saint-Germain-des-Prés.

Kiedy przybyłem na miejsce, zarządca nie zaprowadził mnie do prywatnej komnaty — obwieszonego mapami pomieszczenia, gdzie Jean Le Viste zajmuje się sprawami Króla i Dworu, a także swojej rodziny — ale do Sali Paradnej, gdzie LeViste'owie przyjmują gości i urządzają przyjęcia. Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Była to długa komnata z wielkim paleniskiem na samym końcu i dębowym stołem, który ciągnął się w jego stronę od środka pomieszczenia. Pomijając kamienny herb wiszący na ścianie przy kominku i drugi, namalowany nad drzwiami, brakowało tu ozdób, chociaż sufit wyłożono ładnie rzeźbionym drewnem.

Niezbyt to paradne, pomyślałem, rozglądając się dookoła. Chociaż otwarto okiennice, to nikt nie rozpalił ognia i w tym pustym wnętrzu było po prostu zimno.

— Zaczekaj na mojego pana — powiedział zarządca i spojrzał na mnie pełnym niechęci wzrokiem. W tym domu albo się szanowało artystów, albo okazywało się im pogardę.

Odwróciłem się do niego plecami i spojrzałem przez wąskie okno na doskonale widoczne wieże Saint-Germain-des-Prés. Niektórzy mówią że Jean Le Viste wziął ten dom, aby jego pobożna żona miała blisko do kościoła.

Usłyszałem otwierające się drzwi, więc obróciłem się w ich stronę, gotowy do ukłonu. Ale była to tylko służąca, która uśmiechnęła się głupio, widząc, jak się zginam. Wyprostowałem się i patrzyłem, jak idzie z kubelkiem, który obijał się o jej nogę. Przyklękła przy palenisku i zaczęła wygarniać z niego popiół.

Czy to ta? Próbowałem to sobie przypomnieć — wtedy za stajnią było dosyć ciemno. Wydawała mi się teraz grubsza i wyglądała ponuro ze ściągniętymi brwiami, ale miała przyjemne liczko. Uznałem, że warto do niej zagadać.

— Zaczekaj chwilę — rzuciłem, kiedy wstała niezdarnie i ruszyła w stronę drzwi. — Usiądź i daj odpocząć nogom. Opowiem ci pewną historię.

Dziewczyna zatrzymała się gwałtownie.

— Tę o jednorożcu?

To była ta. Otworzyłem usta, ale ona już przyskoczyła bliżej.

— A czy w tej historii będzie o tym, że kobieta robi się coraz grubsza, bo ma dziecko? I że może stracić pracę?

Więc dlatego tak utyla. Znowu odwróciłem się do okna.

— Powinnaś była bardziej uważać.

— Przede wszystkim w ogóle nie powinnam ciebie słuchać. Powinnam ci była powiedzieć, żebyś wsadził sobie jęzor w tyłek.

— Bądź tak miła i idź sobie. Proszę. — Wsadziłem rękę do kieszeni, wyjąłem parę monet i rzuciłem je na stół. — To na dziecko.

Dziewczyna podeszła i plunęła mi w twarz. Zanim zdążyłem wytrzeć plwociny, zniknęła. I to razem z pieniędzmi.

Chwilę później pojawił się Jean Le Viste w towarzystwie Leona Le Vieux. Większość klientów korzysta z usług kupców takich jak Léon w charakterze pośredników, którzy targują się za nich, spisują warunki umowy, a także wykładają pieniądze na rozpoczęcie pracy, kupują materiały i sprawdzają postępy robót. Miałem już do czynienia z tym starym kupcem, kiedy malowałem scenę Zwiastowania na ścianie kominkowej w pokoju żony Jeana Le Viste, a także przy pracach nad witrażami do kaplicy w ich zamku koło Lyonu.

Léon cieszy się wielkimi względami Le Viste'ów. Ja go szanuję, ale trudno powiedzieć, że bym lubił. Pochodzi on z rodziny o żydowskich korzeniach. Nie ukrywa tego, a wręcz potrafił obrócić to na swoją korzyść, gdyż rodzina Jeana Le Viste też bardzo się zmieniła z upływem czasu. Właśnie dlatego woli Léona

— obaj są ludźmi z zewnątrz, którym się powiodło. Oczywiście Léon dba o to, by dwa lub trzy razy w tygodniu pokazać się wszystkim na mszy w Notre Dame, a Jean Le Viste próbuje zachowywać się jak prawdziwy wielmoża — zamawia dzieła sztuki do domu, wydaje wspaniałe przyjęcia i stara się przypodobać Królowi.

Léon spojrzał na mnie i wykrzywił okolone wąsami i brodą usta w uśmiechu, jakby dostrzegł małpę, która usiadła mi na karku. Zwróciłem się do Jeana Le Viste:

— *Bonjour, Monseigneur*. Chciałeś mnie widzieć, panie. — Ukłoniłem się tak nisko, że aż zaczęło mi pulsować w skroniach. Nigdy nie zaszkodzi skłonić nisko głowę.

Szczęka Jeana Le Viste jest jak topór, a jego oczy jak sztylety. Przesunął nimi po pokoju, a potem utkwiał w oknie nad moim ramieniem.

— Chcę z tobą porozmawiać o zamówieniu, Nicolasie des Innocents — powiedział, obciągając rękawy swojej oblamowanej króliczym futrem i ufarbowanej na czerwono, jak w przypadku sędziów, szaty. — Chodzi o ten pokój.

Rozejrzałem się dookoła, dbając o to, by nie okazywać, co myślę. To była najlepsza strategia w przypadku Jeana Le Viste.

— A o co konkretnie, panie?

— Gobeliny.

Zwróciłem uwagę na liczbę mnogą.

— Być może z twoim herbem, panie. Można by je zawiesić po obu stronach drzwi.

Jean Le Viste tylko się skrzywił. Byłoby lepiej, gdybym w ogóle się nie odezwał.

— Chcę, żeby gobeliny zakryły całą ścianę.

— Całą?

— Tak.

Znowu rozejrzałem się dookoła, ale tym razem uważniej. Sala Paradna była co najmniej na dziesięć kroków długa i na pięć szeroka. Bardzo grube mury zrobiono z okolicznego surowego szarego kamienia. Na jednej z dłuższych ścian znajdowały

się trzy okna, a połowę krótszej zajmowało palenisko. Żeby zakryć wolną przestrzeń, tkacz musiałby pracować parę lat.

— A jaki byłby temat tych gobelinów, *Monseigneur*? Projektowałem już jeden gobelin dla Jeana Le Viste. Oczywiście herb. Było to bardzo proste — należało dostosować wielkość herbu do rozmiaru tkaniny i dodać do tego zielone tło.

Jean Le Viste założył ręce na piersi.

— W zeszłym roku mianowano mnie przewodniczącym Cour des Aides.

Nic mi to nie mówiło, ale wiedziałem, jak powinienem się zachować.

— Tak, panie, to wielki zaszczyt zarówno dla ciebie, jak i całej rodziny.

Léon przewrócił oczami i spojrzał na sufit, a Jean Le Viste zaczął machać ręką jakby chciał rozwiać dym. Wszystko, co mówiłem, zdawało się go drażnić.

— Chcę uczcić to osiągnięcie tymi gobelinami. Ta komnata czekała na taką okazję.

Tym razem się nie spieszyłem.

— Oczywiście herb rodziny jest bardzo ważny.

— Oczywiście, panie.

Jean Le Viste szykował mi jednak niespodziankę.

— Ale nie sam w sobie. W całym domu i nawet tutaj pełno jest herbów. — Wskazał ten nad paleniskiem, nad drzwiami i nawet jeden rzeźbiony na suficie, którego wcześniej nie zauważyłem. — Nie, chcę, żeby było tu coś jeszcze. Jakaś większa scena, która wskazywałaby na moją pozycję na królewskim Dworze.

— Może orszak?

— Nie, bitwa.

— Jaka bitwa?

— Bitwa pod Nancy.

Udawałem, że myślę. Nawet się trochę uśmiechnąłem. Ale prawdę mówiąc, wiedziałem bardzo mało o bitwach, a już zupełnie nic o tej pod Nancy. Nie miałem pojęcia, kto brał w niej udział, kogo zabito i kto wygrał. Widziałem malowidła bitew,

ale sam nigdy ich nie robiłem. Konie, pomyślałem. Będę musiał namalować co najmniej dwadzieścia koni, żeby zakryć te ściany, a w dodatku splątane ręce i nogi oraz zbroje i miecze. Zacząłem się zastanawiać, co sprawiło, że Jean Le Viste — czy raczej Léon — wybrał mnie do tej pracy. Na Dworze znany jestem przede wszystkim jako miniaturzysta, ten, który maluje niewielkie portrety dam, by mogły je ofiarować swoim wybrańcom. Ze względu na delikatność miniatur jest na nie duży popyt. Maluję też tarcze i drzwi powozów dla dam, żeby mieć za co pić, ale moje prawdziwe umiejętności polegają na zmniejszeniu twarzy do rozmiarów kciuka za pomocą paru włosów ze szczeciny dzika i farb zmieszanych z jajecznym białkiem. Potrzeba do tego pewnej ręki, a ta mi nie drgnie nawet po całej nocy picia w Le Coq d'Or. Ale na myśl o namalowaniu dwudziestu koni zacząłem się pocić, chociaż w komnacie było zimno.

— Jesteś pewny, że chodzi ci o bitwę pod Nancy, panie — powiedziałem. Nie zabrzmiało to nawet jak pytanie.

Jean Le Viste zmarszczył brwi.

— A czemu nie miałbym być pewny?

— Właśnie. Nie ma ku temu żadnych powodów — odparłem szybko.

— Ale to będzie duża praca i musisz wiedzieć, że wybrałeś to, czego pragniesz. — Przekląłem się w duchu za te niezręczne słowa.

— Zawsze wiem, czego chcę — prychnął Jean Le Viste. — Ale ty... ty nie wyglądasz na przekonanego do tej pracy. Może powinienem znaleźć kogoś, kto wykonają z większą ochotą.

Jeszcze raz nisko się skłoniłem.

— Ależ nie, *Monseigneur*, oczywiście jestem zaszczycony i wdzięczny za tak wspaniałe zamówienie. Wiem, że nie jestem godny tego, iż właśnie mnie wybrałeś, panie, ale zapewniam, że zrobię wszystko, by cię zadowolić.

Jean Le Viste skinął głową, jakby tak właśnie należało się przed nim płaszczyć.

— Możesz teraz omówić z Leonem szczegóły zamówienia i wymierzyć ściany — rzekł i obrócił się do drzwi. — Pierwsze

szkice chcę dostać przed Wielkanocą, powiedzmy do Wielkiego Czwartku, a potem malowidła do Wniebowstąpienia. Kiedy zostaliśmy sami, Leon Le Vieux zachichotał.

— Ale z ciebie głupiec.

Z Leonem najlepiej od razu przejść do rzeczy, nie zwracając uwagi na jego drwiny.

— Moja zapłata to dziesięć *livres tournois* — cztery teraz, trzy po skończeniu szkiców i trzy, kiedy będę miał gotowe malowidła.

— Pięć *livres parisis* — odparł natychmiast. — Połowa po skończeniu szkiców, a reszta, kiedy dostarczysz malowidła, z których *Monseigneur* będzie zadowolony.

— Nie, niemożliwe. Nie mogę zacząć bez zaliczki. I chcę zapłaty w *livres tournois*. — Tylko Leon mógł próbować czegoś takiego. — Paryskie *livres* są mniej warte.

Leon wzruszył ramionami, a oczy zabłysły mu wesoło.

— Przecież jesteśmy w Paryżu, *n'est-ce pas?* Więc powinniśmy korzystać z *livres parisis*. Właśnie tak lubię.

— Osiem *livres tournois*. Trzy teraz, potem trzy i dwa.

— Siedem. Jutro dam ci dwa, potem dwa i na końcu trzy. Zmieniłem temat — zawsze to lepiej, jeśli kupiec jeszcze trochę poczeka.

— A gdzie powstaną te gobeliny?

— Na północy. Prawdopodobnie w Brukseli. Tam są najlepší tkacze.

Na północy? Aż zadrzałem. Miałem kiedyś pracę w Touraai i tak zniecierpliwienie zobaczyłem pozbawione głębi światło oraz podejrzliwych ludzi, że ślubowałem nigdy więcej nie wyjeżdżać na północ od Paryża. Na szczęście muszę tylko przygotować wzory, a to mogę zrobić na miejscu. Kiedy je skończę, nie będę musiał przejmować się samą produkcją gobelinów.

— *Alors*, co wiesz o bitwie pod Nancy? — spytał Leon. Wzruszyłem ramionami.

— A co za różnica? Wszystkie bitwy są takie same, *n'est-ce pas?*

— To tak, jakby powiedzieć, że wszystkie kobiety są takie same.
Uśmiechnąłem się.

— Powtarzam — wszystkie bitwy są takie same. Léon potrząsnął głową.

— Współczuję twojej przyszłej żonie. Powiedz, co chcesz umieścić na gobelinach?

— Konie, ludzi w zbrojach, sztandary, piki, miecze, tarcze, krew.

— W co będzie ubrany Ludwik XI?

— Oczywiście w zbroję. Być może będzie miał specjalne pióro na hełmie. Prawdę mówiąc, nie wiem, ale znam ludzi, którzy mogą mi to powiedzieć. Sądzę, że niektórzy jeźdźcy będą trzymać królewskie sztandary.

— Mam nadzieję, że twoi przyjaciele są mądrzejsi od ciebie i wiedzą, że Ludwik XI nie brał udziału w tej bitwie pod Nancy.

— O!

Taki właśnie był Léon Le Vieux — lubił robić głupców ze wszystkich wokół, z wyjątkiem swego protektora. Z Jeana Le Viste się nie żartowało.

— *Bon.* — Léon wyjął z kieszeni jakieś papiery i położył je na stole.
— Rozmawiałem już z panem Le Viste o tym, co mają przedstawiać gobeliny, i dokonałem wstępnych pomiarów. Oczywiście będziesz musiał to zrobić dokładniej. Proszę. — Wskazał sześć naszkicowanych prostokątów. — Mamy tu przestrzeń na dwa dłuższe i cztery krótsze. Bitwa przebiegała następująco. — I zaczął szczegółowo wyjaśniać, podsuwając mi pomysły na kolejne gobeliny: dwa wrogie obozy, początkowe uderzenie, dwie sceny z wojennym chaosem, a na końcu śmierć Karola Śmiałego i triumfalny pochód zwycięzców.

Chociaż słuchałem i robiłem szkice, to jednak czułem się tak, jakbym patrzył na siebie z boku i zastanawiał się, na co się godzę. Na tych gobelinach nie będzie kobiet ani niczego miniaturowego i delikatnego, niczego, co maluję z taką łatwością. Okupię zarobek potem i długimi godzinami spędzonymi przy pracy.

— Jak skończysz malowidła, twoja praca będzie ukończona — przypomniał mi Léon. — Zawiozę je na północ do tkaczy, a ich rysownik powiększy je, by można było z nich korzystać przy tkaniu.

Powinienem być zadowolony, że nie będę musiał malować wielkich koni, ale nagle zapragnąłem bronić swego dzieła.

— Skąd mam wiedzieć, że rysownik będzie dobrym artystą? I że nie zepsuje moich projektów?

— Nie zmieni tego, co będzie odpowiadać panu Le Viste. Wprowadzi tylko takie zmiany, które pomogą przy tkaniu i wzbogacą projekt. Nie robiłeś zbyt wielu gobelinów, prawda, Nicolas? Tylko herby, co?

— Które od razu malowałem we właściwej skali. Nie potrzebowałem pomocy rysowników. Z pewnością mogę zrobić to samo w przypadku tego zamówienia.

— Te gobeliny to nie herby. Będziemy potrzebowali wyszkolonego rysownika. *Tiens*, zapomniałem o jednej rzeczy. Pamiętaj, żeby umieścić herb Le Viste'ów na wszystkich gobelinach. *Monseigneur* osobiście na to nalegał.

— Czyżby *Monseigneur* rzeczywiście tam walczył? Léon zaśmiał się.

— Jean Le Viste bez wątpienia służył wtedy Królowi w zupełnie innej części Francji. To nie ma znaczenia, po prostu umieść jego herb na sztandarach i tarczach. Być może zechcesz zobaczyć rysunki tej i innych bitew. Jeśli tak, to idź do drukarni Gerarda przy rue Vieille du Temple — ma on książkę z rycinami z bitwy pod Nancy. Powiem mu, że może się ciebie spodziewać. Teraz zostawię cię, żebyś mógł dokonać pomiarów. Przyjdź do mnie, gdybyś miał problemy. I przynieś mi rysunki przed Niedzielą Palmową. Jeśli będę chciał jakichś zmian, zdążysz je wprowadzić, zanim pokażesz swoje prace panu Le Viste.

Było jasne, że Léon Le Vieux jest oczami swego pana i jeśli jemu spodobają się moje rysunki, to Le Viste też je zaakceptuje.

Nie mogłem powstrzymać się przed postawieniem ostatniego pytania.

— Dlaczego wybrałeś mnie do tej pracy?

Léon okrył się szczerzej swoją zwykłą brązową szatą bez futra.

— Nie wybrałem. Gdyby to ode mnie zależało, znalazłbym kogoś, kto ma większe doświadczenie z gobelinami. Albo od razu pojechałbym do tkaczy — niektórzy z nich mają gotowe projekty. Tańsze i ładne. — Léon był zawsze szczery.

— Więc dlaczego pan Le Viste mnie wybrał?

— Wkrótce sam się przekonasz. *Alors*, przyjdź do mnie jutro, a przygotuję umowę do podpisu i pieniądze.

— Nie zgodziłem się jeszcze na warunki.

— Och, myślałem, że tak. Są takie zamówienia, których nie można odrzucić. To jest jedno z nich, Nicolasie des Innocents. — Spojrzał jeszcze na mnie i wyszedł.

Miał rację. Rozmawiałem z nim tak, jakbym już podjął się tej pracy. Poza tym warunki wcale nie były złe. Léon za bardzo się ze mną nie targował. Zacząłem się zastanawiać, czy nie myśli jednak o paryskich *livres*.

Spojrzałem na ściany, które miałem z przepychem ubrać. Dostałem dwa miesiące na to, by narysować i namalować dwadzieścia koni wraz z jeźdźcami! Stałem w jednym końcu komnaty i przemierzyłem jąkrokami. Naliczyłem dwanaście. Potem zmierzyłem jej szerokość i wyszło mi sześć kroków. Przystawiłem krzesło do jednej ze ścian i wszedłem na nie, ale nawet z tej pozycji nie zdołałem dosięgnąć sufitu. Odstawiłem krzesło i po chwili wahania wlałem na dębowy stół. Wyciągnąłem rękę, ale do sufitu brakowało mi co najmniej całej mojej wysokości.

Zacząłem się zastanawiać, gdzie znajdę tak długą tyczkę, żeby obmierzyć tę komnatę, kiedy nagle usłyszałem, że za mną ktoś coś nuci, i się odwróciłem. W drzwiach stała dziewczyna i przyglądała mi się uważnie. Śliczna dziewczyna — miała jasną skórę, wysokie czoło, długi nos, włosy koloru miodu, jasne oczy. Nigdy wcześniej nie widziałem takiej dziewczyny. Przez chwilę nie mogłem wydusić z siebie słowa.

— Witaj, piękna — powiedziałem w końcu.

Dziewczyna zaśmiała się i skoczyła z jednej nogi na drugą. Miała na sobie prostą niebieską sukienkę z obcisłym stanikiem, wąskimi rękawami i wyciętym w kwadrat dekoltem. Skrojono ją dobrze ze świetnej wełny, ale brakowało na niej ozdób. Szal dziewczyny też był prosty, a długie włosy opadały jej prawie do talii. W porównaniu z dziewczką która sprzątała palenisko, prezentowała się za dobrze, żeby być służącą. Może była dworką?

— Pani domu chce cię widzieć — powiedziała, a potem odwróciła się i uciekła ze śmiechem.

Nie ruszyłem się z miejsca. Lata doświadczeń nauczyły mnie, że psy, sokoły i damy zawsze wracają jeśli zostanie się tam, gdzie się jest. Słyszałem, jak przebiegła przez następny pokój, a potem się zatrzymała. Po chwili wyraźniej usłyszałem jej kroki i znowu zobaczyłem ją w drzwiach.

— Idziesz? — Wciąż się uśmiechała.

— Pójdę, piękna, jeśli zechcesz mi towarzyszyć i nie będziesz uciekać, jakbym był jakimś smokiem.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

— Chodź. — Skinęła zapraszająco i tym razem zeskoczyłem ze stołu.

Musiałem iść szybko, żeby za nią nadążyć. Biegła z komnaty do komnaty, jej spódnica furkotała, jakby owiewał ją jakiś tajemny wiatr. Z bliska pachniała czymś słodkim i aromatycznym, zmieszonym z potem. Poruszała ustami, jakby coś żuła.

— Co masz w ustach, piękna?

— Boli mnie ząb. — Dziewczyna wyciągnęła język. Na jego różowym końcu leżał goździk. Ten widok sprawił, że stwardniałem. Chciałem ją wyobrazić.

— Och, to bardzo nieprzyjemne. — Wysnę go, żeby nie bolało. — Czemu twoja pani chce mnie widzieć?

Dziewczyna spojrzała na mnie z rozbawieniem.

— Myślę, że sama ci powie. Zwolniłem trochę.

— Po co się spieszyć? Przecież nie będzie miała pretensji, jeśli przez chwilę porozmawiamy.

— O czym chcesz rozmawiać? — Dziewczyna zwróciła się w stronę schodów.

Skoczyłem na schody tuż przed nią, żeby nie mogła wejść na górę.

— Czy masz ulubione zwierzęta?

— Zwierzęta?

— Nie chcę, żebyś myślała, że jestem smokiem. Już raczej jakimś zwierzęciem, które lubisz.

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę.

— Może papugą? Lubię papugi. Mam cztery i wszystkie jedzą mi z ręki. — Minęła mnie i stanęła wyżej na schodach. Nie szła dalej. Tak, pomyślałem. Wystawiłem na pokaz to, co mam, a ona przyszła to obejrzeć. Chodź bliżej, kochanie. Zobacz moje piórka. Weź je do ręki.

— Nie chcę być papugą — powiedziałem. — Nie uważasz mnie chyba za skrzekacza i naśladowcę?

— Moje papugi nie skrzeczą. A przecież jesteś artystą *n'est-ce-pas?* Czy artyści nie naśladowują życia?

— Ja czynię rzeczy znacznie piękniejszymi, niż są w rzeczywistości, chociaż są takie, których nie poprawi się farbą. — Obszedłem ją i stanąłem trzy stopnie wyżej. Chciałem sprawdzić, czy do mnie przyjdzie.

Zrobiła to. Oczy wciąż miała szeroko otwarte i czyste, ale na jej ustach pojawił się chytry uśmieszek. Przesunęła językiem goździk od jednego policzka do drugiego.

Będę cię miał, pomyślałem. Będę.

— Więc może jesteś lisem — powiedziała. — W twoich brązowych włosach są rude pasemka.

Zrobiłem kwaśną minę.

— Jak możesz być tak okrutna? Czy wyglądam na krętacza? Czy mógłbym kogokolwiek oszukać? Czy przemykam bocznymi ścieżkami? Już raczej jestem psem, który układa się u nóg swojej pani i zawsze jest jej wierny.

— Psy wymagają zbyt dużej uwagi — rzekła dziewczyna. — A poza tym, kiedy skaczą mogą mi ubłocić łapami suknię. —

Minęła mnie i już się nie zatrzymała. — Chodź, moja pani czeka. Nie powinniśmy zwlekać.

Musiałem się spieszyć — zmarnowałem zbyt dużo czasu na inne zwierzęta.

— Wiem, kim chcę być — wydyszałem, biegnąc za nią.

— Kim?

— Jednorożcem. Słyszałaś o jednorożcach? Dziewczyna dotarła do szczytu schodów i zabrała się do

otwierania kolejnych drzwi.

— Wiem, że lubią kłaść głowy na dziewczęcych podołkach — prychnęła. — Też to lubisz?

— Och, nie myśl o mnie tak źle. Jednorożec potrafi znacznie więcej. Jego róg ma szczególną moc. Wiedziałaś o tym?

Dziewczyna zwolniła, żeby na mnie popatrzeć.

— Jaka?

— Jeśli studnia jest zatruta...

— Tam jest studnia! — Zatrzymała się i pokazała widoczne przez okno podwórze. Jakaś dziewczynka stała pochylona nad studnią i zaglądała do jej wnętrza, a słońce barwiło jej włosy złotym blaskiem.

— Jeanne zawsze tak robi — wyjaśniła dziewczyna. — Lubi patrzeć na własne odbicie.

Spojrzelśmy na nią a ona splunęła w głąb studni.

— Gdyby ta studnia była zatruta, moja piękna, albo zanieczyszczona, jak przed chwilą wystarczyłoby, że jednorożec zanurzyłby w niej swój róg i znów stałaby się czysta. Co o tym myślisz?

Dziewczyna przesunęła goździk językiem.

— A co mam myśleć?

— Chcę, żebyś myślała o mnie jak o swoim jednorożcu. Są okresy, kiedy nawet ty, piękna, jesteś zbrukana. Jak każda kobieta. To kara za grzech Ewy. Ale możesz znowu być czysta, jeśli tylko co miesiąc pozwolisz mi się sobą zająć. — Będę zagłębiał się w tobie, aż zaczniesz się śmiać i krzyzczeć. — Wtedy co miesiąc będziesz wracać do Raju.

To ostatnie zdanie nigdy mnie nie zawiodło, kiedy polowałem na kobiety — urzekło je to, że można tak łatwo tam trafić. Zawsze otwierały przede mną uda w nadziei, że znajdą Raj. Niektórym być może się udało.

Dziewczyna zaśmiała się, tym razem nieco ochryple. Była gotowa. Wyciągnąłem rękę, by ją uścisnąć i przypieczętować naszą wymianę.

— Claude? To ty? Dlaczego zajęło to tyle czasu?

W otwartych drzwiach po drugiej stronie pokoju stała kobieta z rękami założonymi na piersi i patrzyła na nas. Opuściłem dłoń.

— *Pardon, Maman.* To właśnie on. — Claude odsunęła się na bok i wskazała mnie, a ja się ukloniłem.

— Co masz w ustach? — spytała kobieta. Claude przełknęła ślinę.

— Goździk. To na ząb.

— Powinnaś żuć miętę. Jest lepsza na ból zęba.

— *Oui, Maman.* — Claude znowu się roześmiała, zapewne na widok mojej miny. Odwróciła się i wybiegła z komnaty, trzaskając drzwiami. Pokój rozbrzmiewał odgłosem jej kroków.

Zadrzałem. Właśnie próbowałem uwieść córkę Jeana Le Viste.

Od kiedy zacząłem przychodzić na rue du Four, widziałem trzy panny Le Viste tylko z daleka: jak biegały po podwórku, wyjeżdżały gdzieś konno lub szły z grupą kobiet do Saint-Ger-main-des-Prés. Oczywiście młodsza dziewczyna przy studni też była jedną z nich — gdybym był uważniejszy, poznałbym po włosach i postawie, że jest siostrą Claude. Wówczas domyśliłbym się, kim są i nigdy nie powiedziałbym Claude o jednorozcu. Aleja nie myślałem o tym, kim jest, tylko jak ją zwabić do łóżka.

Wystarczy, że Claude powtórzy ojcu to, co powiedziałem, a wyrzucą mnie stąd na zbity pysk. I nigdy już jej nie zobaczę.

Pragnąłem jej bardziej niż czegokolwiek i nie chodziło mi tylko o łóżko. Chciałem leżeć z nią przy boku i rozmawiać, dotykać jej włosów i ust, doprowadzając do śmiechu. Zastanawiałem się,

dokąd mogła pobiec w tym domu. Nigdy mnie tam nie wpuszczą — paryski artysta nie ma prawa do córki wielmoży. Trwałem w bezruchu, myśląc o tym wszystkim. Być może

chwile za długo. Stojąca w drzwiach kobieta poruszyła się, tak że różaniec u jej pasa uderzył o guziki przy rękawach sukni, a ja porzuciłem swoje myśli. Patrzyła na mnie, jakby domyślała się wszystkiego, co działo się w mojej głowie. Nic jednak nie powiedziała, tylko pchnęła drzwi i wycofała się w głąb komnaty. Poszedłem za nią.

Malowałem miniatury do komnat wielu dam — a ta nie różniła się tak bardzo od innych. Stało tu łóżko z kasztanowca z baldachimem z żółtego i niebieskiego jedwabiu. Były też dębowe krzesła z wyszywanymi poduszkami, stojące w półkołu. Na stoliku przy ścianie znajdowały się butelki, a także szkatułka z klejnotami i kilka szuflad na stroje. Otwarte okno stanowiło oprawę kościoła Saint-Germain-des-Prés. W kącie zgromadziły się jej damy dworu, zajęte wyszywaniem. Uśmiechnęły się do mnie, jakby były jedną a nie pięcioma osobami, a ja zganiałem siebie w duchu za to, że uznałem Claude za jedną z nich.

Genevieve de Nanterre — żona Jeana Le Viste i pani domu

— usiadła przy oknie. Nie ulegało wątpliwości, że kiedyś była tak piękna jak jej córka. Wciąż była przystojną kobietą z szerokim czołem i delikatnym podbródkiem, ale podczas gdy twarz Claude miała kształt serca, jej stała się trójkątna. Piętnaście lat, by wyprostować linie, mocniej osadzić szczękę i dodać zmarszczek żonie Jeana Le Viste. Oczy miała jak czarne porzeczeki, a Claude jasne niczym pigwa.

Ale przynajmniej w jednym względzie zdołała zaćmić córkę. Jej suknia była bogatsza — zrobiona z kremowego i zielonego brokatu ze skomplikowanym wzorem z kwiatów i liści. Nosila naszyjnik z pięknych klejnotów, a włosy miała przybrane jedwabiem i perłami. Trudno by ją było pomylić z dworką — ubierała się jak osoba nawykła do służby.

— Byłeś już w Sali Paradnej i rozmawiałeś z moim mężem o gobelinach — powiedziała.

— Tak, pani.

— Jak rozumiem, chce, żeby była na nich bitwa.

— *Oui, Madame.* Bitwa pod Nancy.

— A jakie sceny będą przedstawiać te gobeliny?

— Jeszcze nie wiem dokładnie, pani. Dopiero się o wszystkim dowiedziałem. Teraz muszę się do szkiców, zanim zdecyduję.

— Czy będą tam rycerze?

— Tak, z pewnością.

— Konie.

— *Oui, Madame.*

— Krew?

— *Pardon?*

Genevieve de Nanterre machnęła ręką.

— Przecież to bitwa. Czy z ran będzie lała się krew?

— Myślę, że tak, *Madame.* Oczywiście Karol Śmiały zostanie zabity.

— Czy brałeś kiedyś udział w bitwie, Nicolasie des Innocents?

— Nie, pani.

— Chciałabym, żebyś przez moment pomyślał, że jesteś rycerzem.

— Ale ja jestem nadwornym miniaturzystą.

— Wiem, ale na chwilę stań się rycerzem, który walczył pod Nancy. Straciłeś tam rękę. Teraz siedzisz ze mną i z moim mężem w Sali Paradnej. Obok masz żonę, swoją śliczną młodą żonę, która pomaga ci dlatego, że jesteś kaleką — łamie chleb, przypasuje miecz, pomaga wsiadać na konia. — Genevieve de Nanterre mówiła rytmicznie, jakby śpiewała kołysankę. Czułem się tak, jakbym płynął w dół rzeki, nie mając pojęcia, gdzie mogę dotrzeć.

Czy ona nie jest trochę szalona?, pomyślałem. Genevieve de Nanterre skrzyżowała ramiona i przechyliła głowę.

— Podczas jedzenia patrzysz na gobeliny przedstawiające bitwę, w czasie której straciłeś rękę. Widzisz, jak zabijają Karo-

la Śmiałego. Twoja żona patrzy na płynącą z ran krew. Wszędzie pełno jest flag Le Viste'ow. Ale gdzie jest Jean Le Viste? Próbowałem sobie przypomnieć to, co mówił Léon.

— *Monseigneur* służył wtedy Królowi.

— Tak. W czasie bitwy mój mąż i Król byli bezpieczni w Paryżu, daleko od Nancy. I jak byś się czuł jako ten rycerz, wiedząc, że Jean Le Viste nie brał udziału w bitwie, a mimo to wszędzie są jego flagi?

— Pomyślałbym, że *Monseigneur* jest bardzo ważny, skoro został wraz z Królem. Jego rada jest ważniejsza niż miecz.

— Ach, to bardzo dyplomatyczna odpowiedź, Nicolasie. Jesteś lepszym dyplomata niż mój mąż. Obawiam się jednak, że nie jest to dobra odpowiedź. Przemyśl to i powiedz, co tak naprawdę pomyśli ten rycerz.

Już wiedziałem, gdzie płynie ta spieniona słowami rzeka, która mnie niosła. Nie wiedziałem tylko, co czeka mnie na brzegu.

— Poczuj się dotknięty, pani. On i jego żona. Genevieve de Nanterre skinęła głową.

— Tak, właśnie.

— Ale to nie powód...

— *De plus*, nie chcę, by moje córki patrzyły na rzeź, bawiąc gości. Spotkałeś Claude... Czy chciałbyś, żeby w czasie jedzenia patrzyła na ranę w końskim boku czy rycerza z odciętą głową?

— Nie, *Madame*.

— I nie będzie.

Siedzące w kącie dworki zaczęły się do mnie głupio uśmiechać. Genevieve de Nanterre przywiodła mnie tam, gdzie chciała. Była sprytniejsza niż większość żon wielmożów, które malowałem. Dlatego chciałem jej się przypocholebić. To mogło okazać się jednak niebezpieczne.

— Nie mogę zrobić niczego wbrew woli pana, *Madame*. Genevieve de Nanterre wyprostowała się na krześle.

— Powiedz, Nicolasie, czy wiesz, kto wybrał cię do tej pracy?

— Nie, pani.

— Ja.

Popatrzyłem na nią ze zdziwieniem.

— Dlaczego, *Madame!*

— Widziałam twoje miniatury dam ze Dworu. Potrafisz zrobić coś, co mi się podoba.

— Co takiego, pani?

— Oddać ich duchową naturę. Skłoniłem się jej zaskoczony.

— Dziękuję, *Madame.*

— Claude przydałoby się więcej przykładów tej duchowej natury. Próbuje podsuwać je córce, ale nie chce mnie słuchać.

Zamilkła na chwilę. Przystąpiłem z nogi na nogę.

— Co... co miałbym namalować zamiast bitwy, *Madame?* Oczywiście Genevieve de Nanterre załśniły.

— Jednorożca. Zamarłem.

— Damę z jednorożcem — dodała.

Musiała słyszeć moją rozmowę z Claude. Musiała ją słyszeć, gdyż inaczej nie zaproponowałyby czegoś takiego. Czy słyszała, jak chcę uwieść jej córkę? Staralem się tego domyślić z jej miny. Wyglądała na zadowoloną z siebie czy może ze swojego psikusa. Jeśli wiedziała, mogła powiedzieć Jeanowi Le Viste, że próbowałem uwieść ich córkę (jeśli wcześniej nie zrobiła tego sama Claude), a wtedy stracę zamówienie. I nie tylko — Genevieve de Nanterre może zniszczyć moją reputację na Dworze i już nigdy nie namaluję żadnej miniatury.

Nie miałem wyjścia—musiałem spróbować ją odbruchać.

— Lubisz jednorożce, *Madame?*

Jedna z dwerek zachichotała. Genevieve de Nanterre zmarszczyła brwi i dziewczyna umilkła.

— Nigdy żadnego nie widziałam, więc skąd mam wiedzieć? Nie, myślę o Claude. Lubi je, a jako najstarsza córka odziedziczy te gobeliny. Więc niech przynajmniej ma to, co lubi.

Słyszałem już o tym, że rodzinie brakuje dziedzica i jak bar-

dzo musi boleć Jeana Le Viste to, że nie ma komu przekazać swego ukochanego herbu. Jego żona musi czuć się winna tego, że mają trzy córki. Spojrzałem na nią bardziej życzliwie.

— Co miałyby robić ten jednorożec, pani? Genevieve de Nanterre machnęła ręką.

— Sam powiedz.

— Mężczyźni mogliby na niego polować. To spodobałoby się panu.

Potrząsnęła głową.

— Nie chcę koni i krwi. A Claude nie byłaby zadowolona, gdyby jednorożec zginął.

Nie mogłem ryzykować opowieści o magicznym rogu. Powtórzyłbym w ten sposób to, co powiedziałem Claude.

— Dama mogłaby chwytać jednorożca. Gobeliny pokazywałyby, jak wabi go w lesie muzyką, jedzeniem i kwiatami. A na koniec położyłby głowę na jej podołku. To znana historia.

— Może. Oczywiście spodobałoby się to Claude. Dopiero zaczyna swoje dorosłe życie. Ale dziewczyna, która próbuje okiełznać jednorożca, to może być odpowiedni temat. Chociaż może mnie to zasmucić tak bardzo, jakbym patrzyła na sceny z bitwy. — Ostatnie słowa powiedziała prawie do siebie.

— Dlaczego, *Madame*?

— To wszystko dotyczy uwodzenia, młodości, miłości. Cóż to dla mnie znaczy? — Starła się sprawiać takie wrażenie, jakby jej na tym nie zależało, ale w jej głosie pobrzmiwał żal.

Nie dzieli łoża ze swoim mężem, pomyślałem. Urodziła mu córki i na tym skończyła się jej rola. Nie sprawdziła się — nie dała mu synów. Teraz jest od niego odcięta i nic jej nie zostało. Zwykle nie współczuję wielkim damom, które zawsze mają co jeść, mają ciepłą komnatę i służące na skinienie ręki, ale tym razem zrobiło mi się żal Genevieve de Nanterre. Nagle zobaczyłem siebie za dziesięć lat — po długich podróżach, ciężkich zimach i chorobach — samotnego w zimnym łóżku, z bólem rąk i nóg oraz poskręcanyimi palcami, w których nie będę mógł utrzymać pędzla. Co się stanie ze mną pod koniec okresu, kiedy

przestanę być użyteczny? Wtedy zacznę wyglądać śmierci. Ciekawe, czy ona też o tym pomyślała?

Patrzyła na mnie swymi smutnymi, mądrymi oczami.

W tych gobelinach będzie coś z niej, przyszło mi nagle do głowy. Nie będą dotyczyły tylko wabienia jednorożca w lesie, ale czegoś jeszcze, i nie dziewicy, ale kobiety, która ponownie stanie się dziewicą, tak żeby gobeliny dotyczyły całego jej życia, od początku aż do końca. Wszystkie jej wybory połączone w jedno. Tak właśnie zrobię. Uśmiechnąłem się do niej.

Na wieży Saint-Germain-des-Pres zadzwonił dzwon.

— Seksta, pani — powiedziała jedna z dworek.

— Pójdę — rzekła Genevieve de Nanterre. — Straciłyśmy już dzisiaj inne nabożeństwa, a nie mogę pójść na nieszpór — mam się udać na Dwór z moim panem. — Wstała z krzesła, a inna dama dworu przyniosła jej szkatułkę. Uniosła ręce i rozpięła naszyjnik, który jeszcze przez chwilę lśnił na jej dłoni, zanim zniknął w szkatułce. Dworka wyciągnęła zdobiony perłami krzyż na długim łańcuchu, a kiedy pani skinęła głową włożyła go jej na szyję. Inne damy dworu zaczęły odkładać robótki i zbierać swoje rzeczy. Wiedziałem, że za chwilę mnie odprawi.

— *Pardon, Madame*, ale czy pan zgodzi się na jednorożce zamiast bitwy?

Genevieve de Nanterre poprawiała prążkowany pas, a jedna z dworek odpięła jej ciemnoczerwoną wierzchnią spódnicę, która opadła na podłogę, zasłaniając zielono-białe liście i kwiaty.

— Będiesz musiał go przekonać.

— Ale... sama powinnaś mu powiedzieć, pani. Przecież przekonałaś go, żeby powierzył mi wykonanie szkiców.

— Och, to było proste — ludzie nic go nie obchodzą. Wszystko mu jedno, którego artystę zatrudnia, byle tylko uznawano go na Dworze. Ale temat pracy to sprawa między nim a tobą — osobiście nie powinnam mieć z tym nic wspólnego. Najlepiej więc będzie, jeśli sam to załatwisz.

— Może to Leon Le Vieux powinien z nim porozmawiać.

— Leon nie robi nic wbrew woli mojego męża — prychnęła

Genevieve de Nanterre. — Chroni sam siebie. Jest sprytny, ale nie podstępny — a właśnie podstępu trzeba, by przekonać Jeana.

Zmarszczyłem brwi, wbiwszy wzrok w posadzkę. Przyszłe malowidła zawirowały mi przed oczami, ale też zaczęło do mnie docierać, w jak trudnej znalazłem się sytuacji. Wolałbym namalować damę z jednorożcem zamiast bitwy i tych wszystkich koni, ale nie chciałem narażać się Jeanowi Le Viste. Wyglądało jednak na to, że nie mam żadnego wyboru. Zaplątałem się w sieć istniejącą między Jeanem Le Viste, jego żoną i córką i nie wiedziałem, jak się z niej wydostać. Te gobeliny przyniosą mi nieszczęście, pomyślałem.

— Mam pewien podstępny pomysł, *Madame*. — Dworka, która się odezwała, wyglądała najpospoliciej ze wszystkich, ale miała żywe oczy i kołysała się w takt swoich myśli. — Chodzi o grę słów. Przecież wiesz, pani, jak *Mon seigneur* lubi gry słów.

— To prawda — przyznała Genevieve de Nanterre.

— *Viste* znaczy szybkość. Jednorożec to *viste*, *n'est-ce pas*? Żadne zwierzę nie biega tak szybko. Więc kiedy widzimy jednorożca, myślimy o *Viste*.

— Beatrice, jesteś taka sprytna. Jeśli twój podstęp się uda, będziesz mogła wyjść za mąż za tego tu Nicolasa des Innocents. Dam ci moje błogosławieństwo.

Uniosłem gwałtownie głowę. Beatrice zaśmiała się, a pozostałe kobiety jej zawtórowały. Uśmiechnąłem się uprzejmie. Nie miałem pojęcia, czy Genevieve de Nanterre żartuje czy nie.

Wciąż się śmiejąc, Genevieve de Nanterre wyprowadziła swoje damy dworu i zostawiła mnie samego.

Stałem bez ruchu w ciszy komnaty. Powinienem znaleźć długą tyczkę i wrócić do pomiarów w Sali Paradnej. Ale teraz, kiedy nie śmiały się ze mnie żadne kobiety, zrobiło mi się tu przyjemnie. Mogłem tu myśleć.

Rozejrzałem się dookoła. Wisiały tu dwa gobeliny, a także Zwiastowanie, które namalowałem do sąsiedniej komnaty. Przyjrzałem się gobelinom. Przedstawiały zbiory w winnicy. Mężczyźni ścinałi grona, a udeptywały je kobiety w spódnicach pod-

kasanych tak wysoko, że odsłaniały poplamione łydki. Gobeliny były znacznie większe od obrazu i miały mniej głębi. Tkanie pozbawiło je delikatności i blasku, postaci na gobelinach były mniej wyraziste niż Dziewica na moim obrazie. Ale dodawały komnacie ciepła, a czerwień i błękit czyniły ją żywszą.

Cała komnata gobelinów — to będzie jak stworzenie małego świata, i to pełnego kobiet, a nie mężczyzn, koni i bitewnego zgiełku. Wolę to, niezależnie od tego, jak trudno będzie przekonać Jeana Le Viste.

Wyjrzałem przez okno. Genevieve de Nanterre i Claude Le Viste szły z dworkami w stronę kościoła. Ich spódnice tańczyły targane wiatrem. Słońce świeciło tak jasno, że oczy zaszyły mi łzami i musiałem zamrugać. Kiedy odzyskałem wzrok, już ich nie było. Zobaczyłem za to służącą która nosiła moje dziecko. Dziewczyna trzymała koszyk i szła w innym kierunku.

Dlaczego ta dworka tak się śmiała na wzmiankę o małżeństwie ze mną? Chociaż do tej pory nie myślałem o żeniacze, zakładałem, że kiedyś się ożenię, by mieć kogoś, kto się będzie mną opiekował na starość. Miałem ustaloną pozycję na Dworze, pewne zamówienia, a teraz jeszcze te gobeliny — to wszystko pozwoli mi utrzymać siebie i żonę. Na głowie nie miałem siwizny i zachowałem wszystkie zęby poza dwoma. Mogłem wy-obracać kobietę trzy razy w ciągu nocy, jeśli zaszła potrzeba. To prawda, że jestem artystą a nie szlachcicem czy kupcem. Ale nie jestem przecież kowalem, szewcem czy chłopem. Ręce mam czyste, paznokcie przycięte. Czemu tak się śmiała?

Postanowiłem skończyć najpierw pomiary komnaty, bez względu na to, co do niej zaprojektuję. Potrzebowałem tyczki, dlatego odnalazłem zarządcę, który liczył właśnie świece w magazynie. Potraktował mnie równie chłodno jak przedtem, ale skierował do stajni.

— Uważaj na tę tyczkę — nakazał. — Żebyś mi nie wyrządził tutaj szkód.

Uśmiechnąłem się z przymusem.

— Od razu widać, żeś nie rajfur.

Zarządca zmarszczył brwi.

— Nie o to mi chodziło. Ale nie dziwię się, że tak to potraktowałaś, skoro nie potrafisz zapanować nad własną łagą.

— O co ci chodzi?

— Wiesz, o co. Co zrobiłaś Marie-Céleste? Marie-Céleste — to imię nic mi nie mówiło.

— Tej, której zrobiłaś dziecko, łachu — burknął zarządca, dostrzegłszy moje zdziwienie.

— A, tej. Powinna bardziej uważać.

— Ty też. To dobra dziewczyna, zasługuje na kogoś lepszego niż ty.

— Żałuję tego, co jej się przytrafiło, ale dostała ode mnie pieniądze i wszystko będzie w porządku. Teraz potrzebuję tyczki.

Zarządca chrząknął. Kiedy odwróciłem się, żeby wyjść, mruknął:

— Pilnuj swojego tyłka, łachu.

Znalazłem tyczkę w stajni i niosłem ją właśnie przez podwórze, kiedy z domu wyszedł Jean Le Viste. Przeszedł obok, nawet na mnie nie patrząc — pewnie pomyślał, że jestem którymś ze służących — więc zawołałem:

— Chwileczkę, panie.

Gdybym teraz go nie zatrzymał, być może nie miałbym już okazji porozmawiać z nim na osobności.

Jean Le Viste spojrzał, kto go woła, mruknął coś, ale się nie zatrzymał. Podbiegłem, żeby go dogonić.

— Proszę, *Monseigneur*. Chciałbym porozmawiać jeszcze o gobelinach.

— To z Leonem, nie ze mną.

— Tak, panie, ale uznałem, że w tak ważnej sprawie mogę rozmawiać tylko z tobą.

Kiedy biegłem za nim, zahaczyłem końcem tyczki o bruk. Tyczka wypadła mi z rąk i hałas, który nastąpił, wypełnił całe podwórze. Jean Le Viste zatrzymał się i spojrzał na mnie ze złością.

— Bardzo mi zależy, *Monseigneur*. Zależy mi na tym, byś miał na ścianach to, czego należy się spodziewać po kimś, kto

bywa na królewskim Dworze. Po przewodniczącym Cour des Aides...
— Kolejne słowa przychodziły mi do głowy w trakcie mówienia.

— O co ci chodzi? Jestem zajęty.

— Widziałem projekty gobelinów, które arystokratyczne rodziny zamawiały u moich kolegów w zeszłym roku. Wszystkie mają jedną wspólną cechę — tło typu *millefleur*.

To przynajmniej była prawda — gęste kwiatowe łączki były popularne, zwłaszcza że tkacze z północy udoskonalili swoją technikę.

— Kwiaty? — powtórzył Jean Le Viste i spojrzał pod stopy, jakby właśnie je przydepnął.

— Tak, *Monseigneur*.

— Bitwa wyklucza kwiaty.

— Tak, panie. Nie projektuje się już bitew. Paru moich kolegów namalowało sceny z... z jednorożcami, *Monseigneur*.

— Jednorożcami?

— Tak, panie.

Jean Le Viste patrzył na mnie z takim powątpiewaniem, że wkrótce dodałem do poprzedniego nowe kłamstwo, z nadzieją że nigdy tego nie odkryje.

— Powstają dla kilku największych rodów — Jeana d'Aleneon, Charlesa de St Emilion, Philippe'a de Chartres. — Wybierałem te, których Jean Le Viste nie powinien odwiedzać, gdyż albo mieszkały zbyt daleko, albo były zbyt dobre lub niedostatecznie dobre dla Le Viste'ów.

— Nie projektuje się bitew — powtórzył Jean Le Viste.

— Nie, *Monseigneur*.

— Jednorożce.

— Tak, *Monseigneur*. Są teraz *à la mode*. A poza tym przyszło mi do głowy, że jednorożec doskonale pasuje do twojej rodziny, panie. — Powtórzyłem to, co mówiła Béatrice.

Jean Le Viste nie zmienił wyrazu twarzy, ale skinął głową i to wystarczyło.

— Wiesz już, co ma robić ten jednorożec?

— Tak, *Monseigneur*, wiem.

— Więc dobrze. Powiadom o wszystkim Léona. I przynieś mi rysunki przed Wielkanocą. — Jean Le Viste ruszył w swoją drogę, a ja ukloniłem się jego plecom.

Dał się przekonać łatwiej, niż sądziłem. Miałem rację, że zapragnie tego, co mają wszyscy pozostali. Cóż, to właśnie oznacza szlacheckość bez pokoleń szlachetnie urodzonych — woli naśladować, niż tworzyć. Jeanowi Le Viste nie przyszło nawet do głowy, że zyskałby większy szacunek, gdyby zamówił gobeliny z bitwą których nikt nie ma. Będę bezpieczny, jeśli nie odkryje, że nie ma innych gobelinów z jednorożcami. Oczywiście zaprojektuję najpiękniejsze z możliwych — tak by inne rody ich zapragnęły i by Jean Le Viste mógł być dumny z tego, że posiadał je pierwszy.

Chciałem zadowolić nie tylko jego, ale także jego żonę i córkę. Nie wiedziałem, która z nich jest dla mnie ważniejsza — czy Claude ze śliczną twarzą czy Genevieve ze smutną. Być może obie znajdą swe miejsce w lesie jednorożca.

Tej nocy piłem w Le Coq d'Or, żeby uczcić zamówienie, a później źle spałem. Śniły mi się jednorożce i otoczone kwiatami damy, dziewczyna żująca goździk i inna, która patrzyła w głąb studni na swoje odbicie, kobieta, która trzymała klejnoty obok szkatułki, dziewczyna karmiąca sokoła. Wszystko było pogmatwane i nie mogłem tego rozplątać. Nie był to jednak koszmar, lecz tęsknota.

Kiedy się obudziłem następnego ranka, wszystko poukładało mi się w głowie i gotów byłem przekuć sny na rzeczywistość.

Claude le Viste

Mama spytała tatę o gobeliny po mszy w wielkanocną niedzielę i właśnie wtedy dowiedziałam się, że artysta znowu ma przyjść. Wracaliśmy właśnie na rue du Four i Jeanne wraz z Małą Genevieve chciały, abym pobiegła z nimi i skakała przez kałuże, ale zostałam, żeby posłuchać. Jestem doskonała w słuchaniu tego, czego nie powinnam słyszeć.

Mama zawsze uważa, że nie należy zawracać tacie głowy, ale wyglądało na to, że jest w dobrym nastroju — być może podobnie jak ja ucieszył się, że mógł wyjść na słońce po tak długiej mszy! Kiedy więc zadała mu pytanie, odpowiedział, że dostał już rysunki i że Nicolas des Innocents ma niedługo przyjść, żeby je omówić. Do tej pory prawie nie wspominał o gobelinach. I nawet po tych paru słowach się zirytował. Wydaje mi się, że żałuje zamiany — tata uwielbia bitwy i Króla. Zostawił nas też zaraz, mówiąc, że musi porozmawiać z zarządcą. Zauważyłam spojrzenie Beatrice i obie zachichotałyśmy, a mama zmarszczyła surowo brwi.

Bogu dzięki, że mam Beatrice! Powiedziała mi wszystko — o zamianie bitwy na jednorożca, swoim własnym sprytnym wybiegu z *Viste* i, co najważniejsze, zdradziła nazwisko Nicolasa. Mama nigdy by mi tego nie powiedziała, a drzwi jej komnaty są zbyt grube — nie słyszałam nic z jej rozmowy z Nicolasem, tylko śmiech Beatrice. Na szczęście Beatrice opowiada mi o różnych rzeczach — wkrótce zostanie moją damą dworu. Mama nie

potrzebuje jej tak bardzo, a poza tym Beatrice wolałaby być ze mną— wie, że będzie się lepiej bawić.

Mama jest ostatnio tak męcząca — wciąż pragnie się modlić. Teraz chce już chodzić na msze dwa razy dziennie. Czasami mam lekcje tańca w czasie tercji albo seksty, ale i tak zabiera mnie na nieszpór, żebym posłuchała muzyki, a ja zaczynam się tak niecierpliwić, że chce mi się krzyczeć. Kiedy siedzę w Saint-Germain-des-Pres, stopa sama zaczyna mi się ruszać i wszystkie kobiety w ławce to czują ale nie wiedzą skąd się to bierze — poza Beatrice, która kładzie dłoń na mojej nodze, żeby mnie uspokoić. Kiedy pierwszy raz to zrobiła, aż podskoczyłam i pisnęłam, tak byłam zaskoczona. Mama pochyliła się w moją stronę i spojrzała ze złością. Nawet ksiądz się odwrócił. Musiałam zatkać sobie usta rękawem, żeby się nie roześmiać.

Wydaje się, że zaczęłam irytować mamę, chociaż sama nie wiem dlaczego. Ona mnie też irytuje — zawsze mi powtarza, że za dużo się śmieję, że chodzę za szybko, że mam brudną sukienkę albo że fryzura mi się przekrzywiła. Traktuje mnie jak dziewczynkę, ale oczekuje, żebym była kobietą. Nie pozwala mi wychodzić, kiedy chcę — mówi, że jestem za stara, żeby bawić się na targu przy Saint-Germain-des-Pres w dzień, a za młoda, by chodzić tam w nocy. Nie jestem za młoda — inne czternastoletnie dziewczyny chodzą tam po ciemku, żeby zobaczyć *jongleurs*. Wiele jest już zaręczonych. Kiedy pytam o to mamę, mówi, że nie okazuję jej należnego szacunku i że muszę poczekać, aż tata zdecyduje, za kogo i kiedy wyjdę za mąż. Jestem coraz bardziej przygnębiona. Skoro mam być kobietą gdzie jest mój mężczyzna?

Wczoraj próbowałam podsłuchać spowiedzi mamy w Saint-Germain-des-Pres, żeby sprawdzić, czy ma wyrzuty sumienia z powodu tego, jak mnie traktuje. Schowałam się za kolumną niedaleko ławki, w której usiadła z księdzem, ale mówią tak cicho, że musiałam zakraść się jeszcze bliżej. Usłyszałam tylko: „*Ca c'est mon seul desir*”, zanim inny ksiądz nie przepędził mnie z tego miejsca. „*J'lon seul desir*” — wymamrotałam pod

nosem. Moje jedyne pragnienie — to zdanie tak mnie oczarowało, że powtarzam je sobie przez cały dzień.

Kiedy upewniłam się już, że Nicolas przyjdzie, wiedziałam, że muszę się z nim spotkać. *C'est mon seul desir*. Ha! Oto mój mężczyzna. Od kiedy go spotkałam, nie przestaję o nim myśleć. Oczywiście, nie powiedziałam o tym nikomu poza Beatrice, która — ku mojemu zaskoczeniu — nie wyrażała się o nim zbyt pochlebnie. To jedna z jej wad. Opisywałam jego oczy — że są brązowe jak kasztany, a ich kąciki są zwężone, przez co wygląda trochę smutno nawet wtedy, kiedy jest wesoły.

— On nie jest ciebie wart — przerwała mi Beatrice. — Jest tylko artystą i nie można mu ufać. Powinnaś raczej myśleć o wielmożach.

— Gdyby nie można mu było ufać, mój ojciec nigdy by go nie wynajął — odparłam. — *Oncle Leon* nigdy by na to nie pozwolił.

Leon nie jest moim prawdziwym wujkiem, ale starym kupcem, który zajmuje się interesami taty. Traktuje mnie jednak jak bratanicę — do niedawna brał mnie pod brodę i kupował słodycze, ale teraz mówi, żebym stała prosto i doprowadziła do porządku włosy. „Powiedz mi, jakiego chciałabyś męża, a ja zobaczę, co jest na rynku” — lubi powtarzać. Bardzo by się zdziwił, gdybym podała mu opis Nicolasa! Jestem pewna, że niespecjalnie go ceni — podsłuchiłam kiedyś, jak przekonywał tatę, że jednorożce nie nadają się do Sali Paradnej. Drzwi taty nie są tak grube, a kiedy przyłożę ucho do dziurki od klucza, doskonale słyszę, co się dzieje w środku. Ale tata nie zmieni po raz drugi zdania. Mogłam o tym powiedzieć Leonowi. Wystarczyło, że zrobił to raz. Po raz drugi nigdy się to nie zdarzy.

Kiedy już dowiedziałam się o wizycie Nicolasa w naszym domu, poszłam do zarządcy, żeby dowiedzieć się, kiedy to nastąpi. Jak zwykle był w magazynie i liczył majątek. Zawsze martwi się tym, że nas okradną. Wyglądał na jeszcze bardziej przerażonego niż Beatrice, kiedy spytałam go o Nicolasa.

— Nie powinnaś mieć z nim nic wspólnego, *Mademoiselle* — powiedział.

— Pytam po prostu, kiedy przyjdzie. — Uśmiechnęłam się słodko. — Jeśli mi nie powiesz, pójdę do taty i powiem, że nie chcesz mi pomóc.

Zarządca skrzywił się.

— W czwartek o szóstej — mruknął. — Będzie razem z Leonem.

— Widzisz, to nie takie straszne. Powinieneś mi wszystko mówić, a będę zadowolona.

Zarządca skłonił się, ale patrzył na mnie nawet wtedy, kiedy odwróciłam się, by odejść. Wyglądał tak, jakby chciał mi coś powiedzieć, ale w końcu tego nie zrobił. Wydało mi się to komiczne i zaczęłam się śmiać, biegnąc od niego.

W czwartek miałam jechać na noc z mamą i siostrami do babci w Nanterre, ale udawałam, że boli mnie brzuch, żeby zostać w domu. Kiedy Jeanne dowiedziała się, że nie jadę, też chciała udawać, żeby zostać, chociaż nie miała pojęcia, o co mi chodzi. Nie mogę jej powiedzieć o Nicolasie — jest zbyt młoda, żeby zrozumieć. Kręciła się koło mnie, aż w końcu musiałam jej przygadać i uciekła z płaczem. Czułam się potem okropnie — nie powinnam, tak traktować siostry. Przez całe życie byłyśmy sobie bardzo bliskie. Do niedawna dzieliłyśmy łóżko i Jeanne też płakała, kiedy powiedziałam, że chcę spać oddzielnie. Ale jestem teraz w nocy tak niespokojna. Ściągam z siebie kołdrę, przewracam się z boku na bok, a już sama myśl o tym, że miałabym z kimś spać — poza Nicolasem — wydaje mi się przykra.

Teraz Jeanne musi zadowolić się towarzystwem Małej Genevieve, która jest bardzo miła, ale ma tylko siedem lat, a Jeanne zawsze wołała starsze dziewczynki. Poza tym Mała Genevieve jest ulubienicą mamy, co denerwuje Jeanne. Oczywiście nosi śliczne imię mamy, podczas gdy my z Jeanne mamy imiona, które przypominają, że nie jesteśmy chłopcami, których chciał tata.

Mama poleciła Beatrice, żeby się mną zajęła, i w końcu wyjechała z siostrami do Nanterre. Wysłałam wtedy Beatrice, aby

kupiła trochę mojej ulubionej miodowej skórki pomarańczowej, twierdząc, że mi to pomoże na żołądek. Nalegałam przy tym, żeby wybrała się do straganu niedaleko Notre Dame. Usłyszawszy to, wywróciła oczami, ale poszła. Kiedy zostałam sama, odetchnęłam z ulgą i pobiegłam do swojego pokoju. Moje sutki ocierały się o koszulę; położyłam się na łóżku i wepchnęłam poduszkę między nogi, szukając odpowiedzi na pytanie, które wciąż stawiało mi moje ciało. Czułam się jak modlitwa, którą ktoś w połowie przerwał.

W końcu wstałam, wygładziłam suknię, poprawiłam fryzurę i pobiegłam do komnaty ojca. Drzwi były otwarte, więc zajrzałam do środka. Wewnątrz zobaczyłam tylko klęczącą przy palenisku Marie-Celeste, która próbowała rozpaścić ogień. Gdy byłam młodsza i latem mieszkaliśmy w Chateau d'Arcy, Marie-Celeste zabierała mnie, Jeanne i Małą Genevieve nad rzekę i śpiewała nam sprośne piosenki, piorąc ubrania. Miałam ochotę powiedzieć jej teraz o Nicolasie des Innocents, o tym, gdzie chciałam, żeby mnie dotykał, i co zrobiłabym z językiem. W końcu to z jej piosenek i historii dowiedziałam się o tych rzeczach. Coś mnie jednak powstrzymało. Marie-Celeste była moją przyjaciółką w dzieciństwie, ale teraz zaczęłam dorastać, wkrótce będę miała własną damę dworu i zacznę się przygotowywać do zamążpójścia — nie powinnam rozmawiać z nią o takich rzeczach.

— Dlaczego rozpalasz ogień, Marie-Celeste? — spytałam, chociaż znałam już odpowiedź na to pytanie.

Spojrzała w górę. Na jej czole widniał ślad popiołu, jakby to był jeszcze Popielec. Zawsze była niechlujna.

— Twój ojciec będzie miał gości, *Mademoiselle* — odparła. Drewno zaczęło dymić. Tu i ówdzie pokazały się płomienie.

Marie-Celeste złapała się krzesła i ze stęknieniem dźwignęła na nogi. Twarz miała pełniejszą niż poprzednio — patrzyłam na nią z rosnącym przerażeniem.

— Marie-Celeste, czy spodziewasz się dziecka? Dziewczyna zwiesiła głowę. Dziwne — przecież śpiewała

o tych wszystkich pannach, co wpadły tak głupio, a nigdy nie pomyślała, że jej też może się to zdarzyć. Oczywiście każda kobieta pragnie dziecka — ale nie w ten sposób, bez męża.

— Ty głupia! — zaczęłam ją łąać. — Kto to taki? Marie-Celeste machnęła ręką jakby chciała odrzucić to pytanie.

— Czy tu pracuje? Pokręciła głową.

— Ożeni się z tobą?

— Nie — burknęła Marie-Celeste.

— Więc co zrobisz?

— Nie wiem, *Mademoiselle*.

— Mama będzie wściekła. Widziała cię już?

— Trzymam się od niej z daleka, panienko.

— I tak wkrótce zauważy. Powinnaś nosić opończę, żeby to ukryć.

— Służące nie noszą opończy, *Mademoiselle*. Nie mogłabym w niej pracować.

— I tak już wkrótce nie będziesz mogła pracować, sądząc z twojego wyglądu. Będziesz musiała wrócić do rodziny. *Attends*, musisz coś powiedzieć mamie. Wiem, powiedz jej, że twoja matka zachorowała i że musisz się nią zająć. Wrócisz po urodzeniu dziecka.

— Nie mogę pójść do pani, kiedy tak wyglądam. Od razu zauważy, co się stało.

— Więc ja jej powiem, kiedy wróci z Nanterre. — Było mi żal Marie-Celeste i chciałam jej pomóc.

Marie-Celeste natychmiast się rozjaśniła.

— Och, dziękuję, *Mademoiselle*. Jesteś dla mnie tak dobra!

— Lepiej wyjedź najszybciej, jak tylko będziesz mogła.

— Dziękuję, *Mademoiselle*. Bardzo dziękuję. Po powrocie zajrzę do panienki. — Odwróciła się do drzwi, ale potem znowu na mnie spojrzała.

— Jeśli to będzie dziewczynka, dam jej twoje imię, *Mademoiselle*.

— To bardzo miło z twojej strony. A jeśli chłopiec, to czy dasz mu imię ojca?

Marie-Celeste zmrużyła oczy.

— Nigdy — syknęła. — Nie chce mieć nic wspólnego z dzieckiem, więc ja nie chcę mieć nic wspólnego z nim!

Kiedy wyszła, rozejrzałam się po komnacie taty. Wcale nie jest wygodna. Dębowe krzesła nie mają poduszek i skrzypią kiedy siedzący się rusza. Wydaje mi się, że tata kazał je tak zrobić, żeby nikt nie zajmował mu za dużo czasu. Zauważyłam, że *onde* Léon zawsze stoi, kiedy spotyka się z tatą. Na ścianach wiszą mapy z jego włościami — Chateau d'Arcy, nasz dom przy rue du Four, dom rodzinny Le Viste'ów w Lyonie, a także mapy spornych terytoriów, którymi tata zajmuje się z ramienia Króla. Swoje książki trzyma tu zamknięte w szafce.

W pokoju znajdują się dwa stoły — tata pisze, siedząc przy pierwszym, a na drugim, większym, rozkłada mapy i dokumenty na spotkania. Ten stół zwykle stoi pusty, ale dzisiaj leżały tam jakieś duże papiery. Spojrzałam na ten na wierzchu i aż się cofnęłam zaskoczona. To był rysunek, i to ze mną. Stałam pomiędzy lwem i jednorożcem, trzymając papugę na ręce w rękawicy. Miałam na sobie piękną suknię i naszyjnik, a na głowie prosty szal, który nie przykrywał mi włosów. Patrzyłam w bok na jednorożca i uśmiechałam się tak, jakbym ukrywała jakiś sekret. Jednorożec był bardzo ładny: biały i pulchny i stał na tylnych nogach, ze swoim długim, spiralnym rogiem. Odwrócił ode mnie głowę, jakby się bał, że oczaruję go swoją urodą. Miał na sobie niewielki płaszcz z herbem Le Viste'ów i wydawało się, że przez rysunek przebiega wiatr, dmąc w ten płaszcz, w ryczącego lwa, w mój szal i flagę Le Viste'ów trzymaną przez lwa.

Bardzo długo patrzyłam na ten rysunek. Nie mogłam oderwać od niego wzroku ani przesunąć go, żeby zobaczyć szkice spod spodu. Narysował mnie. Myślał o mnie, tak jak ja o nim. Poczułam swędzenie piersi. *Mon seul désir*.

A potem usłyszałam głosy w holu. Drzwi się otworzyły, więc mogłam tylko paść na podłogę i wczołgać się pod stół. Było tam

ciemno i poczułam się dziwnie sama na zimnej posadzce. Zwykle chowałam się w takich miejscach z siostrami i tak przy tym chichotałyśmy, że od razu nas znajdowano. Siedziałam, obejmując kolana rękami i modląc się, żeby mnie nie znaleźli.

Do środka weszli dwaj mężczyźni i natychmiast zbliżyli się do stołu. Jeden z nich nosił długi, brązowy strój kupiecki, więc musiał to być *oncle* Leon. Drugi miał na sobie szarą opończę do kolan i ciemnoniebieskie pończochy. Jego łydki były kształtne i jeszcze zanim się odezwał, wiedziałam, że to Nicolas. Nie na darmo myślałam o nim przez te minione dni. Miałam w głowie wszystkie dotyczące go szczegóły — szerokość jego barków, jego loki muskające szyję, jego tyłek niczym dwie wiśnie i naprężoną linię jego łydek.

Teraz musiałam przypomnieć sobie jeszcze więcej szczegółów, ponieważ mężczyźni zaczęli rozmawiać, a ja widziałam tylko ich nogi. Mogłam jednak wyobrazić sobie Nicolasa — jak marszczy swoje gładkie brwi i mruży zwięzające się oczy, wpatrując się w moją podobiznę na rysunku, jak przebiega swymi długimi palcami po szorstkiej powierzchni papieru. Czulałam to, siedząc niemal w całkowitej ciemności i słuchając ich obu.

— *Monseigneur* zaraz tu przyjdzie — powiedział *oncle* Leon. — Proponuję, żebyśmy wcześniej zastanowili się nad paroma szczegółami.

Usłyszałam szelest papieru.

— Czy podobały mu się szkice? — spytał Nicolas. — Czy nie mógł się ich nachwalić? — Jego pewny siebie głos dotarł wprost do mego dziewczęstwa, jakby mnie tam dotknął.

Leon nie odpowiedział, a Nicolas zaczął nalegać.

— Przecież musiał coś powiedzieć. Od razu widać, że to doskonałe projekty. Musiały go bardzo uradować.

Leon zaśmiał się cicho.

— Radowanie się czymkolwiek zupełnie nie leży w naturze *Monseigneur* Le Viste'a.

— Ale musiał je zaakceptować.

— Za bardzo się spieszysz, Nicolasie. W tych sprawach

musisz czekać na opinię zamawiającego. *Alors*, musisz się przygotować na spotkanie z panem Le Viste. Przede wszystkim powinieneś zrozumieć, że nawet nie spojrzął na te rysunki.

— Ale ma je przecież od tygodnia!

— Tak, i powie nawet, że dokładnie je obejrzał, chociaż ani razu na nie nie spojrzął.

— Dlaczego, na miłość boską?

— *Monseigneur* Le Viste jest teraz bardzo zajęty. Zajmuje się tymi sprawami, którymi musi. A potem podejmuje szybką decyzję i chce, żeby słuchano go bez dalszych pytań.

— Więc to w ten sposób wielmoże zamawiają tak ważne rzeczy? — prychnął Nicolas. — Ciekawe, czy ci z prawdziwą błękitną krwią też tak robią?

Onde Léon zniżył głos.

— Jean Le Viste doskonale wie, że krążą o nim takie opinie — rzekł z dezaprobatą. — Ciężką pracą i lojalnością wobec Króla rekompensuje brak szacunku, jaki dotyka go również ze strony takich artystów jak ty, którzy dla niego pracują.

— Mój szacunek nie jest tak mały, żebym nie chciał tego robić — rzucił pospiesznie Nicolas.

— Jasne, że nie. Trzeba chodzić po ziemi. *Sou to sou*, niezależnie od tego, czy pochodzi od wielmoży, czy od żebraka.

Obaj się roześmiali. Odrzuciłam głowę do tyłu i omal nie uderzyłam nią w stół. Nie podobał mi się ich śmiech. Nie przepadam za tatą—jest dla mnie równie zimny jak dla innych — ale nie podobało mi się, że bawią się jego dobrym imieniem, jakby to był patyk rzucony psu. A *onde* Léon... nie wiedziałam, że może być tak nielojalny. Gdy spotkam go następnym razem, nadepnę mu na nogę. Albo zrobię coś gorszego.

— Nie przeczę, że projekty są obiecujące — powiedział teraz.

— Obiecujące! Są bardziej niż obiecujące!

— Jeśli pozwolisz mi mówić, pomogę ci je udoskonalić. Będą lepsze niż teraz — lepsze niż sobie w ogóle wyobrazasz. Jesteś zbyt blisko tego, co sam stworzyłeś, żeby wiedzieć, jak to udoskonalić. Potrzebujesz kogoś, kto wskaże ci wady.

— Jakie wady?

Słowa Nicolasa wyrażały moje własne myśli. Jak można by udoskonalić rysunek ze mną?

— Patrząc na te projekty, pomyślałem o dwóch rzeczach. No i bez wątpienia Jean Le Viste będzie miał własne sugestie.

— O jakich rzeczach?

— W Sali Paradnej ma zawisnąć sześć gobelinów, *n'est-ce pas?* Dwa wielkie i cztery nieco mniejsze.

— Tak.

— I mają opowiadać o uwiedzeniu jednoroźca przez damę, *n'est-ce pas?*

— Tak ustaliłem to z panem Le Viste.

— Uwiedzenie jest oczywiste, ale zastanawiałem się, czy nie ukryłeś czegoś jeszcze w tych rysunkach. Może trzeba na nie patrzeć w inny sposób.

Nicolas przestąpił z nogi na nogę.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wygląda na to, że mamy tu pięć zmysłów. — Léon po-stukał w blat i usłyszałam dudnienie tuż przy moim uchu. — Dama grająca jednoroźcowi na organach oznacza *Słuch*. A trzymająca jednoroźca za róg, z pewnością *Dotyk*. Tutaj... — Znowu postukał w stół. — Dama plotąca wianek z goździków to *Węch*, chociaż nie jest to tak oczywiste.

— Panny młode plotą wianki — wyjaśnił Nicolas. — Dama kusi jednoroźca perspektywą małżeństwa i małżeńskiego łoża. Nie chodziło mi o *Węch*.

— A cóż, nie jesteś zatem tak sprytny, jak myślałem. Więc zmysły to tylko przypadek?

— Chciałem...

— Ale czy widzisz, jak łatwo możesz wpleść tutaj motyw zmysłów? A gdyby jednoroźec wachał goździki? Albo robiło to jakieś inne zwierzę? A na gobelinie, na którym jednoroźec złożył głowę na podołku Damy? Przecież mógłbyś ukazać mu lustro, co oznaczałoby *Wzrok*.

— Ale to by wskazywało, że jednoroźec jest próżny, prawda?

— I cóż? I tak wygląda na próżnego.

Nicolas nie odpowiedział. Być może usłyszał, jak duszę się pod stołem ze śmiechu na myśl o nim i jego jednoroźcach.

— Będziesz miał teraz Damę trzymającą jednoroźca za róg, co oznacza *Dotyk*. Grającą na organach, co oznacza *Słuch*. Goździki, to *Węch*. Lustro, to *Wzrok*. Co pozostaje? *Smak*. Mamy jeszcze dwa gobeliny — ten z Claude i panią Genevieve.

Z mamą? O co chodziło Leonowi?

Nicolas wydał dziwny dźwięk, coś niby parsknięcie i okrzyk.

— Co to znaczy: z Claude i panią Genevieve?

— Daj spokój, przecież wiesz. Podobieństwo za bardzo rzuca się w oczy, a to nie spodoba się Jeanowi Le Viste. To moja druga uwaga. Wiem, że malujesz portrety, ale Damy na tych projektach powinny wyglądać inaczej.

— Dlaczego?

— Jean Le Viste pragnął mieć bitwę, a ty chcesz, żeby patrzył na żonę i córkę. Tu nie ma porównania.

— Ale zgodził się na gobeliny z jednoroźcem.

— Jednak nie powinieneś dawać mu hymnu na cześć żony i córki. Żal mi pani Genevieve. Jean Le Viste nie jest łatwy we współżyciu. Ale czuje urazę do żony i Claude. Na pewno nie chciałby ich portretów na czymś tak cennym jak te gobeliny.

— Och! — krzyknęłam i tym razem uderzyłam głową w blat stołu. Zabolalo.

Zaskoczeni mężczyźni zaczęli mrużyć, a potem zobaczyłam pod stołem dwie twarze. Léon był zły, ale Nicolas uśmiechnął się, kiedy mnie zobaczył. Wyciągnął rękę i pomógł mi wyjść spod stołu.

— Dziękuję — powiedziałam, kiedy już się podniosłam. Nicolas pochylił się w stronę mojej dłoni, ale cofnęłam ją

zanim zdążył ją pocałować, i zaczęłam ostentacyjnie poprawiać suknię. Nie byłam jeszcze gotowa wybaczyć mu tych niegodziwości, które powiedział o moim ojcu.

— Co tam robiłaś, niegrzeczna dziewczyno? — spytał *oncle Léon*. Przez chwilę myślałam, że mnie uderzy, jakbym była Małą

Genevieve, ale jednak się opamiętał. — Twój ojciec bardzo by się rozgniewał, gdyby się dowiedział, że nas podsłuchiwałaś.

— Rozgniewałby się jeszcze bardziej, gdyby wiedział, co o nim mówiłaś, *oncle* Leon. I ty też, *Monsieur* — dodałam, patrząc na Nicolasa.

Zapadła cisza. Widziałam, że mężczyźni myślą o swoich wcześniejszych słowach, zastanawiając się nad tym, co mogłoby obrazić tatę. Wyglądali na tak zmartwionych, że aż się roześmiałam.

Oncle Leon zmarszczył brwi.

— Doprawdy, Claude, jesteś bardzo niegrzeczna — rzekł już łagodniej, jakby starał się udobruchać małego pieska.

— Och tak, wiem. A ty, *Monsieur*, czy też uważasz, że jestem bardzo niegrzeczna? — zwróciłam się do Nicolasa. Czułam się cudownie, widząc jego przystojną twarz.

Nie wiedziałam, co odpowie, ale swoimi słowami sprawił mi wielką radość.

— Tak, z pewnością najniegrzeczniejsza, jaką znam, *Mademoiselle*. — Jego głos po raz drugi dotknął mego dziewictwa i poczułam tam wilgoć.

Oncle Leon chrząknął.

— Dość tego, Cfaude. Musisz już iść, bo zaraz przyjdzie tu twój ojciec.

— Nie, chcę zobaczyć rysunek z moją mamą. Gdzie on jest? Zaczęłam przesuwając szkice po stole. Było tam pełno dam, flag Le Viste'ow, jednoroźców i lwów.

— Claude, proszę.

Zignorowałam go i zwróciłam się wprost do Nicolasa.

— Który to, *Monsieur*! Chciałabym zobaczyć. Bez słowa podsunął mi rysunek.

Odetchnęłam z ulgą widząc, że mama na rysunku nie jest tak ładna jak ja. Również jej suknia była znacznie pospolitsza niż moja. Nie wiał tam wiatr — chorągiew nie furkotała, a oba zwierzęta siedziały potulnie, zamiast stać dumnie jak na szkicu ze mną. Prawdę mówiąc, wszystko tam było bardzo spokojne, tyle że

mama wyjmowała naszyjnik ze szkatułki trzymanej przez jedną z dworek. Teraz nie miałam już nic przeciwko temu, żeby mama znalazła się na gobelinie—porównanie wypadło na moją korzyść.

Ale jeśli Nicolas posłucha *oncle* Leona, na gobelinach nie będzie naszych twarzy. Musiałam coś zrobić. Tylko co? Chociaż nastraszyłam Léona, że powiem tacie o tej rozmowie, wiedziałam, że i tak by mnie nie słuchał. To było straszne, kiedy usłyszałam o urazie, którą ma do mnie i mamy, ale wiedziałam, że to prawda. Mama nie urodziła spadkobiercy, a ja i siostry nie byłyśmy chłopcami. Za każdym razem, kiedy tata na nas patrzył, przypominało mu się, że cały jego majątek któregoś dnia dostanie się mojemu mężowi i synowi i że żaden z nich nie będzie nosił nazwiska i herbu Le Vi-ste'ów. To powodowało, że był dla nas jeszcze zimniejszy. Wiedziałam też od Béatrice, że tata nie dzieli łoża z mamą.

Nicolas próbował ocalić mamę i mnie.

— Zmienię ich twarze tylko na życzenie samego pana Le Viste, a nie twoje — powiedział. — Dokonuję zmian dla klienta, a nie kupca klienta.

Oncle Léon spojrział na niego groźnie, ale zanim zdążył coś powiedzieć, usłyszeliśmy kroki w holu.

— Zmykaj! — syknął Léon, ale na ucieczkę było już za późno. Nicolas położył rękę na mojej głowie i pchnął łagodnie, aż

upadłam na kolana. Moja głowa na moment znalazła się blisko jego nabrzmiałego krocza. Spojrzałam w górę i dostrzegłam, że się uśmiecha. A potem wepchnął mnie pod stół.

Wydawało mi się teraz, że jest tam zimniej, twardziej i ciemniej, ale nie musiałam tego znosić zbyt długo. Tata podszedł wprost do stołu i stanął obok Léona, a Nicolasa miał po drugiej stronie. Siedziałam, patrząc na nogi Nicolasa. Stał teraz inaczej, kiedy wiedział, że tu jestem, chociaż trudno mi było powiedzieć, na czym polega różnica. Czułam się tak, jakby jego nogi miały oczy i mnie obserwowały.

Nogi taty przypominały jego samego — proste i obojętne niczym nogi krzesła.

— Projekty — powiedział.

Ktoś szurał rysunkami, przesuając je po stole.

— Oto one, *Monseigneur* — odezwał się Nicolas. — Jak widzisz, można je oglądać w tym porządku. Najpierw Dama wkłada naszyjnik, żeby uwieść jednoroźca. Na następnym gra na organach, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. A oto ona w czasie karmienia papugi... jednorożec przysunął się bliżej, chociaż staje dęba i odwraca głowę. Już prawie go uwiodła, ale potrzebuje nowej pokusy.

Zauważyłam, że Nicolas zrobił przerwę, zanim powiedział: „karmienia”. A więc stałam się *Smakiem*. Więc mnie posmakuj.

— Następnie Dama plecie wieniec z goździków, szykując się do ślubu. Swojego ślubu. Jak widzisz, panie, jednorożec jest teraz spokojny. I w końcu... — Nicolas postukał w blat — kładzie głowę na jej podołku i patrzy na siebie. Na ostatnim gobelinie jednorożec jest już okiełznany — Dama trzyma go za róg. Jak widzisz, zwierzęta w tle są w okowach, stały się niewolnikami miłości.

Nicolas skończył i zapanowała cisza, jakby chciał, żeby tata coś powiedział. Ale ojciec milczał. Często tak robi — milczy, żeby ludzie stali się mniej pewni siebie. Tym razem to też poskutkowało. Nicolas po chwili zaczął znowu, ale już znacznie bardziej nerwowym tonem.

— Widzisz, *Monseigneur*, że na większości projektów jednorożcowi towarzyszy lew symbolizujący szlachetność, siłę i odwagę, które mają uzupełniać czystość i dzikość jednoroźca. Lew to przykład okiełznania szlachetnej dzikości.

— Oczywiście tło wypełnią *millefleurs*, *Monseigneur* — dodał Leon. — Tkacze z Brukseli sami je zaprojektują. To ich specjalność. Nicolas tylko to tutaj zaznaczył.

Następna przerwa. Wstrzymałam oddech, czekając, czy tata powie coś na temat rysunków z mamą i ze mną.

— Za mało tu herbów — rzekł w końcu.

— Na wszystkich projektach lew i jednorożec trzymają flagi i proporce Le Viste'ów — rzekł Nicolas. Wydawał się poirytowany. Trąciłam go ręką żeby nie mówił do taty takim tonem. Nicolas przestąpił z nogi na nogę.

— Na dwóch szkicach jest tylko jedna flaga.

— Mógłbym dodać jeszcze po tarczy jednorożcowi i lwu, *Monseigneur*. — Nicolas chyba zrozumiał, o co mi chodziło, bo brzmiał już spokojniej. Zaczęłam gładzić jego łydkę.

— Proporce i flagi powinny mieć ostre drzewce, a nie zaokrąglone, jak tutaj — rzekł tata.

— Ale... ostrych używa się w czasie bitwy, *Monseigneur*.

— Nicolas mówił tak, jakby ktoś go dusił. Zachichotałam i przesunęłam dłoń wyżej, na jego udo.

— Chcę, żeby drzewce były ostre — powtórzył tata. — Na tych gobelinach będzie za dużo kobiet i kwiatów. Powinny być tu ostre drzewce i coś jeszcze, co przypominałoby o wojnie. Co stanie się z jednorożcem, kiedy Dama go złapie?

Na szczęście Nicolas nie musiał odpowiadać, bo nie byłby w stanie. Położyłam rękę na jego przyrodzeniu, które stwardniało niczym gałąź. Nigdy wcześniej tego nie robiłam.

— Czyż nie zaprowadzi go do myśliwego, który go zabije?

— ciągnął tata, który lubi odpowiadać na zadane przez siebie pytania.

— Powinieneś dodać jeszcze jeden gobelin, by dokończyć tę historię.

— Zdaje się, że w Sali Paradnej nie będzie miejsca na jeszcze jeden gobelin — odezwał się *oncle Leon*.

— Więc zastąpcie którąś z tych kobiet. Tę z goździkami albo tę, która karmi ptaka.

Opuściłam rękę.

— Bardzo dobry pomysł, *Monseigneur* — powiedział *oncle Leon*.

Westchnęłam głośno. Na szczęście Nicolas też wydał jakiś dźwięk, więc nie sędzę, żeby tata mnie usłyszał.

— Świetny pomysł — powtórzył. — Oczywiście śmiałość tego czynu będzie bardziej wymowna niż ostre drzewce. Przecież spryt nie jest tu taki ważny.

— O co ci chodzi z tym sprytem?

— Cóż, można na przykład tylko dać do zrozumienia, że chodzi o polowanie albo — jeśli wolisz, panie — o bitwę. Te

ostre drzewce to świetny pomysł, a tarcze też byłyby *a propos*, no i może jeszcze coś. Zaraz, może namiot — taki jak ustawia się Królowi przed bitwą? To by przypominało również o Królu, nie tylko o bitwie. Ale cóż, to wszystko jest pewnie zbyt subtelne. Lepiej będzie, jak myśliwy zabije jednorożca.

— Nie, chcę mieć królewski namiot.

Aż przysiadłam na stopach z podziwu dla *oncle* Leona. Złapał tatę na haczyk, a on nawet tego nie zauważył. Zrobił z nim, co chciał.

— Namiot będzie całkiem duży, więc powinien się znaleźć na jednym z większych gobelinów — rzekł szybko, nie chcąc, żeby tata zmienił zdanie. — Czy wolałbyś, *Monseigneur*, żeby stanął przy Damie z klejnotami czy Damie z papugą?

Nicolas zaczął coś mówić, ale tata mu przerwał.

— Tej z klejnotami — wygląda bardziej po królewsku. Zanim zdążyłam znowu krzyknąć, Nicolas wsunął stopę pod

stół i przycisnął moją. Pozostałam cicho, a on lekko dotknął mojej stopy swoją, a potem ją cofnął.

— Dobrze, Nicolasiu, dodaj tam namiot — powiedział *oncle* Leon.

— Oczywiście, *Monseigneur*. Czy chcesz, by znalazło się na nim coś szczególnego?

— Herb.

— To się rozumie samo przez się, *Monseigneur*. Myślałem raczej o jakimś motcie pasującym do bitwy. Takim, które wskazywałoby, że jest to bitwa z miłości.

— Nic nie wiem o miłości — warknął tata. — Co by to mogło być? Podejrzewam, że znasz się na tym lepiej.

Wpadł mi do głowy pewien pomysł i stuknęłam Nicolasa w nogę. Po chwili jeden z rysunków upadł na podłogę.

— Och, *pardon*, *Monseigneur*. Jestem taki niezgrabny. — Nicolas przykucnął, żeby wziąć rysunek. Pochyliłam się i szepnęłam mu do ucha: „*C'est mon seul desir*”. A potem go ukąsiłam.

Nicolas wstał.

— Czy nie krwawi ci ucho? — spytał tata.

— *Pardon, Monseigneur*. Uderzyłem się o nogę stołu. Ale wpadło mi coś do głowy. Może „*A mon seul desir*”. To znaczy...

— Wystarczy — przerwał mu tata. Znałam ten ton, który oznaczał, że spotkanie za bardzo się przedłużyło. — Pokaż zmiany Leonowi, a następnie przynieś ukończone rysunki dwa tygodnie po Pierwszym Maja. Nie później, bo przed Wniebowstąpieniem wyjeżdżamy do Chateau d'Arcy.

— Tak, *Monseigneur*.

Zobaczyłam, jak nogi taty oddalają się od stołu.

— Chodź ze mną, Leonie. Mam z tobą parę rzeczy do omówienia. Możesz przejść ze mną do Conciergerie.

Szata Leona zakołysała się, kiedy się poruszał, ale po chwili zamarła.

— Może powinniśmy tu zostać, *Monseigneur*. Tak łatwiej rozmawiać. A Nicolas chciał już wyjść, prawda, Nicolasie?

— Tak, oczywiście. Jak tylko pobieram rysunki, *Monseigneur*.

— Nie, nie, spieszę się. Chodź szybko. — Tata wyszedł. *Oncle* Leon wciąż się wahał. Nie chciał zostawić mnie samej z Nicolasem.

— Idź — syknęłam. Poszedł.

Nie wyszłam spod stołu — zostałam tam na kolanach. Po chwili pojawił się tam Nicolas. Spojrzeliśmy na siebie.

— *Bonjour, Mademoiselle* — powiedział. Uśmiechnęłam się. Wcale nie przypominał mężczyzny, za

którego chcieliby mnie wydać rodzice. Cieszyłam się z tego.

— Pocałujesz mnie więc?

Położył mnie na plecach i wdrapał się na mnie, zanim zdołałam się zorientować, co się dzieje. A potem poczułam jego język głęboko w ustach, a dłonie na piersiach. To było dziwne. Marzyłam o tym, od kiedy go poznałam, ale kiedy czułam go na sobie, jego mokry język w uchu, a przyrodzenie wciskające się mocno w mój brzuch, byłam zaskoczona, że tak bardzo różni się to od moich marzeń.

Części mnie nawet to odpowiadało — chciałam, żeby przyrodzenie nacisnęło mocniej, i nie przez te wszystkie ubrania. Chciałam dotykać jego ciała — ścisnąć tyłek jak dwie wiśnie i mierzyć rękami jego szerokie bary. Pocałowałam go, jakbym gryzła figę.

Ale prawdziwym wstrząsem było to, że czułam, jak mokry język penetruje wnętrze mojego ucha, że męskie ciało przyciska mnie mocno do posadzki, a dłonie dotykają miejsc, których nikt nigdy nie dotykał. I nie sądziłam, że będę tyle myśleć przy mężczyźnie. Jednak słowa towarzyszyły każdej czynności Nicolasa: „Dlaczego to robi? Ma taki mokry język”. I jeszcze: „Jego pas wbija mi się w bok”, i „Czy to przyjemne?”

Myślałam też o ojcu — o tym, że jestem pod stołem w jego komnacie i o tym, jaką wartość ma dla niego moje dziewictwo. Czy mogę je odrzucić ot tak, jak nie przymierzając Marie-Cé-leste? Być może to właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, nie pozwalało mi zaznać przyjemności.

— Czy powinniśmy to robić? — szepnęłam, kiedy zaczął kasać moje piersi przez materiał sukni.

— Wiem, że jesteśmy szaleni. Ale może już nie będziemy mieli następnej szansy. — Nicolas zaczął ciągnąć moją spódnicę. — Nigdy nie zostawią córki Jeana Le Viste samej ze zwykłym malarzem. — Uniósł spódnicę i przeciągnął dłonią po udzie. — A teraz, piękna, to jest *mon seul désir*. — Z tymi słowami dotknął mego dziewictwa. Poczułam falę przyjemności tak wielką że byłam gotowa mu je oddać.

— Claude!

Spojrzałam za siebie i dostrzegłam rozzłoszczoną twarz Béatrice do góry nogami.

Nicolas cofnął rękę spod mojej spódnicy, ale nie zszedł ze mnie od razu. To mi się spodobało. Spojrzał na Béatrice, a potem pocałował mnie głęboko i powoli wyprostował się na kolanach.

— Za coś takiego naprawdę wyjdę za ciebie za mąż, Nicolasie des Innocents — powiedziała Béatrice. — Przysięgam, że to zrobię.

Genevieve de Nanterre

Beatrice powiedziała mi, że stanik mojej sukni zrobił się zbyt luźny.

— Albo będziesz więcej jeść, *Madame*, albo musimy posłać po krawca.

— Wezwijcie krawca.

Nie była to odpowiedź, na którą czekała, i Beatrice zaczęła się we mnie wpatrywać swoimi wielkimi, brązowymi jak u psa oczami, aż odwróciłam się od niej i zaczęłam się bawić różańcem. Moja matka też tak na mnie patrzyła — chociaż jej spojrzenia są bardziej przenikliwe — kiedy zabrałam dziewczynki z wizytą do Nanterre. Powiedziałam jej, że Claude nie przyjechała z powodu bólu brzucha, na który też cierpię. Nie uwierzyła mi, tak jak ja nie uwierzyłam Claude. Może to już tak zawsze jest, że córki kłamią matkom, a one na to pozwalają.

Cieszyłam się, że Claude z nami nie pojechała, chociaż dziewczynki błagały ją żeby nie zostawała. Jesteśmy z nią jak dwa koty, które krążą wokół siebie, nastroszywszy futro. Claude dąsa się na mnie i co jakiś czas spogląda krytycznie. Wiem, że się ze mną porównuje i nie chce być do mnie podobna.

Ja też tego nie chcę.

Po powrocie z Nanterre poszłam do księdza Hugo. Kiedy usiadłam w ławce obok, stwierdził:

— *Yrayment, mon enfant*, nie mogłaś nagrzeszyć tyle w ciągu trzech dni, żeby znowu potrzebować spowiedzi. — Powiedział

to uprzejmie, ale kwaśnym tonem. Tak naprawdę boi się o mnie, podobnie jak ja boję się o siebie.

Powtórzyłam słowa, które już znał, patrząc prosto na podrapaną ławkę przed nami.

— Mam tylko jedno pragnienie, żeby wstąpić do zakonu w Chelles — powiedziałam. — *Mon seul desir*. Moja babka wstąpiła do niego przed śmiercią, a moja matka na pewno też to zrobi.

— Przecież nie umierasz, *mon enfant*. Ani twój mąż. Twoja babka była wdową kiedy złożyła śluby.

— Czy sądzi ksiądz, że moja wiara nie jest dość silna? Czy mam ją jeszcze potwierdzić?

— To nie twoja wiara jest silna, ale pragnienie, by porzucić swe życie. I to mnie martwi. Jestem pewny twojej wiary, ale powinnaś chcieć poświęcić się Chrystusowi.

— Ależ chcę!

— ..poświęcić się Chrystusowi, nie myśląc o sobie i swoim ziemskim życiu. Zakon nie powinien być miejscem ucieczki od życia, którego nienawidzisz...

— Którym się brzydzę! — Ugryzłam się w język. Ksiądz Hugo odczekał chwilę, a potem powiedział:

— Najlepsze zakonnice to często takie, które były szczęśliwe poza murami klasztoru i są szczęśliwe w jego obrębie.

Siedziałam cicho z pochyloną głową. Zrozumiałam, że nie powinnam była mówić w ten sposób. Powinnam wykazać więcej cierpliwości — zmiękczać księdza Hugo przez parę miesięcy, rok, nawet dwa lata, żeby w końcu wykielkowało w nim ziarenko zgody. A ja zwróciłam się do niego nagle i z rozpaczą. Oczywiście to nie ksiądz Hugo decyduje, kogo przyjmują do Chelles — tylko matka przełożona Catherine de Lignieres ma taką władzę. Jednak żeby zostać zakonnica potrzebowałabym zgody męża i muszę mieć poparcie kogoś ważnego. Ksiądz Hugo jest właśnie taką osobą.

Jeszcze coś mogło poruszyć księdza Hugo. Wygładziłam spódnice i chrząknęłam, chcąc przeczyścić gardło.

— Miałam bardzo duży posag — rzekłam cicho. — Gdybym została oblubienicą Chrystusa, mogłabym oddać jego część Saint-Germain-des-Prés w podzięcie za pomoc. Gdyby tylko porozmawiał ksiądz z moim mężem... — nie dokończyłam zdania.

Teraz z kolei milczał ksiądz Hugo. Czekając, wodziłam palcem wzdłuż zadrapania na ławce. Kiedy w końcu się odezwał, wyczułam w jego głosie szczery żal — tyle że nie wiem, czy z powodu tego, co powiedział, czy pieniędzy, które wyśliznęły mu się z rąk.

— Genevieve, przecież wiesz, że Jean Le Viste nigdy się nie zgodzi, żebyś wstąpiła do klasztoru. Potrzebuje żony, a nie zakonnicy.

— Mógłby ksiądz z nim porozmawiać, przekonać, że powinnam wstąpić do Chelles.

— A czy sama rozmawiałaś z nim na ten temat, jak ci radziłem poprzednio?

— Nie, bo mnie nie słucha. Ale jestem pewna, że posłuchałby księdza. Mój mąż liczy się z księdza zdaniem.

— Masz teraz czysty rachunek, *mon enfant*. Nie kłam — prychnął.

— Liczy się ze zdaniem Kościoła!

— Kościół nie ma na niego takiego wpływu, jak moglibyśmy sobie życzyć — rzekł ostrożnie ksiądz Hugo.

Milczałam, dotknięta obojętnością mojego męża. Czyżby miał się za to smażyć w piekle?

— Idź do domu, Genevieve — powiedział ksiądz Hugo, starając się, by zabrzmiało to uprzejmie. — Masz trzy śliczne córki, piękny dom i męża, który służy Królowi. Wiele kobiet uznałoby to za prawdziwe błogosławieństwo. Bądź matką i żoną mów pacierze, a może spłyną na ciebie łaski Najświętszej Panienki.

— I na moje zimne łóżko... Czy na nie też spłyną Jej łaski?

— Idź w pokoju, *mon enfant*. — Ksiądz Hugo już zaczął wstawać.

Nie wyszłam od razu. Nie chciałam wracać na rue du Four — do patrzącej na mnie krytycznie Claude i do Jeana, który nigdy

na mnie nie patrzył. Wolałam zostać w kościele, który stał się moim schronieniem.

Saint-Germain-des-Pres to najstarszy kościół w Paryżu i byłam zadowolona, kiedy osiedliliśmy się nieopodal. Ma ładne i ciche krużganki, a dookoła rozciągają się piękne widoki. Kiedy stanie się po stronie rzeki, z dziedzińca widać Luwr. Przedtem mieszkaliśmy przy Notre Dame, ale ten kościół jest dla mnie za duży — kręci mi się w głowie, kiedy patrzę w górę. Oczywiście Jeanowi się tam podobało — odpowiada mu każde miejsce, które jest na tyle wspaniałe, by mógł się tam zjawić Król. Teraz jednak mieszkamy na tyle blisko Saint-Germain-des-Pres, że nawet nie potrzebuję lokaja, by mnie tam odprowadzał.

Moje ulubione miejsce w kościele to kaplica świętej Genevieve, patronki Paryża, która pochodziła z Nanterre i której imię noszę. Znajduje się ona za absydą i tam też się udałam po spowiedzi. Klękając, powiedziałam dworkom, żeby zostawiły mnie samą. Usiadły na schodku wiodącym do kaplicy i zaczęły coś szeptać, aż w końcu musiałam się do nich odwrócić.

— Powinnyście pamiętać, że to Dom Boży, a nie miejsce na plotki. Zaczniecie się modlić albo idźcie sobie.

Wszystkie pochyliły głowy, chociaż wcześniej Beatrice przeszła mnie spojrzeniem swoich brązowych oczu. Patrzyłam na nią, dopóki nie spuściła głowy i nie zamknęła oczu. Odwróciłam się, kiedy zauważyłam, że zaczęła poruszać ustami.

Sama się nie modliłam, ale patrzyłam na dwa witraże przedstawiające Najświętszą Panią. Nie widzę już tak dobrze, jak kiedyś — nie widziałam zarysów postaci, a tylko kolory: błękitny, czerwienie, zielenie i brązy. Zaczęłam liczyć żółte kwiaty na obramowaniu witraży i zastanawiać się nad ich nazwą.

Jean od miesięcy nie przyszedł do mego łóżka. Zawsze traktował mnie bardzo oficjalnie przy obcych, jak przystoi w naszych sferach. Ale kiedyś był cieplejszy dla mnie w łóżku. Po urodzeniu Małej Genevieve przychodził do mnie nawet częściej, pragnąc w końcu spłodzić syna i dziedzica. Parę razy zachodziłam w ciążę, ale nie mogłam jej donosić. Przez dwa ostatnie lata na-

wet o tym nie było mowy. Moje okresy zanikły, ale nic mu o tym nie powiedziałam. Sam się jakoś dowiedział — od Marie-Celeste czy którejś z moich dworek, choćby nawet Beatrice. W tym domu nikt nie wie, co to prawdziwa wierność. Kiedy się tego dowiedział, przyszedł do mnie którejś nocy. Oznajmił, że zawiodłam w jedynej rzeczy, której oczekuje się od żony, i że już mnie nie tknie.

Miał rację. Zawiodłam. Widzę to po minach różnych ludzi — Beatrice, moich dworek, mojej matki, naszych gości, a nawet Claude, która miała w tym swój udział. Pamiętam, że kiedy miała siedem lat, przyszła do mojej komnaty po tym, jak urodziłam Małą Genevieve. Popatrzyła na zawinięte w pieluchy dziecko, które trzymałam w ramionach, a kiedy dowiedziała się, że to nie chłopiec, pociągnęła nosem i obróciła się na pięcie. Oczywiście kocha teraz Małą Genevieve, ale wolałaby mieć brata i zadowolonego ojca.

Czuję się jak ptak, którego dosięgła czyjaś strzała i który nie może latać.

Jean okazałby miłosierdzie, pozwalając mi wstąpić do klasztoru. Ale on nie jest miłosierny. I wciąż mnie potrzebuje. Nawet jeśli mną pogardza, chce, żebym mu towarzyszyła w czasie posiłków i przyjęć, a także wtedy, gdy jedzie na Dwór Królewski. Źle by wyglądało, gdyby miejsce obok było puste. Poza tym na Dworze śmiano by się z mężczyzny, którego żona uciekła do klasztoru. Nie, wiem, że ksiądz Hugo ma rację — Jean może mnie nie chcieć, ale wciąż będzie mnie trzymał przy swoim boku. Większość mężczyzn tak postępuje — starsze kobiety, które idą do klasztoru, to zazwyczaj wdowy, a nie żony. Tylko nieliczni mężowie decydują się je tam wysłać, niezależnie od swoich grzechów.

Czasami, kiedy idę nad Sekwanę, żeby popatrzeć na znajdujący się po drugiej stronie Luwr, myślę o tym, żeby rzucić się do wody. To dlatego moje damy dworu są tak blisko. One wiedzą. Właśnie słyszałam, jak jedna z nich westchnęła z nudów. Przez chwilę zrobiło mi się ich nawet żal. Przecież muszą być ze mną niemal cały czas.

Ale z drugiej strony właśnie dzięki temu mają piękne suknie, jedzenie, a wieczorem ciepło paleniska. Ich ciastka są słodsze niż inne, a kucharz nie żałuje im przypraw — cynamonu, kwiatu i gałki muszkatołowej, imbiru — bo gotuje dla wielmożów.

Upuściłam różaniec na posadzkę.

— Beatrice, podnieś go — zawołałam.

Dwie damy pomogły mi wstać, a Beatrice uklękła, żeby podnieść różaniec.

— Chciałabym z tobą porozmawiać, *Madame* — powiedziała ściszym głosem, podając mi moją własność. — Sam na sam.

Chodziło pewnie o Claude, która już nie potrzebowała niańki, jak Jeanne i Mała Genevieve, ale prawdziwej damy dworu. Pożyczałam jej co jakiś czas Beatrice, żeby sprawdzić, jak im się razem układa. Mogę zrezygnować z Beatrice — nie mam już tak dużych potrzeb. Kobieta, która dopiero zaczyna życie, znacznie bardziej potrzebuje dobrej dworki. Poza tym Beatrice wciąż mówiła mi wszystko o Claude, bym mogła ją przygotować do zadań dorosłej kobiety i chronić przed zdradą. Jednak któregoś dnia pójdzie do swojej nowej pani i już nie wróci.

Czekałam, aż wyjdziemy z kościoła i przejdziemy do wielkiej bramy klasztoru. Wychodząc na ulicę, powiedziałam:

— Chętnie się przejdę nad rzekę. Beatrice pójdzie ze mną a reszta może wracać. Jeśli zobaczycie moje córki, powiedzcie im, żeby później przyszły do mojej komnaty. Chcę z nimi porozmawiać.

Zanim zdążyły coś powiedzieć, pociągnęłam Beatrice za rękaw i skręciłam na drogę wiodącą w stronę rzeki. Moje dworki musiały skręcić w prawo, żeby wrócić do domu. Chociaż dotarły do mnie pomruki dezaprobaty, to chyba jednak mnie posłuchały, bo nie słyszałam za sobą ich kroków.

Przechodnie na rue de Seine zatrzymywali się, widząc kobietę z wyższych sfer bez odpowiedniej asysty. Ja z ulgą pożegnałam się z dworkami, które bez przerwy kręciły się wokół mnie. Czasami potrafią być głośnie i męczące, zwłaszcza kiedy

szukam spokoju. Nie wytrwałyby nawet dnia w zakonie. Nigdy ich nie biorę ze sobą, kiedy jadę do Chelles — z wyjątkiem Béatrice, ma się rozumieć.

Mężczyzna, który wraz ze swoim skrybą przechodził drugą stroną ulicy, skłonił mi się tak nisko, że nie mogłam go rozpoznać, widząc jedynie czubek jego kapelusza. Dopiero kiedy się wyprostował, rozpoznałam Michela d'Orléans, znajomego Jeana z Dworu, który parę razy przyjeżdżał do nas na obiad.

— O pani, jestem do twoich usług — powiedział teraz. — Powiedz mi, gdzie mam cię odprowadzić. Nie pozwolę, byś chodziła sama ulicami Paryża, *Madame*. Cóż by pomyślał o mnie Jean Le Viste, gdybym na to pozwolił?

Patrzył mi w oczy na tyle długo, na ile pozwoliła mu jego odwaga. Kiedyś dał mi do zrozumienia, że moglibyśmy zostać kochankami, gdybym sobie tego życzyła. Nie chciałam tego, ale czasami, kiedy go spotykam, nadal patrzy na mnie pytająco.

Nigdy nie miałam kochanka, chociaż wiele kobiet tak robi. Nie chcę dawać Jeanowi bronii do ręki. Gdybym popełniła grzech cudzołóstwa, mógłby ożenić się z kimś innym, by spłodzić syna. Nie czuję się aż tak bardzo samotna w łożu, by tak łatwo zrezygnować z przynależnego mi tytułu.

— Dziękuję, *Monsieur* — rzekłam, uśmiechając się uprzejmie — ale nie jestem sama. Mam ze sobą moją dworzkę. Idziemy nad rzekę, by popatrzeć na łodzie.

— Więc pójdę z wami.

— Nie, nie, panie. Jesteś zbyt uprzejmy. Zapewne masz jakąś ważną sprawę, skoro wzięłaś ze sobą skrybę. Nie chciałabym cię zatrzymywać.

— Ależ, pani, nic nie jest ważniejsze od tego, by być z tobą. Znowu się uśmiechnęłam, ale bardziej stanowczo i mniej uprzejmie.

— Gdyby mój mąż, panie, odkrył, że zaniedbałaś z mego powodu pracę dla Króla i Dworu, byłby ze mnie bardzo niezadowolony. Przecież nie chcesz, by się na mnie gniewał, prawda?

Na te słowa Michel d'Orleans cofnął się zakłopotany. Kiedy parokrotnie przeprosił i ruszył swoją drogą zaczęłyśmy chichotać z Beatrice. Nie śmiałyśmy się tak już od jakiegoś czasu i przypomniało mi się, jak zaśmiewałyśmy się obie, gdy byłyśmy młodsze. Będzie mi jej brakować, kiedy przejdzie do Claude. Zostanie u niej już na dobre, chyba że Claude pozwoli jej wyjść za mąż i opuścić służbę.

Na rzece pełno było łodzi płynących z prądem lub pod prąd. Na przeciwległym brzegu jacyś ludzie zajmowali się rozładunkiem worków z mąką które miały trafić do wielu kuchni Luwru. Patrzyłyśmy na to wszystko przez jakiś czas. Zawsze lubiłam Sekwanę — nosi ona w sobie obietnicę ucieczki.

— Mam ci coś do powiedzenia na temat Claude, pani — odezwała się w końcu Beatrice. — Bardzo głupio się zachowała.

Westchnęłam. Nie chciałam nic wiedzieć na ten temat, ale byłam przecież jej matką.

— Co takiego zrobiła?

— Czy pamiętasz, pani, artystę, Nicolasa des Innocents? Tego, który ma zaprojektować gobeliny do Sali Paradnej?

Patrzyłam na niewielką plamkę słońca na wodzie.

— Pamiętam.

— Kiedy wyjechałaś, była z nim sama. Pod stołem!

— Pod stołem? Gdzie?

Zawahała się, a w jej wielkich oczach pojawił się strach. Beatrice ubiera się ładnie, jak wszystkie moje dworki. Ale nawet najprzedniejszy jedwab z dodatkiem złotych nici i zdobiony klejnotami nie jest w stanie dodać jej urody. Oczy ma być może żywe, ale zapadnięte policzki i zadarty nos, a w dodatku czerwieni się przy byle okazji. Teraz też była cała czerwona.

— W jej komnacie? — podsunęłam jej.

— Nie.

— W Sali Paradnej?

— Nie.

Moje podpowiedzi irytowały ją tak jak mnie jej wahanie. Znowu spojrzałam na rzekę, zdusiwszy w sobie chęć krzyknąć-

cia na nią. W przypadku Beatrice lepiej zdobyć się na odrobinę cierpliwości.

Dwaj mężczyźni łowili ryby z łodzi znajdującej się nieopodal. Sznury mieli luźne, ale wcale ich to nie martwiło — gawędzili sobie, śmiejąc się z czegoś. Nie zauważyli nas, z czego byłam zadowolona. Gdyby nas dostrzegli, zaraz by się nam ukłonili i odpłynęli gdzie indziej. To, że widzi się szczęśliwych zwykłych ludzi, jakoś podnosi na duchu.

— To było w komnacie twego męża, *Madame* — szepnęła Beatrice, chociaż i tak nikt jej w tej chwili nie mógł słyszeć.

— *Sainte Vierge!* — Przeżegnałam się. — Jak długo była z nim sama?

— Nie wiem. Myślę, że parę chwil. Ale byli... — Urwała. Miałam ochotę nią potrząsnąć.

— Byli?

— Nie całkiem...

— Ale gdzie, na miłość boską ty byłaś?! Przecież miałaś nie spuszczać jej z oka! — Zostawiłam Beatrice z Claude, by ją przed tym chronić.

— I nie spuszczałam! Ale ona mnie oszukała. Poprosiła, żebym jej przyniosła... — Beatrice potrząsnęła swoim różańcem. — Och, to bez znaczenia! Ale nie straciła dziewictwa, *Madame*.

— Jesteś pewna?

— Tak. On... on się jeszcze nie rozebrał.

— Ale ona tak?

— Tylko częściowo.

Mimo gniewu chciało mi się śmiać, gdy myślałam o bezczelności Claude. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby Jean ją złapał.

— I co zrobiłaś?

— Wypędziłam go! Naprawdę.

Nie zrobiła tego — widziałam po jej minie. Nicolas des Innocents pewnie się z niej śmiał, a potem zbierał się bardzo powoli.

— I co zrobisz, *Madame*?

— A co ty zrobiłaś, kiedy wyszedł? Co powiedziałaś Claude?

— Powiedziałam, że na pewno zechcesz z nią o tym porozmawiać.

— Czy błagała cię, byś zachowała milczenie? Beatrice zmarszczyła brwi.

— Nie. Roześmiała mi się w twarz, a potem uciekła. Zgrzytnęłam zębami. Claude doskonale wie, jak ważne dla Le

Viste'ow jest jej dziewictwo — wszystko z nią musi być w porządku, by mogła poślubić kogoś godnego. Jej mąż odziedziczy kiedyś fortunę rodu, a być może też nazwisko. Dom przy rue du Four, Chateau d'Arcy, meble, klejnoty, nawet zamówione przez Jeana gobeliny — to wszystko dostanie się mężowi Claude. Jean wybierze go starannie, a on z kolei będzie wymagał od Claude, by była pobożna, szacowna, podziwiana i oczywiście, by była dziewicą. Gdyby jej ojciec ją złapał... Aż zadrżałam.

— Porozmawiam z nią — powiedziałam, wybacząc Beatrice, wściekła na córkę, że ryzykowała tak wiele, otrzymując w zamian tak mało. — I to zaraz.

Kiedy wróciłyśmy, okazało się, że damy dworu już przyprowadziły moje córki do mojej komnaty. Mała Genevieve i Jeanne podbiegły, by się ze mną przywitać, ale Claude nawet na mnie nie spojrzała — siedziała przy oknie, bawiąc się z psiakiem, którego trzymała na kolanach.

Zapomniałam już, po co kazałam im tu przyjść. Ale dwie młodsze dziewczynki — a zwłaszcza Mała Genevieve — tak bardzo chciały mnie widzieć, że musiałam coś szybko wymyślić.

— Dziewczęta, wiecie, że już niedługo obeschną drogi i pojedziemy do Chateau d'Arcy na lato.

Jeanne zaklaskała w dłonie. Z całej trójki ona najbardziej lubiła letnie pobyty na zamku. Biegała sobie, gdzie chciała, z dziećmi z okolicznych gospodarstw i prawie nie nosiła butów.

Claude westchnęła ciężko i wzięła mordkę psa w dłonie.

— Chcę zostać w Paryżu — mruknęła.

— Zdecydowałam, że przed wyjazdem urządzimy obchody Pierwszego Maja — ciągnęłam. — Będziecie mogły włożyć swoje nowe sukienki.

Zawsze na Wielkanoc kazałam szyć moim córkom i damom dworu nowe suknie.

Dworki, z wyjątkiem Beatrice, zaraz zaczęły trajkotać.

— Claude, chodź ze mną. Chciałabym obejrzeć twoją suknię. Nie wiem, czy ma odpowiednie wycięcie. — Podeszłam do drzwi i obróciłam się w jej stronę. — Pójdziemy we dwie — dodałam, widząc poruszenie wśród dam. — To zajmie chwilę.

Claude wydeła wargi i nie ruszyła się z miejsca. Wciąż bawiła się z pieskiem, podnosząc i opuszczając jego uszy.

— Masz iść ze mną bo inaczej sama podreę tę suknię! — rzuciłam ostro.

Dworki wstrzymały oddech, Beatrice patrzyła na mnie, a Jeanne krzyknęła:

— *Maman!*

Oczy Claude rozszerzyły się, spojrzała na mnie z wściekłością a potem zrzuciła psiaka tak gwałtownie, że aż zaskamlał. Przeszła obok, nawet na mnie nie patrząc. Szłam za nią do jej pokoju, patrząc na jej sztywne plecy.

Jej pokój jest mniejszy i gorzej wyposażony niż mój. Wiadomo przecież, że przez większą część dnia nie towarzyszy jej pięć dworek. Moje damy potrzebują krzesel i stołu. Muszą mieć poduszki, stołeczki, ogień w kominku, gobeliny i wino w dzbanach. Claude ma tylko przykryte żółto-czerwonym jedwabiem łóżko, krzesło i mały stolik oraz komodę na stroje. Jej okno wychodzi na podwórko, a nie tak jak moje na kościół.

Claude podeszła wprost do komody, wyjęła nową suknię i rzuciła ją na łóżko. Patrzyłyśmy na nią przez moment. Była naprawdę śliczna: z czarno-żółtego jedwabiu z wzorem z granatów i jasnożółtą suknią wierzchnią. Moja nowa suknia ma taki sam wzór, chociaż suknia spodnia jest przykryta ciemnoczerwonym jedwabiem. Będziemy rzucać się w oczy na uroczystościach — teraz, kiedy to sobie przemyślałam, chciałabym mieć zupełnie inną suknię, żeby nie porównywano mnie z Claude.

— Wycięcie jest w porządku — powiedziałam. — Chciałam pomówić z tobą o czymś innym.

— Więc o czym? — Claude podeszła do okna.

— Jeśli w dalszym ciągu będziesz niegrzeczna, odeślę cię do babki — zagroziłam. — Ona już cię nauczy szacunku dla matki.

Moja matka nie zawaha się jej wybatożyć, niezależnie od tego, czy jest dziedziczką Jeana Le Viste czy nie.

— Przepraszam, mamó — wymamrotała po chwili Claude.

— Spójrz na mnie, Claude.

W końcu to zrobiła — w jej zielonych oczach więcej było zmieszania niż gniewu.

— Béatrice powiedziała mi o tym, co robiłaś z artystą. Córka wywróciła oczami.

— Béatrice jest nielojalna.

— *Au contraire*, zrobiła właśnie to, co powinna. Wciąż jest moją damą i powinna mnie słuchać. Ale nie o to chodzi. Co ty sobie wyobrażasz? W dodatku robiąc to w komnacie ojca.

— Pragnę go, *Maman*. — Twarz Claude rozjaśniła się jak niebo po burzy.

— Nie gadaj bzdur — warknęłam. — Wiesz dobrze, że to niemożliwe. Nawet nie masz pojęcia, co to znaczy.

Burza nagle wróciła.

— A co ty o mnie wiesz?!

— Tyle, że nie powinnaś się zadawać z ludźmi tego pokroju. Artysta jest tylko nieco lepszy niż wieśniak!

— Nieprawda!

— Doskonale wiesz, że dostaniesz mężczyznę, którego wybierze ci ojciec. Wielmożę, który poślubi córkę wielmoży. Nie wolno ci się uganiać ani za artystą ani za nikim innym.

Claude spojrzała na mnie ze złością.

— To, że nie dzielisz z tatą łoża, nie znaczy, że ja też muszę być twarda i zimna niczym wyschnięta grusza!

Przez chwilę myślałam, że uderzę ją tak mocno w jędrny policzek, że zacznie krwawić. Wzięłam głęboki oddech.

— *Ma filie*, to ty nic o mnie nie wiesz. — Otworzyłam drzwi. — Béatrice! — wrzasnęłam tak głośno, że mój głos roz-

niósł się po całym domu. Musiał go usłyszeć zarządca w magazynie, kucharz w kuchni, stajenni w stajni i pokojówki na schodach. Jeśli Jean był w domu, z pewnością usłyszał go w swojej komnacie.

Nastąpiła krótka cisza, jak przerwa między błyskiem i uderzeniem pioruna. A potem drzwi do sąsiedniej komnaty otworzyły się z trzaskiem i nadbiegła Beatrice, a za nią damy dworu. Zwolniła, kiedy zobaczyła mnie przy drzwiach. Dworki zatrzymywały się po kolei, niczym perły nanizane na sznurek. Jeanne i Mała Genevieve pozostały w mojej komnacie i tylko wychylały się na zewnątrz.

Chwyciłam Claude za ramię i przyciągnęłam brutalnie do drzwi, tak by stanęła przed Beatrice.

— Beatrice, jesteś teraz damą mojej córki. Masz być przy niej cały czas, dniem i nocą. Będziesz z nią chodzić na msze i na rynek, z wizytą do krawca i na lekcje tańca. Będziesz z nią jadła, jeździła i spała — nie w pobliżu, ale w jej łóżku. Nigdy jej nie opuścisz. Będziesz przy niej stała, kiedy będzie siusiać do nocnika. — Jedna z dwerek westchnęła. — Usłyszysz, jak kichnie. Poczujesz, kiedy beknie czy pierdnie. — Claude zaczęła płakać. — Będziesz wiedziała, kiedy trzeba ją uczesać, kiedy ma okres i kiedy płacze. W czasie uroczystości na Pierwszego Maja masz dopilnować wraz ze wszystkimi moimi damami, żeby Claude nie zbliżyła się do żadnego mężczyzny. Nie wolno jej przy żadnym stanąć, z żadnym tańczyć ani rozmawiać, ponieważ nie można jej ufać. Niech ma to, na co zasłużyła. Jednak najpierw moja córka musi się nauczyć szacunku dla rodziców. W tym celu zabierzesz ją natychmiast na tydzień do mojej matki do Nanterre. Wyślę posłańca z informacją że w razie czego może skorzystać z bata.

— Mamo, nie... — szepnęła Claude.

— Cisza! — Spojrzałam twardo na Beatrice. — Beatrice, pomóż jej się spakować.

Beatrice zagryzła wargi.

— Tak, pani — rzekła, spuszczać głowę. — *Bien sur.*

Wśliznęła się między mnie a Claude i podeszła do komody ze strojami.

Wyszłam z pokoju Claude i ruszyłam do swojej komnaty. Kiedy przechodziłam koło dworek, one po kolei szły za mną, więc przypominałam kaczkę z czwórką kacząt. Przy drzwiach stały moje dwie córki ze spuszczoneymi głowami. One też pospieszyły za mną. Jedna z dworek zamknęła drzwi. Obróciłam się do nich wszystkich.

— Pomódlmy się za zbawienie duszy Claude — rzekłam, patrząc na ich pełne powagi twarze.

Klęknięłyśmy razem.

II

BRUKSELA

Zielone świątki 1490

Georges de laChapelle

Jak tylko go zobaczyłem, wiedziałem, że go nie polubię. Zwykle nie jestem taki szybki w sądach — zostawiam to żonie. Ale kiedy wszedł z Leonem Le Vieux, rozejrzał się po mojej pracowni tak, jakby mieściła się przy jakiejś nędznej paryskiej ulicy, a nie przy rue Haute, niedaleko Place de la Chapelle — miejsca wystarczająco szacownego dla *lissier*. Potem nie spojrział mi nawet w oczy, tylko wodził wzrokiem za Christine i Alienor, które kręciły się po pomieszczeniu, gdy tak stał w swoim krótkim, dobrze skrojonym kaftanie i obcisłych, paryskich pończochach. Jest zbyt pewny siebie, pomyślałem. Będą z nim same kłopoty.

Zdziwiłem się, że w ogóle przyjechał. Zajmuję się tkaniem już od trzydziestu lat i nigdy jeszcze nie przyjechał do mnie żaden artysta z Paryża. Nie ma takiej konieczności — potrzebuję tylko projektów i dobrego rysownika, takiego jak Philippe de la Tour, by je powiększył. Artyści nie mogą pomóc *lissier*.

Leon nie uprzedził mnie, że weźmie ze sobą tego Nicolasa des Innocents, i przyjechali wcześniej, niż się spodziewałem. Wszyscy byliśmy w pracowni, przygotowując się do odcięcia utkanego gobelinu. Wyjąłem już projekt spod spodu i zacząłem go zwijać, by dołączyć do innych moich projektów. Georges Le Jeune zbierał ostatnie szpulki. Luc zamiatał podłogę w miejscu, gdzie mieliśmy położyć wycięty z krosien gobelin. Christine i Alienor zaszywały ostatnie luki w osnowie, które zostały między kolorami. Philippe de la Tour stał obok, nawlekając nitkę na

igłę Alienor, szukając jej, gdy upadła, i znajdując kolejne luki do zaszycia. Nie potrzebowaliśmy go, ale wiedział, że dzisiaj będzie wycinanie gobelinu, więc znalazł jakiś pretekst, by zostać.

Kiedy Leon Le Vieux pojawił się w jednym z wychodzących na ulicę okien, skoczyliśmy razem z żoną na równe nogi, a ona pobiegła otworzyć mu drzwi. Zdziwiło nas to, że wszedł za nim ktoś obcy, ale kiedy Leon powiedział, że jest to artysta, który wykonał projekt nowego gobelinu, skinąłem głową i powiedziałem:

— Witajcie, panowie. Moja żona zaraz przyniesie wam jedzenie i picie.

Christine pospieszyła do przylegającego do pracowni domu. Mamy dwa domy — w jednym jemy i śpimy, a w drugim mieści się pracownia. Okna i drzwi obu wychodzą na ulicę, a na ich tyłach znajduje się ogródek, tak by dać tkaczom światło, przy którym można pracować.

Alienor wstała, by pójść za matką.

— Powiedz matce, żeby przyniosła ser i ostrygi — szepnąłem cicho, kiedy prześliznęła się obok. — I poślij Madeleine po ciasteczka. I daj im duże piwo, a nie małe. — Obróciłem się w stronę nowo przybyłych. — Czy właśnie przyjechałeś do Brukseli? — spytałem Leona. — Spodziewałem się ciebie za tydzień, na Boże Ciało.

— Przyjechaliśmy wczoraj — odparł Leon. — Drogi były w dobrym stanie, prawdę mówiąc, bez śladu błota.

— Czy Bruksela zawsze jest tak cicha? — spytał Nicolas, zdejmując kawałki wełny z ubrania. Wkrótce będzie musiał porzucić ten odruch, jeśli chce tu zostać — wełna przywiera do wszystkiego w pracowni.

— Niektórzy uważają że już jest za głośna — odparłem chłodno, poirytowany tym, że zaczął tak szyderczym tonem. — Chociaż tu akurat jest ciszej niż na Grand Place. Nasza praca nie wymaga tego, by być blisko centrum. Zdaje się, panie, że jesteś przyzwyczajony do czegoś innego. Słyszeliśmy już, co się dzieje w Paryżu.

— Paryż to najwspanialsze miasto na świecie. Nigdy więcej już z niego nie wyjadę.

— Więc dlaczego zrobiłeś to teraz, skoro tak go lubisz? — spytał Georges Le Jeune. Potrząsnąłem głową słysząc to szczerze pytanie syna. Chociaż nie mogłem go za nie winić, sam chciałem o to spytać. Jeśli spotykam się z niegrzecznością odpłacam tym samym.

— Nicolas przyjechał ze mną ze względu na wagę tego zamówienia — wtrącił się zrećźnie Leon. — Kiedy zobaczycie projekty, zrozumiecie, że są wyjątkowe. Praca nad nimi może wymagać trochę nadzoru.

— Nie potrzebujemy nadzorców — prychnął Georges Le Jeune.

— To mój syn, Georges Le Jeune — powiedziałem. — I mój czeladnik Luc, który jeszcze dwa lata ma być w terminie, ale robi piękne *millefleurs*. A to Philippe de la Tour, który powiększa projekty.

Nicolas spojrział niechętnie na Philippe'a, który — zwykle blady — aż poczerwieniał.

— Nie pozwolę, aby inni zmieniali moją pracę — warknął. — Przyjechałem do tego obrzydliwego miasta tylko po to, żeby mieć pewność, że nikt niczego nie zmieni w moich projektach.

Nigdy jeszcze nie widziałem artysty tak przejętego swoją pracą. Powinien przecież wiedzieć — projekty zawsze się zmieniają przy przenoszeniu na materiał lub papier, z którego później korzystają tkacze. Taka już jest natura rzeczy, że to, co małe, nie zawsze wygląda ładnie w powiększeniu. Pojawiają się luki, które trzeba wypełnić — trzeba dodać postaci, drzewa, zwierzęta lub kwiaty. To właśnie potrafią świetnie robić rysownicy tacy jak Philippe — kiedy on przerysowuje projekt, wypełnia jednocześnie wolne miejsca, by gobeliny były wypełnione postaciami i tętniły życiem.

— Musisz znać się na projektowaniu gobelinów i zmianach, jakie w nich trzeba wprowadzać. — Nie chciałem tytułować go „panie”. I co z tego, że jest paryskim artystą — ja przecież mam dobrą pracownię w Brukseli. Nie muszę się przed nim płaszczyć.

Nicolas zmarszczył brwi.

— Jestem znany na Dworze jako...

— Nicolas cieszy się wielkim uznaniem Dworu — przerwał mu Léon — a Jean Le Viste był bardzo zadowolony z jego projektów.

Léon powiedział to zbyt szybko i zacząłem się zastanawiać, z czego tak naprawdę słynie Nicolas. Będę musiał wysłać Georges Le Jeune, żeby to sprawdził w cechu malarzy. Ktoś musiał tam o nim słyszeć.

Do czasu, kiedy kobiety wróciły zjedzeniem, byliśmy gotowi, by wyciąć gobelin. To dobry dzień dla tkaczy — nareszcie można zdjąć z krosien to, nad czym się pracowało tak długo — w tym przypadku osiem miesięcy. Ponieważ zawsze pracujemy tylko nad kawałkiem gobelinu, długości mniej więcej dłoni, który następnie nawija się wewnątrz na drewniany wał, nigdy nie widzimy całości aż do ukończenia pracy. Pracujemy, widząc go od tyłu, i nigdy nie wiemy, co jest z przodu, chyba że wsuniemy pod spód lustro. Dopiero po zdjęciu gobelinu z krosien i ułożeniu na podłodze widzimy efekt naszej pracy. Wtedy stoimy w ciszy, patrząc na to, co mamy przed sobą.

To jest jak jedzenie świeżych, wiosennych rzodkiewek po miesiącach pożywiania się starą rzepą. Czasami, kiedy zamawiający nie zapłaci zaliczki, a barwiarze i handlarze sprzedający jedwab, wełnę i złote szychy zaczynają się domagać pieniędzy, których nie mam, albo kiedy moi tkacze zaczynają się buntować lub gdy Christine mruczy coś o myszach kościelnych — właśnie wtedy tylko świadomość, że przyjdzie w końcu ten dzień ciszy, pozwala mi wytrwać przy pracy.

Wolałbym, żeby nie było tu w tej chwili Léona i Nicolasa. Nie spędzili przecież miesięcy zgięci nad krosnami, nie pocięli sobie palców złotym szychem i nie bolała ich głowa, gdy wypatrywali wybrzuszeń i fałd w osnowie. Ale oczywiście nie mogłem im powiedzieć, żeby sobie poszli, ani też okazać niechęci. *Lissier* nie okazuje tego kupcowi, z którym ma ubić interes.

— Jedzcie, proszę — zachęciłem, wskazując przyniesione przez Christine i Aliénor półmiski. — Zdejmujemy tylko gobelin

z krosien, a potem będziemy mogli porozmawiać o zamówieniu dla pana Le Viste.

Léon skinął głową ale Nicolas mruknął:

— Brukselska uczta, co? Szkoda gadać.

Mimo to podszedł do półmisków, wziął ostrygę i połknął ją odchyliwszy głowę do tyłu. Potem oblizał się i uśmiechnął do Aliénor, która obchodziła go, żeby podać stołek Leonowi. Zaśmiałem się cicho — w końcu go zadziwi, ale jeszcze nie teraz. Więc chyba nie jest jednak tak sprytny.

Przed wycinaniem gobelinu uklękliśmy, żeby pomodlić się do św. Maurycego, patrona tkaczy. Następnie Georges Le Jeune podał mi nożyczki. Wziąłem garść nici z osnowy, naciągnąłem je i przeciąłem. Christine westchnęła przy pierwszym ruchu nożyc, ale potem już wszyscy milczeli.

Kiedy skończyłem, Georges Le Jeune i Luc rozwinęli gobelin, który znajdował się na dolnym wale. To im należał się przywilej odcięcia dolnej części gobelinu, a następnie razem przenieśli go na oczyszczone miejsce. Skinąłem głową więc rozwinęli go wzorem do góry. Staliśmy w milczeniu, patrząc — wszyscy poza Aliénor, która poszła do części mieszkalnej po piwo dla chłopców.

Scena przedstawiała *Hołd Trzech Króli*. Klient z Hamburga dobrze nam zapłacił. Przy tkaniu korzystaliśmy nie tylko z wełny i jedwabiu, ale również ze srebrnych i złotych szychów, a tam, gdzie to było możliwe, łączyliśmy kolory i dodawali szrafowania, by wydobyć zróżnicowanie odcieni. Ta technika wydłużyła pracę, ale wiedziałem, że klient uzna, iż dobrze wydał pieniądze. Gobelin był wspaniały, nawet jeśli mówił to sam *lissier*.

Myślałem, że Nicolas tylko rzuci na niego okiem albo zacznie się krzywić na projekt i robotę i powie, że w Paryżu robią lepsze. Ale on w milczeniu wpatrywał się w gobelin, co lepiej mnie do niego nastroiło.

To Georges Le Jeune pierwszy przerwał ciszę.

— Suknia Matki Boskiej jest bardzo ładna — powiedział. — Przysięgnęłbym, że zrobiono ją z aksamitu.

— Nie tak piękna, jak szrafowane pończochy króla — od-

rzekł Luc. — Połączenie zielonego i czerwonego bardzo przyciąga uwagę.

Kreskowanie rzeczywiście wypadło wspaniale. Pozwoliłem Georgesowi Le Jeune, by sam je zrobił, a on bardzo się postarał. Nie tak łatwo wpleść cienkie szrafy jednego koloru w drugi, tak by się nie zlewały. Kreski kolorów muszą być dokładne — wystarczy trochę przesadzić, a ginie cały efekt różnicowania odcieni.

Georges Le Jeune i Luc zwykle chwalą pracę towarzysza. Potem będą się doszukiwać błędów w robocie kolegi — najpierw jednak chcą zobaczyć to, co dobre. Mój syn jest wspaniałomyślny, chwalać czeladnika. Przecież mógłby mu kazać pozamiatać albo przynieść wełnę. Ale pracujamięściami ramię przy ramieniu i jeśli dzieje się między nimi coś złego, cierpi na tym praca, a także my wszyscy. Co prawda, Luc wciąż się uczy, ale ma zadatki na dobrego tkacza.

— Czy *Hołdu Trzech Króli* nie zrobiono parę lat temu w Brukseli dla Charlesa de Bourbona? — spytał Leon. — Widziałem ten gobelin w jego domu w Paryżu. Tam też młodszy król miał zielone pończochy, o ile dobrze pamiętam.

Alienor przechodziła właśnie przez pracownię z kufkami pełnymi piwa. Zatrzymała się nagle, słysząc te słowa, i w ciszy, która nastąpiła, usłyszeliśmy, jak piwo leje się na podłogę. Otworzyłem usta, ale zaraz je zamknąłem. Leon przyłapał mnie, nawet tego nie planując.

Ten *Hold*, o którym mówił, wykonano w innym brukselskim warsztacie, ale Charles de Bourbon wykupił projekt, żeby nikt nie zrobił podobnego gobelinu. Tak spodobały mi się zielone pończochy, że postanowiłem je wykorzystać w tym projekcie, zakładając, że nikt z rodziny Charlesa de Bourbona nie będzie się fatygował do Hamburga, by obejrzeć moją pracę. Znałem dobrze innych *lissiers* i mogłem przekupić cech, by nikt o tym nie mówił. Możemy podkradać sobie klientów, ale w niektórych sprawach *lissiers* z Brukseli są bardzo solidarni.

Ale zapomniałem o Leonie Le Vieux. Widzi przecież większość przywożonych i wywożonych z Paryża prac i zawsze pa-

mięta szczegóły, zwłaszcza tak istotne, jak szrafowane czerwonymi nitkami zielone pończochy. Kopiując je, naruszyłem przyjęte zasady i teraz Leon mógł to wykorzystać w czasie targów, a ja wiedziałem, że będę musiał przystać na wszystkie jego żądania. Inaczej poinformuje Bourbonów, że skopiowałem ich projekt, i zostanę ukarany wysoką grzywną.

— Może zjesz ostrygę, *Monsieur*. — Moja kochana Christine podsunęła półmisek Leonowi. Sprytna z niej kobieta. Nie mogła naprawić mojego błędu, ale przynajmniej starała się odwrócić od niego uwagę.

Leon Le Vieux zerknął na nią.

— Ostrygi mi nie służą, *Madame*, ale bardzo dziękuję. Czy mogę prosić o ciasteczko?

Christine zagryzła wargi. W ten sposób wyrównał z nią rachunki — sprawił, że poczuła się nieswojo we własnym domu, a jednocześnie był dla niej bardzo grzeczny. Trudno go było lubić, trudno było nim pogardzać. Pracowałem dla niego wcześniej — podziwiał *millefleurs* z naszego warsztatu i załatwił nam parę zamówień — ale nie mógłbym go nazwać przyjacielem. Z nikim nie jest blisko.

— Chodźmy do domu, gdzie będziemy mogli rozłożyć projekty — powiedziałem do niego i Nicolasa, zapraszając też gestem Philippe'a, bo chciałem, żeby obejrzał obrazy. Georges Le Jeune też chciał pójść z nami, ale pokręciłem głową. — Zajmijcie się z Lukiem krosnami. Oczyszćcie wałki z resztek osnowy. Niedługo wrócę.

Georges Le Jeune ugiął się pod ciężarem mojej odmowy i obrócił do krosien. Christine spojrzała na niego, a potem przeniosła na mnie chmurne spojrzenie. Odpowiedziałem jej tym samym. Wiedziałem, że coś ją męczy. Powie mi później, o co chodzi — zawsze tak robi.

Właśnie wtedy odezwał się Nicolas des Innocents:

— Co ona robi?

Patrzył na Alienor, która przykucnęła przy gobelinie i przesuwiała rękami po jego powierzchni.

— Sprawdza swoją pracę — czerwieniąc się, odparł Philippe. Zawsze broni Alienor jak brat.

Poprowadziłem mężczyzn do środka, gdzie Christine i Madeleine rozstawiały na kozłach długi stół, przy którym jadamy. Pomieszczenie było ciemniejsze i bardziej zadymione, ale chciałem, żeby chłopcy zabrali się do pracy, nie zwracając uwagi na nowe zamówienie.

Leon zaczął rozwijać płótna, a Christine przyniosła ciężkie garnki i kufle, by przycisnąć ich brzegi. Zauważyłem, że kiedy je stawiała, zerknęła na projekty. Powie mi, co o nich myśli, później, kiedy zostaniemy sami.

— *Attendez*, nie tak trzeba na nie patrzeć. — Nicolas zaczął przesuwać obrazy. Nie chciałem na nie patrzeć, gdy się przy nich uwijał, więc odwróciłem się od czerwieni i błękitów, które zdążyłem dostrzec, i rozejrzałem się po pokoju, próbując patrzeć na niego oczami paryżan. Przypuszczam, że nawykli do większych luksusów — większego paleniska, a pewnie też oddzielnej izby do gotowania, większej liczby zdobień, większej liczby poduszek na krzesłach i srebrnych naczyń na półkach — zamiast cynowego dzbana — oraz gobelinów na ścianach. To dziwne, robię gobeliny dla innych, ale sam ich nie mam. Są zbyt drogie — *lissier* dobrze zarabia, ale i tak nie może sobie pozwolić na własne wyroby.

Być może Nicolas spodziewa się, że moja żona i córka będą miały piękne stroje i klejnoty do przybrania włosów oraz służbę na każde skinienie. Ale my nie pysznimy się bogactwem, tak jak paryżanie. Moja żona ma klejnoty, ale trzyma je zamknięte. Nasza służąca, Madeleine, bardzo nam pomaga, ale Christine i Alienor lubią zajmować się swoimi pracami, a zwłaszcza Alienor, która chce w ten sposób pokazać, że nie potrzebuje pomocy. Gdyby chciały, nie musiałyby zszywać gobelinów. Ich ręce byłyby gładkie, a ktoś inny kaleczyłby sobie palce igłą. Ale one wolą pomagać w warsztacie. Christine wie, jak ubrać krosna, i jest na tyle silna, by rozciągać nici osnowy jak mężczyzna. Jeśli brakuje mi tkacza, może się zająć łatwiejszą robotą chociaż

cech nie pozwoliłby na to, gdyby miało to trwać dłużej niż jeden, dwa dni.

— Skończone — powiedział Nicolas. Obróciłem się i stanąłem obok Philippe'a.

Kiedy negocjuje się cenę z przedstawicielem klienta, nie należy zaczynać od chwaleń projektu. Nigdy nie pokazuję, co tak naprawdę o nim myślę. Zawsze zaczynam od problemów. Philippe również uważa na to, co mówi. To dobry chłopak — wiele się ode mnie nauczył na temat targów.

Patrzyliśmy przez jakiś czas. Kiedy w końcu przemówiłem, starałem się ukryć zaskoczenie. Chciałem porozmawiać o tym później z Christine.

— On nigdy nie robił projektów do gobelinów, prawda? — zacząłem z oburzeniem. — To sąobrazy, a nie projekty. Brakuje im spójnych, oddzielnych historii. Jest też za mało postaci. Dlatego patrzymy na Damę w środku tak jak na Madonnę z Dzieciątkiem, zamiast oglądać cały gobelin.

Nicolas zaczął coś mówić, ale Leon mu przerwał.

— Czy to wszystko, co masz o nich do powiedzenia? Popatrz jeszcze raz, Georges. Możesz już nigdy nie zobaczyć czegoś podobnego.

— Więc o co chodzi? Co ma być tą historią?

Alienor pojawiła się w drzwiach między kuchnią a warsztatem, trzymając w rękach puste kufle.

— Uwiedzenie jednorożca przez Damę — powiedział Nicolas, przestępując z nogi na nogę tak, że obrócił się lekko w stronę Alienor. Głupiec. — Jest tu też pięć zmysłów — wskazał — *Węch, Słuch, Smak, Wzrok, Dotyk*.

Alienor podeszła do beczki w rogu pokoju. Tym razem patrzyliśmy dłużej.

— Za mało postaci — zawyrokowałem. — Kiedy się je powiększy, zostanie bardzo dużo przestrzeni do wypełnienia. Będziemy musieli zaprojektować całe pole *millefleurs*.

— Właśnie z tego jesteście znani i dlatego właśnie was wybrałem — powiedział Leon. — To powinna być dla was fraszka.

— To nie takie proste. Będziemy musieli dodać parę rzeczy.

— Jakich rzeczy? — zapytał Nicolas.

Spojrzałem na Philippe'a, spodziewając się, że coś powie — w końcu to on będzie musiał wypełnić te puste miejsca. On jednak milczał. Jest nieśmiały i nigdy nie spieszy się z mówieniem. Myślałem, że jest rozsądny, ale ten głupek patrzył na projekty z taką miną jakby miał przed sobą najpiękniejszą kobietę w Brukseli.

To prawda, że kobiety na gobelinie były piękne — potrząsnąłem głową żeby dojść do siebie. Nie dam się uwieść.

— Ludzi, zwierząt i roślin — powiedziałem. — Co, Philippe?

Chłopak oderwał wzrok od płócien.

— *Bien sur.*

— Co byś dodał do tych projektów poza ludźmi i zwierzętami?

— O, ee... drzewa, żeby dać im odpowiednie tło. Lub altankę z różami.

— Nie pozwolę, by ktoś dotknął tych projektów — powiedział Nicolas. — Są doskonałe.

Rozległ się głośny trzask — to Christine upuściła półmisek z ostrygami. Nie zaczęła jednak sprzątać, tylko spojrzała gniewnie na Nicolasa.

— Nie pozwolę na takie bluźnierstwa w moim domu! Żaden człowiek nie może się nawet zbliżyć do doskonałości — tylko Bóg to potrafi. Jesteś pełen wad, i ty, i twoje projekty.

Uśmiechnąłem się do siebie. Nicolas nie musiał długo czekać, by poznać usposobienie mojej żony. Po chwili skłonił głowę.

— Przepraszam, *Madame*. Nie chciałem nikogo urazić.

— Powinieneś prosić Boga o przebaczenie, a nie mnie.

— Dobrze, Christine — powiedziałem. — Zaczynaj już może obszywać brzeg *Holdu*. Będziemy go musieli wkrótce zanieść do cechu.

Obrebianie mogło poczekać, ale gdybym pozwolił jej zostać,

wkrótce zmusiłaby Nicolasa des Innocents, by ukląkł i zaczął odmawiać modlitwę przed nią. Byłoby to zabawne, ale nie pomogłoby w czasie negocjacji.

Christine rzuciła mi złe spojrzenie, ale posłuchała. Alienor kucnęła przy stłuczonym przez matkę półmisku i zaczęła zbierać ostrygi. Philippe chciał jej pomóc, ale go powstrzymałem. Patrzył to na nią to znów na projekty. Mieszka niedaleko i często pomaga Alienor, gdy tu przychodzi — od dziecka za nią przepada. Teraz często pomaga mi przy projektach. Czasami zapominam, że nie jest moim synem.

— Jakie będą rozmiary gobelinów? — zapytałem Leona Le Vieux.

Leon podawał je po kolei, a ja dodawałem w myśli.

— A co ze złotymi lub srebrnymi szychami? Czy jedwab ma być z Wenecji? Angielska wełna? Ile postaci na jednym gobelinie? Jak gęste *millefleurs*? Ile błękitu? Ile czerwieni? Z łączeniem kolorów czy bez?

Przy każdej odpowiedzi Leona zmieniałem czas i koszt pracy.

— Zrobię je w ciągu trzech lat—powiedziałem w końcu. — Będą kosztowały czterysta *livres tournois* i zatrzymam kartony.

— *Monseigneur* chce, byś je skończył na Niedzielę Palmową 1492 roku — odparł szybko Leon. Zawsze reaguje szybko, jakby wyprzedzał myślenie rozmówcy. — Zapłaci trzysta *livres tournois* za gobeliny i kolorowe kartony, które chce zatrzymać. Ma zamiar wieszać je na miejscu gobelinów, gdyby te chciał gdzieś zabrać.

— To niemożliwe — rzekłem. — Przecież wiesz, Leon, że to niemożliwe. To mniej niż dwa lata. Nie mogę zrobić ich tak szybko za taką cenę. Ta oferta mnie obraża. Lepiej pójdz gdzie indziej.

Rzeczywiście czułem się obrażony i wolałem ryzykować z zielonymi pończochami, niż pracować za taką stawkę.

Alienor zaczęła wstawać z półmiskiem z ostrygami. Potrząsnęła lekko głową w moją stronę. Jest jak jej matka, pomyślałem, stale się mną opiekuje. Chociaż brakuje jej tego temperamentu. Nie może sobie na to pozwolić.

Nicolas des Innocents wciąż się w nią wpatrywał. Oczywiście niczego nie zauważyła.

— Możesz wynająć dwa razy więcej ludzi i zrobić je dwa razy szybciej — zauważył Leon.

— To nie takie proste. W warsztacie zmieszczą się w najlepszym wypadku tylko dwa poziome krosna, a nawet jeśli będę miał dwa razy więcej robotników, i tak będę musiał wszystko sam nadzorować. Nie można się spieszyć z taką pracą. Poza tym mam inne, wcześniejsze zamówienia.

Leon machnął ręką chcąc zbyć moje argumenty.

— Daj sobie z nimi spokój. Poradzisz sobie. Popatrz, Georges. — Wskazał projekty. — Przecież widzisz, że to poważne zamówienie. Być może najpoważniejsze, jakie kiedykolwiek miałeś. Nie możesz pozwolić, by taki drobiazg skłonił cię do odmowy.

Nicolas wyglądał na zadowolonego. Leon rzadko coś chwalił.

— Te projekty zrobił człowiek, który nic nie wie o gobelinach — mruknąłem. — Będzie musiał wiele w nich zmienić.

— Być może przyda im się parę zmian — spokojny głos Leona górował nad bełkotem Nicolasa.

Zawahałem się. Warunki były tak złe, że nawet nie wiedziałem, czy mogę się targować. Jeśli na nie przystanę, możemy splajtować.

— A co ze złotym szychem? — wtrącił Philippe. — Ta Dama to nie królowa ani Najświętsza Panienska, nawet jeśli wraz z jednorożcem przypomina Ją i Jej Syna. Jej suknia nie musi być złocona.

Zgromiłem go wzrokiem. Odzywał się wtedy, kiedy powinien siedzieć cicho. To ja miałem się targować, a nie on. Ale miał przecież rację.

— Właśnie — podchwyciłem. — Złoty szych jest drogi i ciężko z nim pracować. Praca trwałaby dłużej.

Leon wzruszył ramionami.

— Dajmy więc temu pokój. Ile zaoszczędzimy?

— I łączeniu kolorów — dodałem. — Bardzo trudno splatać

kolory i to również wydłuża tkanie, chociaż gobelin jest ładniejszy. Zaoszczędzimy w ten sposób trochę czasu. Jeśli jednak *Monseigneur Le Viste* naprawdę chce mieć pierwszorzędne gobeliny, musi dać nam więcej czasu i lepiej zapłacić.

— Nie ma więcej czasu — rzekł Léon. — Chce je mieć na Wielkanoc 1492 roku na ważną uroczystość. Brakuje mu cierpliwości — nigdy nie przyjąłby waszych nędznych wymówek.

— Wobec tego nie może mieć złotego szychu i łączonych kolorów. Trzeba wybierać.

Patrzyłem, jak Léon myśli. Ma nieprzeniknioną twarz — trudno zgadnąć, co mu chodzi po głowie. Dlatego jest tak dobry w tym, co robi — ukrywa swoje myśli, aż w końcu podejmie decyzję, a potem trudno się z nim nie zgodzić.

— Dobrze — powiedział.

— Jeszcze nie przyjąłem tego zamówienia — zauważyłem. — Musimy porozmawiać o paru sprawach. Philippe, zanieście z Nicolasem projekty do pracowni. Później do was przyjdę. Aliénor, pomóż matce z obszywaniem.

Aliénor zrobiła nieszczęśliwą minę. Lubi przysłuchiwać się negocjacjom.

— Idź — powiedziałem.

Kiedy zostaliśmy sami, nalałem jeszcze piwa i usiedliśmy z Leonem, żeby się napić. Teraz, kiedy inni nie stali mi nad głową mogłem poważnie zastanowić się nad ofertą Léona.

Tego wieczoru poszliśmy z Christine na spacer na Grand-Place. Na rynku przystanęliśmy, żeby popodziwiać Hotel de Ville, na którego wieżę lubili się wspinać Georges Le Jeune i Lue, by móc stamtąd podziwiać widok. Budują go przez całe moje życie, a jednak wciąż czuję się zaskoczony jego widokiem. Mimo szyderstw Nicolasa des Innocents czuję się dumny z tego, że jestem brukselczykiem.

Minęliśmy siedziby cechów mieszczące się przy rynku — krawców, malarzy, piekarzy, fabrykantów świec, cieśli, łuczników i skutników. Cechy były pełne mimo wieczoru. Ludzie nie

kończą interesów wraz z końcem dnia. Uśmiechaliśmy się i pozdrawiali przyjaciół i sąsiadów, a potem przystanęliśmy przy L'Arbre d'Or, gdzie mieści się cech tkaczy. Zaraz zebrało się kilku *lissiers*, żeby zapytać mnie o wizytę Leona Le Vieux, o projekty i warunki umowy oraz o powód przyjazdu Nicolasa des Innocents. Wymigiwałem się od odpowiedzi jak chłopiec, który gra w berka.

W końcu przeszliśmy dalej — Christine chciała zobaczyć katedrę św. Michała i Guduli o zmroku. Kiedy szliśmy rue de la Montagne, powiedziała to, o czym myślała przez całe popołudnie.

— Powinieneś być pozwolić Georges'owi Le Jeune, by posłuchał rozmowy z Leonem.

Inna kobieta mogłaby powiedzieć to delikatniej, ale nie moja żona. Mówi to, co myśli. Kiedy nie odpowiadałem, podjęła po chwili:

— Georges Le Jeune to dobry chłopak i pracownik. Świetnie go wyszkoliłeś w tkactwie. Ale jeśli kiedyś ma poprowadzić warsztat, musi też znać się na negocjacjach. Czemu nie chcesz, żeby się tego nauczył?

Wzruszyłem ramionami.

— Będę jeszcze długo pracował. Nie ma pośpiechu. Christine wydeła wargi.

— Georges, przecież zacząłeś siwieć. Twój syn jest już mężczyzną. Mógłby się nawet ożenić. Kiedyś pracownia będzie jego. Czy chcesz, by doprowadził ją do ruiny i zniszczył to wszystko, co sam zbudowałeś? Musisz...

— Wystarczy, Christine. — Nigdy jej nie uderzyłem, chociaż znam takich, którzy by się nie powstrzymali, gdyby była ich żoną.

Christine zacisnęła usta. Przemyśle to, co powiedziała — muszę to zrobić, bo na pewno do tego powróci. Niektórzy nie słuchają swoich żon, ale ja jej słucham. Byłbym głupcem, gdybym tego nie robił — Christine urodziła się w rodzinie tkaczy koło Notre Dame du Sablon i wie o prowadzeniu warsztatu prawie tyle, co ja.

Szliśmy w ciszy, aż przed nami zamajaczyły bliźniacze wieże katedry.

— Czy Paryż pogodził się w końcu z Brukselą w sprawie tych projektów? — spytałem, żeby ją udobruchać.

— Ten Nicolas ma o sobie wielkie mniemanie — parsknęła moja żona. — Philippe miał spore trudności, żeby przekonać go, że zmiany są konieczne. Raz czy dwa musiałam się nawet wtrącić. Philippe to dobry chłopak, ale gdzie mu do tego paryskiego franta.

Zaśmiałem się cicho.

— Powinienem iść. Czekają na mnie w Le Vieux Chien, żeby opić koniec roboty.

— *Attends*, Georges — poprosiła Christine. — Co uradziliście z Leonem Le Vieux? Przyjąłeś zamówienie?

Kopnąłem końskie łajno.

— Nie powiedziałem ani tak, ani nie. Być może nie będę miał wyboru. Leon może poinformować Bourbonów, że skopiowałem ich projekt.

— Nie skopiowałeś, tylko pożyczyłeś z niego jeden szczegół. Cech cię poprze. — Zatrzymała się gwałtownie, aż spódnica jej zafalowała. — Powiedz, będziemy robić te gobeliny czy nie?

Nie powinienem był przyjąć tego zamówienia. Sprzeciwiało się temu całe moje doświadczenie — zapłata była nędzna, roboty huk, stracę w dodatku inne zamówienia i będę się musiał spieszyć. Jeśli nie będę uważał, warsztat może splajtować.

— Tak — odparłem, czując, jak ściska mi się żołądek. — Zrobimy je. Tak. Bo nigdy nie widziałem tak pięknych projektów. — Cóż, pomyślałem, pozwoliłem, by Damy mnie uwiodły.

Christine zaśmiała się ostro, jakby ktoś upuścił nóż na podłogę. Myślę, że odetchnęła z ulgą.

— To będzie prawdziwy sukces — powiedziała. — Sam zobaczysz.

Phillippe de la Tour

Kiedy przyszedłem rano, w pracowni nie było nikogo. Ucieszyłem się, ponieważ mogłem sam obejrzeć projekty, bez przechwałek Nicolasa, uwag Christine czy Alienor, która unosiła głowę i uśmiechała się w czasie szycia. Mogłem teraz patrzeć i myśleć w spokoju.

Dzień był jasny, a promienie słoneczne sływały do środka przez okna. Luc zamiótł do czysta podłogę i wybierał wełniane kłaki, które zostały po gobelinie *Hołd Trzech Króli*. Krosna też stały czyste, czekając na kolejną osnowę. Drewno skrzypiało co jakiś czas, co przywodziło mi na myśl konia w swojej przegrodzie.

Projekty Nicolasa leżały wraz z innymi zwinięte w skrzyni. Wiem, gdzie Georges trzyma klucz, i zaraz je wyjąłem. Rozłożyłem projekty na podłodze, tak jak poprzedniego wieczoru. Kiedy rozmawiałem o nich z Nicolasem, on bez przerwy oglądał się na Alienor, która zabrała się z matką do obszywania odciętego gobelinu. Obracał się to tak, to owak, chcąc się jak najlepiej zaprezentować. W końcu powiedział do niej:

— Czy nie powinnaś już skończyć tego szycia, piękna?

Alienor i Christine uniosły głowy. Nikt wcześniej nie nazwał Alienor piękną niezależnie od tego, co o niej myślał. Osobiście uważam, że jest piękna — a zwłaszcza jej długie złote włosy — ale wstydziłbym się to powiedzieć. Trudno mi mówić takie rzeczy. Alienor pewnie by mnie wyśmiała i powiedziała, że jestem

głupi. Traktuje mnie jak niemądrego, młodszego brata, chociaż jestem o parę lat od niej starszy.

— W tym kąciku jest strasznie ciemno — ciągnął Nicolas. — Jeszcze zmarnujesz oczy. Powinnaś siedzieć przy oknie, tam, gdzie jest lepsze światło. Poza tym słyszałem o regułach obowiązujących brukselskich tkaczy. Żadnej pracy po ciemku, żadnej pracy w niedzielę. Chciałbym, żeby paryscy malarze mieli tak łatwo i mogli chronić swoje oczy.

Oboje z Christine patrzyliśmy na niego w osłupieniu, a Alie-nor tylko pochyliła się nad pracą usiłując powstrzymać śmiech. Nie udało jej się, a wtedy Christine też parsknęła śmiechem. Dołączyłem do nich po chwili.

— Co w tym śmiesznego? — spytał Nicolas, a to sprawiło, że roześmialiśmy się jeszcze głośniejsze. Zacząłem się zastanawiać, czy nie powinniśmy się nad nim ulitować i powiedzieć o czymś, czego sam nie zauważył.

Alienor sama zdecydowała, co zrobić.

— Te reguły nie obowiązują kobiet — odrzekła, kiedy w końcu przestaliśmy się śmiać. — Nie jesteśmy tkaczami, tylko rodziną.

— Rozumiem — mruknął Nicolas. Wciąż wyglądał na zdziwionego, ponieważ nie tłumaczyło to naszej wesołości. Nie mieliśmy jednak zamiaru mu powiedzieć. Dobrze było sobie pożartować z tego paryżanina.

Niewiele zrobiłem z Nicolasem tego wieczoru. Poszliśmy wkrótce do Le Vieux Chien z Georges'em Le Jeune i Lukiem, a Georges wkrótce do nas dołączył, żeby wypić za skończoną pracę i za nowe zamówienie. Nicolas był bardzo ożywiony i z jego powodu wypiliśmy więcej niż zwykle.

Nie znam większego samochwały niż ten paryski artysta. Nigdy nie byłem w Paryżu. Nie wychodzę poza mury miasta, chyba żeby nazbierać drewna na opał lub grzybów czy nałowić ryb nad Senne. Ale poznałem tylu paryżan, że wiem, iżby mi się tam nie spodobało. Są zbyt pewni siebie. Zawsze wiedzą wszystko najlepiej — mają najlepsze wino, najlepsze buty, najlepsze sukno,

najlepsze pędzle, najlepszy sposób na robienie farb. Ich kobiety rodzą więcej dzieci, kury znoszą więcej jajek, krowy dają więcej mleka. Ich katedry są wyższe, łodzie szybsze, a drogi mniej wyboiste. Lepiej piją piwo, ładniej siedzą na koniu, zawsze wygrywają i pewnie nawet ich gównu ładniej pachnie.

Tak, cieszyłem się z tego, że byłem sam w warsztacie. Spojrzałem na projekty. Głowa bolała mnie z powodu hałasu, dymu i alkoholu z gospody, gdyż nie chodzę tam często.

Powiem jedno o Nicolasie — denerwuje mnie ta jego cała paryskość, ale jest świetnym malarzem. On sam to wie i właśnie dlatego nigdy nie powiem mu, jak dobre są te obrazy.

Łatwo znaleźć w nich wady, kiedy się myśli o gobelinach. Dla niego są to po prostu obrazy — nie przyszło mu do głowy, że na projektach gobelinów wszystko musi być wyrównane, żeby żaden element nie przyciągał szczególnej uwagi. Właśnie na tym polega moje zadanie przy kartonach — powiększam projekt i rysuję tak, jak się będzie układała wełna, z mniejszą liczbą zmieszanych kolorów i jaśniejszymi, równiejszymi wzorami. Kartony nie są tak piękne jak projekty, ale tkacze muszą je mieć, by móc pracować. Tak też o nich myślę — konieczne, ale niezauważalne, a od obrazów Nicolasa des Innocents po prostu nie można oderwać oczu.

Wciąż jeszcze na nie patrzyłem, kiedy w warsztacie zjawił się Georges. Twarz miał zmęczoną a włosy sterczały mu na wszystkie strony. Stał przy mnie i spojrzał na obrazy.

— Zrobisz z nich właściwe wzory?

— Tak.

— *Bien*. Zrób najpierw małe szkice koniecznych zmian, żeby Leon mógł zobaczyć. Jeśli je zaakceptuje, będziesz mógł zabrać się do kartonów.

Skinąłem głową.

Georges wpatrywał się w obraz z jednorożcem wspartym o podolek Damy. Chrząknął, chcąc przeczyścić gardło.

— Nicolas zostanie tu i namaluje ostateczne kartony. Odsunąłem się od niego.

— Dlaczego? Przecież wiesz, że też potrafię malować. Kto...?

— Tak chce Léon. To jeden z jego warunków. *Monseigneur Le Viste* chce je kupić, by móc powiesić zamiast gobelinów, gdyby zabrał je gdzieś ze sobą. Léon chce, by wyglądały tak jak projekty Nicolasa. Mamy tak mało czasu, że jego pomoc może się nam przydać.

Chciałem zaprotestować, ale wiedziałem, że nie mogę. Georges jest *lissier*— on decyduje, co trzeba zrobić, a ja to po prostu robię. Znam swoje miejsce.

— Czy mam wykonać rysunki, czy też on sam je zrobi?

— Zrobisz je i naniesiesz potrzebne zmiany, a potem pomożesz przy malowaniu. Będziecie pracować razem, ale to on jest mistrzem.

Milczałem.

— To tylko parę tygodni — dodał Georges.

— Czy Nicolas wie?

— Léon poszedł mu powiedzieć. Właśnie za chwilę mam się z nim spotkać w sprawie umowy. — Georges zerknął na obrazy i potrząsnął głową. — Będą z nimi kłopoty. Niskie stawki, mało czasu, trudny klient. Chyba zwariowałem.

— Kiedy zaczynamy?

— Natychmiast. Georges Le Jeune i Luc poszli już po płótno i zaraz wrócą. Możesz zabrać je do swego domu i tam pracować z Nicolasem albo zostać tutaj.

— Wolę zostać tutaj — zdecydowałem szybko. Zawsze pracuję przy rue Haute, jeśli tylko mogę. Jest tu jaśniej niż w domu mego ojca, który stoi przy jednej z wież strażniczych miasta, i mam tu też, mimo krosien, więcej miejsca. Mój ojciec jest malarzem, ale powodzi mu się gorzej niż Georges'owi. Pracują z nim moi starsi bracia, więc brakuje miejsca dla najmłodszego.

Poza tym, kiedy tu pracuję, jestem bliżej niej. Nie żeby jej zależało. Nigdy nie interesowała się mężczyznami. Aż do teraz.

— Jeśli utrzyma się ładna pogoda, będziesz mógł pracować w ogródku Aliénor — rzucił przez ramię Georges, odwróciwszy

się do wyjścia. — W ten sposób nie będziesz zawadzał tkaczom. Jak rozstawimy dwa krosna, zrobi się mało miejsca.

To nawet lepiej — chociaż nie wiedziałem, czy chcę, by Nicolas kręcił się przy Alienor. Nie ufam mu.

Kiedy tak o niej myślałem, pojawiła się w drzwiach z moim porannym piwem. Jest malutka i bardzo schludna. Pozostali członkowie jej rodziny są znacznie wyżsi.

— Jestem tu, Alienor.

Podeszła do mnie z lekkim uśmiechem. Twarz miała jasną. Nagle potknęła się o moje przybory malarskie, które zostawiłem jak ostatni idiota na podłodze. Zdążyłem ją złapać, ale większość piwa wylała się na mój rękaw.

— *Dieu me garde* — wymamrotała. — Przepraszam. Gdzie je rozlałam? Mam nadzieję, że nie na obrazach!

— Nie, tylko na mój rękaw. Nie ma o czym mówić, odrobina piwa.

Dotknęła mojego rękawa i potrząsnęła głową zła na siebie.

— To naprawdę nie ma znaczenia — przekonywałem. — Byłem tak głupi, że zostawiłem torbę na podłodze. Nie chodź po piwo. Nie chce mi się pić.

— Nie, zaraz ci je przyniosę. — Pospiesznie wyszła, wcale mnie nie słuchając, i po chwili wróciła z pełnym kuflem. Tym razem szła ostrożniej.

Stała obok, tuż przy obrazach. Staralem się nie łykać głośno. Przy Alienor zaczynam zdawać sobie sprawę z tego, jak jestem hałaśliwy — moje buty skrzypią zęby uderzają o siebie, drapię się w głowę, kaszlę i kicham.

— Opowiedz mi o tym — poprosiła. Głos ma niski i łagodny, łagodny jak jej ruchy i uśmiech. Zawsze bardzo uważa, bez względu na to, co robi.

— To znaczy? — spytałem. Mój głos nie był tak łagodny.

— Gobeliny. *Dama z jednoróżcem*. O czym opowiadają?

— A, to. Cóż, na pierwszym Dama stoi przed niebieskim namiotem, na którym znajduje się napis. *A mon seul desir* — przeczytałem wolno.

— *A mon seul désir* — powtórzyła.

— Lew i jednorożec siedzą, trzymając jego poły, a także chorągwie i herb Le Viste'ów.

— Czy to bardzo ważna rodzina ci Le Viste'owie?

— Myślę, że tak, jeśli zdecydowali się na tak duże zamówienie. Dama wyjmuje klejnoty ze szkatułki, a na innych gobelinach ma je już na sobie. Na następnych trzech Dama stara się zwabić jednorożca. W końcu wspiera się on o jej podolek i patrzy na swoje odbicie w lustrze. Na ostatnim Dama prowadzi jednorożca, trzymając go za róg.

— Która z Dam jest najładniejsza?

— Ta, która karmi papugę. To ma być jeden z pięciu zmysłów — *Smak*. Jest tam również małpka, która je coś u jej stóp. Ta Dama jest bardziej uduchowiona niż inne. Wiatr, który tu wieje, szarpie jej szalem, a jednorożec też jest w ruchu.

Aliénor przeciągnęła językiem po dolnej wardze.

— Już jąznielubiłam. Opowiedz mi o innych zmysłach. Co je reprezentuje?

— Jednorożec przeglądający się w lustrze to *Wzrok*, a Dama trzymająca jednorożca to *Dotyk*. To oczywiste. Jest jeszcze *Słuch* i Dama grająca na organach. A ten — spojrzałem uważniej na obraz — to chyba *Węch*, ponieważ małpka, która siedzi na ławce, wacha kwiat.

— Jaki kwiat? — Aliénor zawsze chce wiedzieć wszystko o kwiatach.

— Nie jestem pewny. Wydaje mi się, że różę.

— Przecież sama możesz zobaczyć, piękna. — Nicolas opierał się o framugę i patrzył na nas. Wyglądał na wypoczętego i świeżego, jakby w ogóle nie pił. Podejrzewam, że w Paryżu przebywa głównie w gospodach. Po chwili wszedł do warsztatu. — Słyszałem, że masz własny ogród. Chyba umiesz odróżnić goździk od róży. Nie jestem chyba aż tak złym malarzem, piękna, żeby to było niemożliwe?

— Nie mów tak do niej — wtrąciłem. — Jest córką tkacza. Należy się jej szacunek.

Alienor cała poczerwieniała, chociaż nie wiem, czy to z powodu moich słów, czy Nicolasa.

— Co myślisz o moich obrazach, pięć... Alienor? — nalegał Nicolas.
— Są ładne, *n'est-ce pas?*

— Projektach — poprawiłem go. — To są projekty gobelinów, a nie obrazy. Wciąż zapominasz, że są tylko środkiem do celu, a właściwą pracę wykonają ojciec i brat Alienor, a także inni tkacze. Nie ty. Te gobeliny będą inne niż twoje projekty.

— Ale czy tak dobre? — Nicolas uśmiechnął się szyderczo.

— Lepsze.

— Nie wiem, jak można by je jeszcze ulepszyć. Widzisz jakiś sposób? Alienor wydeła usta — nie lubi przechwałek.

— Co wiesz o jednorożcach, piękna? — spytał Nicolas, patrząc na nią chytrze, co mi się wcale nie spodobało. — Opowiedzieć ci o nich?

— Wiem, że są silne — odparła. — Tak stoi w Księdze Hioba i Piątej Księdze Mojżeszowej: „Rogami jednorożca są rogi jego, Nimi pobodzie ludy wraz z krańcami ziemi”.

— Wolę Księgę Psalmów: „Róg mój wywyższyłeś jako róg jednorożca, Namaściłeś mnie świeżym olejkiem”. Wiesz coś na temat rogu jednorożca? — Nicolas mrugnął do mnie przy tych słowach.

Alienor sprawiała takie wrażenie, jakby go nie słuchała, i z obrzydzeniem zmarszczyła nosek. Po chwili też to poczułem, a zaraz potem i Nicolas.

— *Dieu au ciel*, co to takiego? — zawołał. — To śmierdzi jak szczynty!

— To Jacques Le Bceuf — wyjaśniłem. — Barwiarz.

— Czy tak śmierdzi urzet barwierski? Nigdy się z nim nie zetknąłem. W Paryżu barwiarze mogą pracować tylko poza murami miasta, w miejscach, gdzie nikt nie chodzi.

— Tutaj też, ale Jacques przychodzi do miasta, a zapach przylgnął do niego. Nie można mu zakazać prowadzenia interesów. Poza tym zawsze trwa to krótko.

— Gdzie ta dziewczyna? — gromki głos Jacques'a Le Boeuf dobiegał z wnętrza domu.

— Georges wyszedł, Jacques — usłyszeliśmy głos Christine. — Przyjdź innego dnia.

— Nie chodzi mi o niego. Chcę ją zobaczyć choćby na moment. Czy jest w warsztacie? — Kudłaty łeb Jacques'a Le Bceuf pokazał się w drzwiach. Smród, który mu towarzyszy, zawsze sprawia, że łzawią mi oczy. — Witaj, Philippe, ty łotrze. Gdzie jest córka Georges'a? Chowa się przede mną.

Alienor przykucnęła za krosnami.

— Wyszła — powiedział Nicolas, założywszy ręce na piersi i przekrzywiwszy głowę. — Ma mi przynieść trochę ostryg.

— Właśnie teraz? — Jacques pokazał nam się cały. Jest gruby jak beka i ma zmierzwioną brodę oraz poplamione urzetem na niebiesko dłonie. — A ty kim jesteś, że mówisz jej, co ma robić?

— Nazywam się Nicolas des Innocents. Zaprojektowałem nowe gobeliny dla Georges'a.

— A, ten artysta z Paryża, tak? — Jacques też założył ręce na piersi i oparł się o framugę. — Nie przepadamy za paryżana-mi, co, Philippe?

Chciałem odpowiedzieć, ale Nicolas mnie ubiegł.

— Nie czekałbym na nią. Powiedziałem, żeby wybrała najlepsze, takie jak lubimy w Paryżu. Może jej to zająć sporo czasu, bo macie tu kiepski targ rybny.

Patrzyłem na Nicolasa, zastanawiając się, dlaczego prowokuje kogoś o tyle większego. Czy nie chce zachować dla dam swojej ładnej buzi? Usłyszałem, jak Alienor poruszyła się za krosnami, i musiałem wyteńczyć wolę, żeby na nią nie spojrzeć. Być może chciała wyjść, żeby ocalić Nicolasa.

Jacques Le Boeuf również wyglądał na zaskoczonego. Nie uderzył go jednak, tylko zmrużył oczy.

— Więc to twoje dzieło? — Podeszedł do nas i spojrzał na leżące na podłodze obrazy. Aż mnie zatkało z powodu smrodu. — Więcej czerwonego niż niebieskiego. Może nie warto, żebym pracował przy nich dla Georges'a. — Uśmiechnął się, a potem

zrobił taki ruch, jakby chciał przydepnąć obraz z damą i wspartym na jej podołku jednorożcem.

— Jacques, co ty robisz?

Jacques zastygł z nogą nad płótnem, słysząc ostry głos Christine. Cofnął się, a pełen zakłopotania uśmiech, który pojawił się na jego szerokiej twarzy, wyglądał komicznie.

Christine pospieszyła do niego.

— Jeśli to miał być dowcip, to mało śmieszny. Mówiłam, że Georges wyszedł. Przyjdzie do ciebie, żeby porozmawiać o niebieskiej welnie do tych gobelinów — pod warunkiem, że ich wcześniej nie zniszczysz. A teraz już idź, jesteśmy zajęci. — I otworzyła drzwi prowadzące na ulicę, po czym stanęła obok.

Była jak pies, który zagania krowę. Jacques zwiesił głowę i podszedł do drzwi. Dopiero kiedy znalazł się na ulicy, zajrzał jeszcze do środka przez okno.

— Powiedźcie dziewczynie, że o nią pytałem.

Kiedy byliśmy pewni, że odszedł, a powietrze zaczynało powoli tracić obrzydliwą woń, Nicolas pochylił się i uśmiechnął do schowanej za krosnem Alienor.

— Możesz już wyjść, piękna — bestia odeszła.

Podał jej rękę. Po chwili przyjęła ją pozwalając, by pomógł jej wstać. Następnie zwróciła twarz w jego stronę.

— Dziękuję, *Monsieur*.

Po raz pierwszy spojrzała na niego tak, jak tylko ona potrafi — próbowała go dojrzeć, ale nie mogła. Nicolas patrzył na jej twarz, a uśmiech zniknął z jego warg. Wyglądał tak, jakby go ktoś mocno uderzył. Teraz widzi, pomyślałem. Jak na artystę, nie jest zbyt uważny.

Alienor wiedziała, że w końcu się domyślił — sama mu na to pozwoliła. Czasami tak robi. Teraz wyjęła dłoń z jego i skinęła głową.

— Chodź, Alienor — powiedziała Christine, patrząc groźnie na Nicolasa. — Chodź, bo się spóźnimy.

Wyszła tymi drzwiami, z których wcześniej skorzystał Jacques Le Bceuf.

— Msza — przypomniała mi Alienor, zanim pobiegła do matki.

— Msza? — powtórzył Nicolas. Spojrzał na widoczne przez okno słońce. — Jeszcze za wcześnie na sekstę, prawda?

— To specjalna msza dla tkaczy w Notre Dame du Sablon — wyjaśniłem. — Niedaleko stąd.

— Mają własną mszę?

— Trzy razy w tygodniu. To potężny cech. Po chwili spytał:

— Jak długo to ma? Wzruszyłem ramionami.

— Przez całe życie. Dlatego tak trudno to zauważyć. To u niej naturalne.

— Ajakona...? — Nicolas machnął w stronę *Hołdu Trzech Króli* zawieszzonego na krosnach, na których go wykonano.

— Ma bardzo zręczne i czułe palce. Czasami odnoszę wrażenie, że nimi widzi. Odróżnia czerwoną wełnę od niebieskiej, bo mówi, że inaczej czuje barwniki. Słyszy też to, czego my normalnie nie słyszymy. Kiedyś mi powiedziała, że każdy chodzi inaczej. Nie słyszę tego, ale ona zawsze trafnie zgaduje, kto akurat nadchodzi, jeśli tylko słyszała go wcześniej. Teraz zna też twoje kroki.

— Czy wciąż jest dziewczyną? Zmarszczyłem brwi.

— Nie wiem, o co ci chodzi. — Nagle poczułem, że nie chcę już o niej rozmawiać.

Nicolas uśmiechnął się.

— Ależ wiesz doskonale. Myślałeś o tym.

— Daj jej spokój — rzekłem ostro. — Jeśli jej dotkniesz, jej ojciec rozerwie cię na strzępy, niezależnie od tego, kim jesteś.

— Ja mam ich wszędzie pełno. Myślałem o tobie. Chociaż z tak długimi rzęsami powinieneś się podobać dziewczynom. One lubią takie oczy.

W milczeniu sięgnąłem do torby po papier i węgiel. Nicolas zaśmiał się.

— Widzę, że będę musiał powiedzieć wam obojgu o rogu jednoroźca.

— Nie teraz. Powinniśmy zabrać się do kartonów. Nie złączą pracy, zanim nie dostarczymy im gotowego projektu. — Zazgrzytałem zębami po końcówce „my”.

— A tak, obraz. Na szczęście mam ze sobą pędzle z Paryża. Nie ufałbym tym brukselskim — gdybym namalował takim mojego jednoroźca, pewnie wyglądałby jak koń!

Przykłękiem przy obrazach — tylko to powstrzymało mnie przed kopnięciem go.

— Czy kiedykolwiek rysowałeś albo malowałeś kartony do gobelinów?

Nicolas przestał się uśmiechać. Nie lubi, kiedy mu się przypomina o tym, czego nie umie.

— Gobeliny to coś zupełnie innego niż obrazy — dodałem. — Artyści, którzy nad nimi nie pracowali, zwykle tego nie rozumieją. Wydaje im się, że wszystko, co namalują, można powiększyć i zrobić z tego gobelin. Ale na wyrób tkacki patrzy się inaczej niż na obraz. Ten ostatni jest zwykle mniejszy, więc wszystko od razu widać. Nie stajesz przy nich blisko, tylko cofasz się o krok lub dwa, jakby to był bakałarz albo ksiądz. Do gobelinów zbliżasz się jak do przyjaciół. Widzisz tylko ich część, i to niekoniecznie tę najważniejszą. Zatem żadna ich część nie powinna się wyróżniać, ale wszystkie powinny tworzyć wzór, który będzie cieszył oko niezależnie od tego, gdzie spocznie. Obrazy nie mają tego wzoru. Tło *millefleurs* nam pomoże, ale i tak będziemy musieli zmienić projekty.

— Jak? — spytał Nicolas.

— Dodać parę rzeczy. Na początek kilka postaci. Damie powinna towarzyszyć przynajmniej jedna dworka, *n'est-ce pas?* Kogoś, kto by jej pottrzymał goździki przy *Węchu* albo pomógł przy miechach organów przy *Słuchu*, albo trzymał miskę z czymś przy karmieniu papugi przy *Smaku*. Przecież masz służącą ze szkatułką w *A mon seul desir*. Może umieścimy je też gdzie indziej?

— W czasie uwiedzenia Damie nie powinien nikt towarzyszyć.

— Damy dworu musiały to przecież widzieć.

— Skąd wiesz? Czy uwiodłeś kiedyś szlachciankę?

Cały poczerwieniałem. Nie mógłbym nawet marzyć o tym, żeby znaleźć się w komnacie wielkiej damy. Rzadko bywam na tej samej ulicy co wielmoże, nie mówiąc już o komnatkach. Tylko w czasie mszy jesteśmy razem, a i tak oni siedzą oddzielnie, daleko z przodu. Wychodzą przed nami, a konie wiozą ich szybko do domu, zanim jeszcze zejdem z schodów. Alienor twierdzi, że wielmoże pachną futrami, które noszą ale nigdy nie zbliżyłem się do nich tak blisko, żeby poczuć ten zapach. Ma po prostu lepszy niż ja nos.

Nicolas zna szlachetnie urodzone damy. Musi wiedzieć o nich wszystko.

— Jak pachną szlachcianki? — spytałem, zanim zdołałem się powstrzymać.

Nicolas uśmiechnął się.

— Goździkami. Goździkami i miętą.

Alienor pachnie melisą. Zawsze rozdeptuje ją w swoim ogrodzie.

— A wiesz, jak smakują? — dodał jeszcze.

— Nie musisz mówić. — Szybko wziąłem węgiel i wybrawszy obraz z *Węchem*, zacząłem szkicować. Narysowałem parę linii, które miały stać się twarzą i przybraniem głowy kobiety, a potem naszkicowałem jej naszyjnik, stanik, rękawy i dół sukni.

— Nie potrzebujemy dużych plam koloru. Na przykład żółty spód sukni wymaga jakiegoś wzoru. Gdzie indziej użyłeś brokatu ze wzorem granatu — przy *Smaku* i *A mon seul desir*. Spróbujmy zastosować go tutaj, żeby złamać kolor.

Nicolas patrzył mi przez ramię, jak zapełniam trójkąt płótna kwiatami i liśćmi.

— *Alors*, po prawej i lewej masz lwa i jednoroźca z flagami. Między Damą a jednoroźcem na ławce siedzi małpka z goździkiem. To dobrze. A co będzie, jeśli między Damą i lwem pojawi

się służąca? Może trzymać na talerzu kwiaty, z których Dama uplecie sobie wianek. — Naszkicowałem damę dworu z profilu. — Tak jest dużo lepiej. *Millefleurs* w tle wypełnią scenę. Nie narysuję ich tutaj, ale na kartonie. Alienor nam pomoże. Nicolas potrząsnął głową.

— Jak ona może nam pomóc? — Wskazał swoje oczy. Zmarszczyłem brwi.

— Zawsze pomaga ojcu przy *millefleurs*. Ma wspaniały ogródek i doskonale zna rośliny oraz ich zastosowanie. Porozmawiamy z nią kiedy zaczniemy kartony. *Alors*, między *millefleurs* wpleciemy trochę zwierząt. — Rysowałem, mówiąc. — Może psa, który oznacza wierność. Ptaki łowne, ponieważ Dama poluje na jednorożca. Baranka u jej stóp, żeby przypominał nam o Matce Bożej i Jej Synu. I oczywiście jednego lub dwa króliki. To sygnatura Georges'a — królik z łapką przy pyszczku.

Skończyłem i spojrzeliśmy na obraz oraz szkic.

— Ciągłe nie jest w porządku — powiedziałem.

— Co proponujesz?

— Drzewa — odparłem po chwili.

— Gdzie?

— Za flagami i proporcami. W ten sposób czerwony herb będzie lepiej widoczny na czerwonym tle. I jeszcze dwa niżej, za lwem i jednorożcem. Cztery drzewa na cztery strony świata i cztery pory roku.

— Cały świat na jednym obrazie — wymamrotał Nicolas.

— Tak. A jeśli dodamy trochę błękitu, ucieszymy Jacques'a Le Bceuf.

— Nie, żebym chciał go ucieszyć, pomyślałem. Boże broń.

Narysowałem dąb obok proporca — dąb na oznaczenie lata i północy. Następnie sosnę za chorągwią—na jesień i południe. Ostrokrzew na zimę i zachód. I drzewko pomarańczowe za lwem na oznaczenie wiosny i wschodu.

— Tak jest lepiej — powiedział Nicolas, kiedy skończyłem. Wyglądało na to, że sam jest tym zaskoczony. — Ale czy możemy wprowadzać tak poważne zmiany bez zgody klienta?

— To jest częścią *verdure* — wyjaśniłem. — Tkacze mogą dodawać rośliny i zwierzęta w tle, nie wolno nam tylko zmieniać postaci. Parę lat temu ogłoszono w Brukseli odpowiednie prawo, aby nie dochodziło do nieporozumień między klientami a tkaczami.

— Czy artystami i tymi, którzy projektują kartony.

— Tak, również. Spojrzał na mnie.

— Czy między nami są jakieś nieporozumienia? Przysiadłem na piętach.

— Nie. — A w każdym razie nie dotyczą one pracy, dodałem w duchu. Nie jestem na tyle odważny, by mówić takie rzeczy.

— To dobrze. — Nicolas wziął *Smak* i odepchnął *Węch*. — Teraz zróbmy ten.

Obejrzałem dokładnie Damę karmiącą papugę.

— Namalowałeś tę twarz dokładniej niż inne.

Nicolas bawił się węglem — dotykał go, a potem rozcierał ciemną smugę, aż stawała się szara między jego palcami.

— Nawykłem do malowania portretów i chciałbym, żeby te kobiety wypadły jak najprawdziwiej.

— Ta za bardzo rzuca się w oczy. Podobnie jak smutek tej w *A mon seul desir*.

— Nie zmienię ich.

— Więc je znasz, prawda? Wzruszył ramionami.

— To szlachcianki.

— A ty znasz je dobrze. Potrząsnął głową.

— Nie tak znowu dobrze. Widziałem je parę razy, ale... Ze zdziwieniem zauważyłem, że skrzywił się boleśnie.

— Ostatnim razem widziałem je Pierwszego Maja — ciągnął. — Ona — wskazał *Smak*—tańczyła koło umajonego słupa, a jej matka patrzyła. Miały podobne suknie.

— Z brokatu ze wzorem granatu.

— Tak. Nie mogłem się do niej zbliżyć. Chroniły ją damy dworu. — Zmarszczył brwi na to wspomnienie. — Wciąż sędzę, że na gobelinach nie powinno być służących.

— Dama potrzebuje przyzwoitki, bo inaczej będzie to wyglądało niewłaściwie.

— Ale nie w czasie uwiedzenia — nalegał.

— Więc może dodamy służące wszędzie poza tym jednym, na którym udaje jej się schwytać jednoroźca? Chodzi mi o *Wzrok*, kiedy jednorożec wspiera się na jej podołku.

— I w *Dotyku* — dorzucił Nicolas. — Kiedy trzyma go za róg. Wtedy nie będzie potrzebować przyzwoitki. — Uśmiechnął się. Znowu był sobą jego zły nastrój skończył się nagle jak burza. — Opowiedzieć ci o rogu jednoroźca? To może ci pomóc.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, w oknie, gdzie wcześniej widzieliśmy Jacques'a Le Bceuf, pojawiła się głowa Alienor. Podskoczyliśmy razem z Nicolasem.

— Tu jesteśmy, Alienor — powiedziałem. — Przy krosnach.

— Wiem — odparła. — Już wróciłyśmy z mamą. Przez tego Le Bceufa przyszłyśmy prawie na koniec mszy. Napijcie się piwa?

— Za chwilę — odparł Nicolas.

Kiedy weszła do domu, obrócił się do mnie.

— Jeśli nie chcesz nic wiedzieć o rogu jednoroźca, powiem ci coś innego.

— Nie. — Nie chciałem, żeby tak mówił, gdy Alienor jest w pobliżu. Uśmiechnął się do mnie. I tak miał zamiar to powiedzieć.

— Kobiety mogą pachnieć goździkami, ale smakują jak ostrygi.

Alienor de la Chapelle

Mężczyźni znaleźli mnie, gdy pieliałam truskawki. Tak je posadziłam, że mogę między nimi przyklęknąć i zająć się wyrywaniem chwastów. Nie cenię ich jako roślin — ich kwiaty nie pachną a liście nie są ani miękkie, ani kłujące, ani cienkie, ani mięsiste. Ale owoce są boskie. Teraz, na początku lata, dopiero zaczęły rosnać i są twarde oraz mało pachnące. Ale kiedy dojrzeją chętnie spędzałabym tu całe dni, zgniatając truskawki między palcami, by je wachać i ich smakować.

Usłyszałam kroki Philippe'a na ścieżce między grządkami — szura jednym z wielkich palców, kiedy idzie — a za nim pełne werwy kroki Nicolasa des Innocents. Kiedy po raz pierwszy przyszedł do mojego ogródka, powiedział: „*Sainte Yierge*, przecież to raj! Nigdy nie widziałem tak wspaniałego warzywniaka w Paryżu. Tyle tam domów, przy których na nic nie ma miejsca, chyba że przy odrobinie szczęścia na rząderek kapusty". To był jedyny raz, kiedy chwalił coś w Brukseli, a nie w Paryżu.

Ludzi zawsze dziwi mój ogródek. Składa się z sześciu kwadratowych poletek ułożonych w kształcie krzyża, z drzewkami owocowymi —jabłoniami, śliwami i czereśniami — w rogach. Dwa poletka przeznaczyłam pod warzywa — mam tam kapustę, marchew, pory, groszek, sałatę, rzodkiewkę i selery. Na jednym rosną truskawki i zioła — to właśnie pieliałam. Jest jeszcze grządka z różami, których nie lubię, bo zawsze mnie kłują— ale róże podobają się mamie. I jeszcze dwie grządki z kwiatami i ziołami.

Najszczęśliwsza czuję się w swoim ogródku. To najbezpieczniejsze miejsce na świecie. Znam tu każdą małą roślinkę, każde drzewo, każdy kamień, każdą grudkę ziemi. Otacza go plecione z wikliny ogrodzenie z różami na szczycie, by odstraszały zwierzęta i obcych. Zwykle jestem tu sama. Przylatują tylko ptaki, które wydziobują czereśnie, gdy te dojrzeją. Wśród kwiatów latają motyle, chociaż wiem o nich bardzo mało. Czasami, gdy siedzę bez ruchu, czuję ruch powietrza koło policzka lub ramienia, ale nigdy żadnego motyla nie dotknęłam. Tata mi powiedział, że ich skrzydła pokryte są pyłem, który opada, gdy się ich dotknie. Wtedy motyl nie może latać i zjadają go ptaki. Więc daję im spokój i słucham, jak inni o nich opowiadają.

Uśmiechnęłam się, kiedy Philippe powiedział:

— To tylko my, Alienor, ja i Nicolas des Innocents. Stoimy przy lawendzie.

Zna mnie od dziecka, a mimo to wciąż mnie informuje o tym, co i tak wiem. Czulałam drzewny, oleisty zapach lawendy, o którą się otarli.

Przysiadłam na piętach i uniosłam twarz do słońca. Na początku lata jest ono wspaniałe, bo bardzo długo utrzymuje się bezpośrednio nad głową. Zawsze uwielbiałam ciepło, ale nie to od ognia. Ogień mnie przeraża. Za często zdarzało mi się opalić przy nim spódnicę.

— Czy zerwiesz mi truskawkę, *Mademoiselle*? — spytał Nicolas. — Chce mi się pić.

— Są jeszcze niedojrzałe — odburknęłam. Chciałam być dla niego miła, ale poczułam się przy nim dziwnie. Poza tym mówił za głośno. Ludzie często tak robią gdy dowiadują się o moim kalectwie.

— A, nic takiego. Pewnie dojrzeją zanim wrócę do Paryża.

Znowu się pochyliłam, dotykając ziemi między truskawkami, krusząc grudki spieczonej ziemi i szukając delikatnie ptasiego ziela, krzyżownika i tasznika. Znalazłam tylko kilka chwastów i to ledwie wyrosniętych — parę dni wcześniej pieliałam truskawki. Czulałam na sobie oczy obu mężczyzn — niczym ka-

myki, które uciskały mi plecy. To dziwne, że odczuwam takie rzeczy, chociaż nie wiem, co to znaczy widzieć.

Wiedziałam, o czym myślą, kiedy tak na mnie patrzyli — jak mogę znaleźć chwasty i wiedzieć, że to właśnie one. Ale chwasty są takie jak inne rośliny, tyle że niepotrzebne — mają liście, kwiaty i zapachy, łodygi i soki. Mogę je rozróżnić po dotyku i zapachu.

— Alienor, czy możesz nam pomóc przy *millefleurs* — spytał Philippe. — Mamy już duże rysunki na kartonach, ale potrzebujemy kwiatów na tło.

Znowu przysiadłam na piętach. Zawsze się cieszę, gdy mnie proszą o pomoc. Całe życie staram się być użyteczna, żeby rodzice nie uznali mnie za ciężar i nie odesłali z domu.

Ludzie często chwalą moją pracę. „Jak równe są twoje szwy” — powtarzają. „Jak jasne kwiaty, jak czerwone czereśnie. Szkoda, że ich nie widzisz”. Tak, słyszę żal w ich głosie, podobnie jak i zaskoczenie, że tyle potrafię zrobić. Nie wyobrażają sobie świata bez oczu, tak jak nie wyobrażają go sobie bez siebie. Oczy to dwie gałki na mojej twarzy. Potrafię nimi poruszać, jak poruszam ustami przy jedzeniu czy nosem przy wachaniu. Mam jednak inne sposoby, by poznawać świat.

Na przykład znam gobeliny, przy których pracuję. Czuję każdą nić, każdą nierówność faktury. Mogę wyczuć pod palcami kwiaty z *millefleurs*, moje szycie przy tylnych nogach psa, uchu królika, rękawie wieśniaka. Czuję kolory. Czerwony jest gładki jak jedwab, żółty kłuje, niebieski jest oleisty. Mam pod palcami mapę, którą tworzą gobeliny.

Ludzie mówią o wzroku z taką nabożnością, że czasami mi się wydaje, że gdybym mogła widzieć, to od razu zobaczyłabym Matkę Boską. Miałyby na sobie niebieską szatę, jedwabistą pod mymi palcami, Jej skóra byłaby gładka, a policzki ciepłe. Pachniałyby truskawkami. Położyłaby na moich ramionach ręce, lekkie i jednocześnie mocne, tak że do końca życia czułabym ich ciężar.

Czasami myślę, czy gdybym widziała, to miód byłby słod-

szy, lawenda miałyby bogatszy zapach, a słońce ogrzewałoby mi mocniej twarz.

— Musisz mi opisać gobeliny — rzekłam do Philippe'a.

— Przecież już to zrobiłem.

— Teraz potrzebuję więcej szczegółów. Czy Dama patrzy na jednoroźca, czy na lwa? Czy jest szczęśliwa, czy smutna? Czy czuje się bezpieczna w swoim ogrodzie? Co robi lew? Czy jednorożec siedzi, czy stoi? Czy jest zadowolony, że go złapała, czy też chce uciec? Czy Dama go kocha?

Philippe zaczął szeleścić papierem, rozkładając projekty. Ten dźwięk mnie zirytował. Obróciłam się w stronę Nicolasa.

— To ty zrobiłeś projekty, *Monsieur*. Na pewno umiesz je opisać bez patrzenia na rysunki.

Philippe przestał szeleścić papierem.

— Oczywiście, *Mademoiselle* — odparł Nicolas. W jego głosie był uśmiech. Kamyki zachrupały mu pod stopami, kiedy przyklęknął na skraju grządki.

— Depczesz mi miętę — powiedziałam ostro, kiedy doleciał do mnie jej zapach.

— Och, *pardon*. — Przesunął się trochę. — *Bon*, więc jakie miałaś pytania?

Nie mogłam teraz o tym myśleć. Nie nawykłam do tego, że ktoś taki się mną zajmuje.

— Ile niebieskiego jest na gobelinach? — spytałam w końcu. Nie jestem zadowolona, kiedy gobeliny ojca są bardzo niebieskie. Wiem, że wówczas będzie nas często odwiedzał Jacques Le Boeuf ze swoimi ciężkimi krokami, sprośnymi słowami i oczywiście smrodem — takim, z którym wytrzyma jedynie złamana, nieszczęśliwa dziewczyna.

— A ile byś chciała, *Mademoiselle*!

— Wcale. Chyba, że jesteś gotów zmierzyć się z Jakiem Le Bceuf przy każdej jego wizycie.

Nicolas zaśmiał się.

— Dama stoi na niebieskiej trawie, która stanowi dolną część wszystkich gobelinów. Ale jeśli chcesz, trawy może być

mniej. Może to być trawiasta wysepka na morzu czerwieni otaczającym Damę, jednoroźca i lwa. Tak będzie dobrze. I możemy to sami zmienić, prawda, Philippe? To przecież część *verdure, n'est-ce pas?*

Philippe nie odpowiedział. Jego gniewne milczenie zawisło w powietrzu.

— Dziękuję, *Monsieur* — rzekłam. — *Eh bien*, jak wygląda Dama? Opisz mi ją. Tę ze *Smaku*. — Wybrałam tę, której nie lubię.

Nicolas chrząknął.

— Dlaczego właśnie tę?

— Chcę siebie ukarać. Czy jest naprawdę piękna?

— Tak.

Sprawdzałam truskawki i urwałam jedną przez przypadek. Odrzuciłam ją.

— Czy się uśmiecha?

— Tak, lekko. Patrzy na lewo i o czymś myśli.

— O czym?

— O rogu jednoroźca.

— Daj spokój — rzekł ostro Philippe. To wzmogło jeszcze moją ciekawość.

— Co z tym rogiem?

— Ma magiczną moc — wyjaśnił Nicolas. — Podobno, jeśli jednorożec zanurzy róg w zatrutej studni, woda znowu będzie zdatna do picia. Potrafi też oczyszczać inne rzeczy.

— Jakie? Zrobił przerwę.

— Na teraz wystarczy. Może opowiem ci innym razem — powiedział pod nosem, tak że tylko ja usłyszałam. Mam słuch lepszy niż Philippe.

— *Bon* — mruknęłam. — Niech się zastanowię. Między *millefleurs* powinna być mięta, ponieważ chroni przed trucizną. I kokoryczka wonna. Przetacznik, stokrotki i nagietki — to na bóle brzucha. Również truskawki, gdyż opierają się truciznie i oznaczają Chrystusa, Naszego Pana, bo Dama z jednorożcem

to przecież Matka Boska i Jezus. Będziecie więc potrzebowali kwiatów dla Najświętszej Pani — konwalii, naparstnic purpurowych, orlików pospolitych, fiołków. I jeszcze dzikie róże — białe na oznaczenie czystości Najświętszej Pani i czerwone na krew Chrystusa. I goździki za łązy, które wylała Matka Boska z powodu Syna — musisz je też koniecznie umieścić na gobelinie, gdzie jednoróżec opiera się na podołku Damy, gdyż przypomina to Pietę, *n'est-cepas?* Który to jest? — Doskonale to wiedziałam, zawsze wszystko pamiętam. Chciałam się z nimi trochę podrażnić.

Milczeli przez chwilę. Philippe chrząknął, żeby przeczyścić gardło.

— *Wzrok.*

— Ach. — Poruszyłam się lekko. — Goździki również tam, gdzie Dama robi ślubny wianek.

— Tak. To *Węch.*

— Czasami wplata się w nie też barwinek na oznaczenie wierności. I lewkonie na stałość oraz niezapominajki, by oznaczały prawdziwą miłość.

— *Attends, Alienor,* to za szybko. Przyniosę papier do szkiców i stołki, żebyśmy mogli usiąść. — Philippe pobiegł do warsztatu.

Zostałam sama z Nicolasem. Nigdy nie byłam sama z kimś takim.

— Dlaczego nazywają cię Nicolas des Innocents? — spytałam, myśląc o tym, że *innocent* znaczy niewinny.

— Mieszkam niedaleko cmentarza Innocents, przy rue St Denis w Paryżu.

— Ach tak. Nawet nie pomyślałam, że sam mógłbyś być niewinny.

Nicolas zachichotał.

— Widać, że już znasz mnie dobrze, piękna.

— Chciałabym dotknąć twojej twarzy, żeby cię lepiej poznać. — To było bardzo śmiałe z mojej strony — nigdy o to nie prosiłam nawet Philippe'a, którego przecież znam od dziecka.

Ale Nicolas pochodzi z Paryża i jest przyzwyczajony do śmiałych kobiet.

— *Bien sur* — odparł. Wszedł w truskawki, deptając miętę, melisę i niedojrzałe owoce. Przyklęknął przede mną, a ja położyłam mu dłonie na twarzy. Ma miękkie, długie do ramion włosy, a brodę i policzki szorstkie od zarostu. Czoło szerokie. Ma też dołek na brodzie. Po obu stronach jego szerokich ust wyczułam głębokie zmarszczki. Kiedy ścisnęłam jego nos, roześmiał się.

Czułam jego twarz tylko przez chwilę, zanim się szybko wyprostował i skoczył na ścieżkę. Kiedy Philippe wrócił, ciągnąc stołki po kamykach, wszystko było jak przedtem.

— Chcecie więc zobaczyć kwiaty, które będziecie rysować. — Wstałam tak szybko, że aż zakręciło mi się w głowie.

— Tak — odrzekł Philippe.

Weszłam na ścieżkę i poprowadziłam ich w stronę grządek z kwiatami.

— Wiele właśnie kwitnie, chociaż niektórych nie zobaczycie. Nie ma już fiołków ani konwalii, ani barwinków. Możecie zobaczyć tylko liście i łodygi bez kwiatów. A kokoryczka wonna zaczyna już usychać. Ale naparstnica i przetacznik właśnie kwitną jak również kilka nagietków. Widzicie je tam, koło śliwek?

— Tak — odpowiedział Nicolas. — Masz tutaj wszystko, *n'est-ce pas*”? Dlaczego tak dbasz o te rośliny, skoro ich nie widzisz?

— Hoduję je, by widzieli je inni, a zwłaszcza tata. Powinien przecież znać kwiaty, które tka, ich prawdziwe kształty i kolory. Tak jest najwygodniej. To sekret naszego warsztatu — dlatego nasze *millefleurs* są tak piękne. *Bon*, a oto lewkonie. Sadzę je w rogach poletek z powodu zapachu — dzięki temu wiem, gdzie jestem. A oto orlik — ma wszystkiego po trzy: trzy listki i trzy rosnące razem łodygi na oznaczenie Trójcy Świętej. Tutaj mam goździki, stokrotki i złocienie. Czego jeszcze wam trzeba?

Philippe zaczął mnie pytać o inne rośliny, a ja klękałam i dotykałam ich po kolei — niebieskiego nawrotu, skalniaka, mydl-

nicy lekarskiej. A następnie usiadł i zaczął szkicować —jego węgiel skrzypiał na szorstkim papierze.

— Mogą ci też być potrzebne kwiaty wczesnowiosenne — przypomniałam mu. — Przebiśniegi i hiacynty. Oczywiście teraz nie kwitną, ale możesz sprawdzić na projektach taty, jeśli ich nie pamiętasz. I narcyzy, na oznaczenie jednorożca we *Wzroku* — przecież patrzy na swoje odbicie w lustrze jak Narcyz.

— Musiałś wcześniej rozmawiać z Leonem Le Vieux. On też uważa, że jednorożec jest próżny i zarozumiały — zauważył Nicolas.

Uśmiechnęłam się.

— Leon jest bardzo mądry. — Zawsze był dla mnie bardzo dobry i traktował mnie jak córkę. Kiedyś powiedział mi, że pochodzi z rodziny żydowskiej, chociaż chodzi z nami na msze, gdy nas odwiedza. Więc on też wie, co to znaczy być innym, i zna tę potrzebę, by się dopasować i zawsze być użytecznym.

— Nicolas, przynieś płótno, na którym zacząłem rysować *Śluch*, zaraz tam dodam *millefleurs*—powiedział ostro Philippe.

Myślałam, że Nicolas odpowie w podobny sposób, ale on bez słowa ruszył do warsztatu. Nie wiem dlaczego, ale poczułam, że nie chcę zostać sama z Philippe'em. Bałam się, że coś mi powie. Dlatego szybko wymknęłam się do mamy.

Od razu poczułam, co szykuje na obiad — pstrąga, świeżą marchew z ogrodu oraz gotowaną fasolę z grochem.

— Czy Nicolas i Philippe też będą z nami jedli? — spytałam, stawiając kufle na stole.

— Oczywiście. — Mama brzęknęła czymś ciężkim, co postawiła na stół — garnek z fasolą i grochem. Potem podeszła do ognia i po chwili usłyszałam odgłosy smażenia kolejnej ryby. Zaczęłam nalewać piwo — słyszę, kiedy kufle są prawie pełne.

Przy ogniu nie jestem tak pewna siebie jak w ogródku. Wolę miejsca, które nie zmieniają się tak szybko. Właśnie dlatego lubię gobeliny — trzeba czasu, żeby powstały. Rosną wolno, jak kwiaty w moim ogródku. Mama zawsze coś przestawia w czasie gotowania — nigdy nie wiem, czy znajdę nóż tam, gdzie go zo-

stawiałam, albo czy worek z grochem jest już na miejscu, tak żebym się o niego nie potknęła, albo czy miska z jajkami opiera się o ścianę, bym nie mogła jej przewrócić. W kuchni nie jestem już tak użyteczna. Nie umiem obchodzić się z ogniem — moje ubranie paliło się już wiele razy. Raz podłożyłam za dużo i zajęły się sadze w kominie, i bylibyśmy się spalili, gdyby mój brat nie ugasił ognia namoczoną w wodzie wełną. Po tym wypadku tata zakazał mi zbliżać się do ognia. Nie mogę piec mięsa. Nie mogę też mieszać w garnkach — zupa parę razy wylała mi się na rękę.

Ale mogę kroić warzywa — mama mówi, że kroję marchew dokładniej, niż trzeba, ale gdybym robiła to inaczej, mogłabym sobie uciąć palec. Mogę też szorować garnki. Mogę wyjmować i odstawić naczynia. Mogę przyprawiać jedzenie, ale powoli, żeby czuć gałkę muszkatołową, cynamon czy pieprz, i muszę często próbować. Bardzo się staram pomagać.

— Co myślisz o Nicolasie des Innocents? — spytała mama. Uśmiechnęłam się.

— Jest próżny i zarozumiały.

— To prawda. Ale przystojny. Podejrzewam, że w Paryżu wiele dziewcząt miało przez niego kłopoty. Mam nadzieję, że obejdzie się bez nich tutaj. Uważaj na niego, *ma filie*.

— Czego mógłby chcieć od ślepej dziewczyny?

— Jemu nie chodzi o twoje oczy.

Zrobiło mi się gorąco. Odwróciłam się od niej i otworzyłam drewniane pudełko z chlebem. Wywnioskowałam z dźwięku, że w środku są tylko okruchy. Sprawdziłam mały stół przy ogniu, a potem duży na krzyżakach.

— Czy jest jakiś chleb? Choćby do potraw? — spytałam w końcu. Nie znoszę, kiedy muszę przyznać, że czegoś nie mogę znaleźć.

— Madeleine po niego poszła.

Kiedyś wydawało mi się, że to moja wina, że mamy służącą. Madeleine miała być moimi oczami i robić to, co powinno należeć do córki. Ale kiedy warsztat taty zaczął być znany z powodu *millejeurs* i wciąż mieliśmy więcej pracy, musiałyśmy mu czę-

ściej pomagać obie z mamą, a więc Madeleine też okazała się niezbędna. Nie moglibyśmy się bez niej obyć, chociaż mama wciąż woli gotować, gdy ma na to czas — mówi, że potrawy Madeleine są za ciężkie i boli ją po nich brzuch. Ale kiedy mamy huk pracy w warsztacie, z przyjemnościąjamy to, co ugotuje, myjemy się w wodzie, którą przyniesie, i grzejemy przy ogniu, który rozpali.

Teraz przyniosła chleb. Jest dosyć gruba — tak wysoka jak mama, ale szersza. Dotykałam jej ramion, które są jak jagnięce nogi. Mężczyźni ją lubią. Któregoś wieczoru słyszałam ją w ogródku z Georges'em Le Jeune. Oni muszą myśleć, że nie słyszę ich pomruków czy nie zauważam zgniecionych narcyzów koło ogrodzenia z wikliny. Oczywiście nic nie mówię. Czemu miałabym to robić?

Tuż po Madeleine wrócił ze spotkania ze sprzedawcą wełny tata z chłopcami.

— Zamówiłem wełnę i jedwab — poinformował mamę. — W Ostendzie jest tego tyle, że wystarczy na osnowę i początek tkania. Przywiozą za parę dni, żebyśmy mogli zacząć pracę. Reszta zależy od pogody i tego, jak szybko dopłyną tu statki z Anglii.

Mama skinęła głową.

— Posiłek gotowy. Gdzie są Philippe i Nicolas?

— W ogródku — odparłam. Czułam jej oczy na plecach, kiedy po nich poszłam.

W czasie jedzenia tata pytał Nicolasa o Paryż. Zawsze chętnie dowiadujemy się czegoś nowego. Tata był w Ostendzie i innych tkackich miastach, takich jak Lille czy Tournai, ale nigdy w Paryżu lub innym tak odległym miejscu. Mama i Georges Le Jeune pojechali z nim kiedyś do Antwerpii, ale ja nigdy nie byłam poza murami miasta — za bardzo bym się tego bała. Wystarczy mi, że znam różne miejsca w Brukseli — Notre Dame de la Chapelle z targiem obok, Notre Dame du Sablon, bramę w wewnętrznych murach, przez którą mogę się dostać do Grand Place, tamtejsze targi, katedrę. To jest świat, który znam.

Mimo to lubię słuchać o innych miejscach i wyobrażać sobie, jak tam jest. Na przykład morze — chciałabym poczuć zapach soli i ryb, słyszeć rozbijające się fale i czuć krople morskiej wody na twarzy. Tata mi o tym opowiadał, ale chciałabym sama poczuć, jak wielka i potężna może być woda.

— Opowiedz o Notre Dame de Paris — poprosił tata. — Słyszałem, że jest większa nawet od naszej katedry.

Nicolas roześmiał się.

— Wasza katedra to chata w porównaniu z Notre Dame. Notre Dame to niebiański dom na ziemi. Ma najpiękniejsze wieże, najgłośniejsze dzwony i najwspanialsze witraże. Wiele bym dał, żeby móc je zaprojektować.

Chciałam właśnie zapytać o dzwony, kiedy Philippe odezwał się cicho:

— *En fait*, my, brukselczycy, jesteśmy dumni z naszej katedry. Zachodnia fasada będzie gotowa już w tym roku. A inne nasze kościoły też są godne uwagi — Notre Dame de la Chapelle robi wielkie wrażenie, a mały kościółek Notre Dame du Sablon jest bardzo ładny. Jego witraże na pewno dorównują paryskim.

— Być może są piękne, ale nie tak wspaniałe jak te z katedry Notre Dame w Paryżu — stwierdził Nicolas. — Lubię stać przed nią i patrzeć na ludzi, którzy wgapiają się w nie z otwartymi ustami. Pod Notre Dame jest więcej złodziei niż gdzie indziej w Paryżu, bo ludzie zapominają tam o Bożym świecie.

— Ludzie tam kradną? — zdziwiła się mama. — I nie boją się szubienicy?

— W Paryżu dużo się wieszka, ale złodziei nie ubywa. Jest tam tyle bogactwa, że złodzieje nie mogą się oprzeć. W Notre Dame przez cały dzień widuje się wielmożów w najpiękniejszych strojach na świecie. Paryskie kobiety są lepiej ubrane niż gdzie indziej.

— A byłeś w innych miastach? — spytał Georges Le Jeune.

— W wielu.

— Gdzie?

— W Lyonie. Są tam piękne kobiety.

— I?

— W Tournai.

— Tata też był w Tournai. Mówi, że to ruchliwe miasto.

— Okropne — mruknął Nicolas. — Obiecywałem sobie, że już tam nie wrócę.

— W Tournai potrafią świetnie tkać — odezwał się tata. — Ich wyroby mogą się równać z brukselskimi.

— Kobiety mają płaskie piersi i bez przerwy marszczą brwi. — Nicolas mówił z pełnymi ustami.

Zmarszczyłam brwi.

— Czy byłeś w Norwich? — spytał tata. — Chciałbym tam kiedyś pojechać, żeby zobaczyć targ z wełną.

— A ja chętnie pojechałbym do Wenecji — rzekł Nicolas.

— Dlaczego, *Monsieur*? — spytałam. — Czyżbyś wolał jedwab?

— Nie chodzi tylko o jedwab. Wszystko musi przejść przez Wenecję — przyprawy, obrazy, klejnoty, futra. Czego tylko mogłabyś sobie życzyć. I są tam różni ludzie: Maurowie, Żydzi, Turcy. Prawdziwa uczta dla oczu. — Urwał na chwilę. — Och, *pardon, Mademoiselle*.

Wzruszyłam ramionami. Wszyscy przy mnie mówią o wzroku, przyzwyczałam się.

— Pewnie spodobałyby ci się też weneckianki — dodał Philippe.

Zachichotałyśmy z Madeleine. Wiedziałam, że Philippe powiedział to, aby udobruchać Nicolasa. Taki już jest.

— Jak wygląda dom Jeana Le Viste? — spytała mama. — Czy jest pełen przepychu?

— Wystarczająco. Znajduje się tuż za murami miasta, niedaleko opactwa Saint-Germain-des-Prés, z bardzo ładnym kościołem, najstarszym w Paryżu. Jego żona często tam chodzi.

— *Monseigneur* Le Viste też?

— Jest bardzo zajęty, bez przerwy absorbują go sprawy Króla. Nie sądzę, żeby miał czas na msze.

— Brak mu czasu na msze! — powtórzyła z oburzeniem mama.

— Czy ma jakieś dzieci, *Monsieur*? — spytałam, ledwo skubiąc z drewnianego talerza. Zostawiłam tam fasolę z grochem — byłam zbyt podniecona, żeby jeść.

— Trzy córki, *Mademoiselle*.

— Żadnego syna? Powinien się więcej modlić — powiedziała mama. — To, że nie ma następcy, jest dla niego chyba wielką karą. Co by się stało choćby z tym warsztatem, gdyby nie Georges Le Jeune.

Tata chrząknął. Nie lubi, kiedy mu się przypomina, że jego warsztat przejdzie kiedyś na Georges'a Le Jeune.

— Ile trzeba czasu, żeby przejść przez cały Paryż? — spytał Luc.

— Co najmniej dwie msze — odparł Nicolas. — I to pod warunkiem, że nie zatrzymujesz się przy straganach i gospodach czy choćby, żeby pozdrowić znajomych. W dzień i w nocy na ulicach jest pełno ludzi. Można zobaczyć przeróżne cuda i kupić, co sobie zamarzysz.

— Wygląda na to, że Paryż nie różni się wiele od Brukseli. Jest tylko większy i więcej tam obcych—zauważył Georges Le Jeune.

— Jest tam zupełnie inaczej — prychnął Nicolas.

— To znaczy? Pomijając kobiety, jak sądzę.

— Cóż, kobiety w Brukseli są znacznie ładniejsze, niż początkowo sądziłem. Trzeba po prostu uważniej patrzeć.

Zaczerwieniłam się. Madeleine zachichotała i poruszyła się na ławie, dociskając mnie do mamy.

— Wystarczy, *Monsieur* — rzekła ostro mama. — Trzeba okazywać trochę szacunku w tym domu, bo niezależnie od tego, kim jesteś, wylądujesz w końcu na tyłku.

— Christine! — obruszył się tata, a Georges Le Jeune i Luc roześmiali się.

— Mówię, co czuję. Poza mną trzeba jeszcze myśleć o Alienor i Madeleine. Nie chcę, żeby dały się nabrać na takie pochlebstwa.

Tata zaczął coś mówić, ale Nicolas mu przerwał.

— Zapewniam, *Madame*, że nie chciałem urazić twojej córki ani ślicznej Madeleine.

Madeleine znowu zaczęła się wiercić i musiałam ją dźgnąć nogą.

— Jeszcze zobaczymy — powiedziała mama. — A najlepiej okażesz szacunek, biorąc udział w mszy. Od przyjazdu nie byłeś na żadnej.

— Masz rację, *Madame*, to karygodne zaniedbanie. Nadrobię je, idąc dziś po południu na nonę. Może wybiorę się do Sablon, żeby rzucić okiem na te sławne witraże.

— Nie — wtrącił tata. — Msza może poczekać. Potrzebuję pierwszego kartonu, żeby móc zacząć pracę. Skończcie to najpierw z Philippe'em, a potem będziesz mógł pójść na mszę.

Mama aż zadrżała ze złości, ale nic nie powiedziała. Nigdy nie pozwoliłaby na to, żeby praca była ważniejsza od mszy — ale to tata jest *lissier*, on decyduje w takich sprawach. Nie gniewała się też na niego długo. Nigdy tego nie robi. Po obiedzie poszła z tatą do warsztatu. Chociaż nie może tkać — cech ukarałby tatę grzywną gdyby to robiła — często pomaga mu przy innych pracach. Jej ojciec był tkaczem, dlatego wie dobrze, jak przygotować krosna, przewlekać nitki osnowy przez struny nicielnicy, sortować i nawijać wełnę, jak sprawdzić, ile wełny oraz jedwabiu będzie trzeba na dany gobelin, i ile potrzeba czasu, by go utkać.

Nie mogę jej w tym pomóc, ale potrafię szyć. W nocy, kiedy tkacze skończą siedzieć godzinami przy krosnach i szukam szpar, które tworzą się między kolorami. W ten sposób poznaję gobeliny równie dobrze jak tkacze, którzy przy nich pracują.

Oczywiście jeśli klient jest gotów za to zapłacić, a wzór na to pozwala, tata łączy kolory, zaplatając nitki jednych kolorów w drugie, tak że nie ma wówczas szpar do zaszycia. Ta technika wymaga dużej uwagi, zajmuje więcej czasu i jest droższa. Z tego powodu niektórzy klienci, jak *Monseigneur Le Viste*, gotowi są z niej zrezygnować. Zdaje się, że jest zbyt skąpy i robi wszystko w pośpiechu — tak jak można się było spodziewać po wielmoży z Paryża. W ciągu najbliższych miesięcy będę miała dużo szycia.

Kiedy poszli do warsztatu, wróciłam do pracy w ogródku —

pielіłam i pokazywałam mężczyznom kwiaty, których potrzebowali do rysowania i malowania na wielkim kawałku lnianego płótna. Czas płynął nam spokojnie i byłam z tego zadowolona — wolę, kiedy się nie kłócimy.

Później przyszli do nas Georges Le Jeune i Luc i patrzyli na Nicolasa i Philippe'a przy pracy. Słońce zaczęło się zniżać. Wzięłam dwa wiadra, żeby przynieść wodę do podlania roślin. Przechodziłam właśnie przez kuchnię po drodze do studni, kiedy usłyszałam imię Jacques'a Le Bceuf. Przystanęłam przy drzwiach prowadzących do pracowni.

— Byłem u niego dzisiaj, żeby powiedzieć, że wkrótce zamówię niebieską wełnę — powiedział tata. — Znowu o nią pytał.

— Przecież nie ma pośpiechu — rzekła mama. — Ma dopiero dziewiętnaście lat. Wiele dziewcząt czeka dłużej na odpowiednią partię albo żeby przygotować swój posag. I nie wygląda na to, żeby kandydatki na żonę pchały się do niego drzwiami i oknami.

— Smród pewnie by je zabił — mruknął tata. Zaśmiali się oboje.

Trzymałam wiadra mocno i nie ruszałam się w obawie, że mnie usłyszą. Potem poczułam, że ktoś z ogródka zatrzymał się za mną.

— Ale to jednak poważna propozycja — podjął tata. — Jedyne, jaką miała. Nie możemy jej tak łatwo odrzucać.

— Nie musi koniecznie wychodzić za barwiarza. Czy tego dla niej pragniesz?

— Nie tak łatwo znaleźć męża dla ślepej dziewczyny.

— Może zostać starą panną.

— I być dla nas ciężarem do końca życia? Drgnęłam. Widocznie nie jestem dosyć użyteczna.

Ten, kto stał za mną przesunął się trochę i po chwili wycofał do ogródka, pozwalając mi wypłakać się w ciszy. Moje oczy w jednym przypominają oczy innych — dają łzy.

Christine du Sablon

Nie mogłam oderwać oczu od materiałów. Dama grająca na organach ma na sobie bogatą wierzchnią suknię z żółto-czerwonym wzorem przypominającym owoc granatu. Jej brzegi obszyte są perłami i ciemnymi klejnotami, pasującymi do tych, które ma na szyi. Spodnia suknia jest niebieska i ma spiczaste rękawy, opadające wdzięcznie z jej ramienia. Georges będzie mógł się pochwalić swoim szrafowaniem przy tych rękawach, które przechodzą od ciemnoniebieskiego do jasnego błękitu.

Nawet służąca przy miechach organów ma piękny strój — lepszy niż ja czy Alienor. Pewnie tak ubierają się paryskie dworki. Jej suknia jest oczywiście prostsza niż pani, ale zrobiona z ciemnoniebieskiej mory z czerwonym obszyciem — jeszcze więcej szrafowania — i ma długie, żółte rękawy, zaokrąglone na końcach, a nie spiczaste. Gdybym ja się tak ubrała, rękawy moczyłyby mi się w zupie i plątały w nitkach osnowy.

Dama dworu ma też na szyi dwa łańcuchy z wisiorami z kwiatów. Nie są one tak bogate jak naszyjnik pani, ale zrobiono je ze złota. I nosi też klejnoty na przybraniu głowy. Chciałabym mieć takie. Mam, co prawda, naszyjnik z rubinów w emalii, który Georges podarował mi, kiedy przejął warsztat. Zakładam go na bale cechu i mogę przejść wtedy przez Grand Place niczym królowa.

Czasami myślę o tym, że jesteśmy bogaci, nawet jeśli na to nie wygląda, i zastanawiam się, co powiedziałby Georges, gdy-

bym zechciała być damą taką jak te z gobelinów. Co by było, gdybym nosiła piękne stroje, jadła cukrowane migdały i miała mnóstwo służących — do czesania, noszenia modlitewnika, koszyka i chustek, porządkowania moich rzeczy i ogrzewania pokoju. To Madeleine ma rozpalać u nas ogień, ale często jeszcze śpi, kiedy ja wstaję, więc muszę to robić sama.

Wcale nie przypominam tych dam z obrazów. Nie umiem grać na organach i nie mam czasu na karmienie ptaków, plectenie wianków czy patrzenie w lustro. Jedyna Dama, którą jako tako rozumiem, to ta, która chwyciła róg jednorożca. Właśnie to bym zrobiła — przytrzymała go mocno.

Mamy pieniądze, ale Georges nie wydaje ich na luksusy. To prawda, że nasz dom jest większy niż pozostałe — połączyliśmy dwa domy, żeby mieć miejsce na warsztat i spanie dla czeladników oraz innych, którzy nam pomagają. Mam swój naszyjnik, a także dobre łożę z kasztana. Materiał, z którego zrobiono nasze stroje, choć prosty, jest dobry i dobrze skrojony. I obie z Alienor mamy aż po trzy suknie, podczas gdy inne kobiety mają tylko dwie lub jedną. Ale wkładamy je do pracy, a nie na pokaz. Rękawy nie mogą nam w tym przeszkadzać.

Georges nie pyszni się naszym bogactwem, ale korzysta z niego, by kupować projekty gobelinów — ma ich więcej niż inni *lissiers* w naszym mieście. I mamy dwa dobre poziome krosna, a inne, podobne do naszego warsztaty, tylko jedno. Mój mąż szczerze płaci za msze odprawiane w naszej intencji i za część kościoła Notre Dame du Sablon.

Tylko co jakiś czas chciałabym mieć niebieskie suknie zamiast brązowych i raczej jedwabne, a nie wełniane. Chciałabym mieć futro, żeby mi było ciepło, i trochę czasu, by móc się uczesać, oraz służącą by zrobiła to za mnie. Madeleine raz próbowała, ale moja głowa wyglądała później jak ptasie gniazdo. Chciałabym, żeby moje ręce były tak gładkie, jak różane płatki, z których te damy na obrazach robią sobie wyciągi na dłonie. Alienor też mi kiedyś taki zrobiła, ale za dużo pracuję z szorstką wełną żeby mógł się przydać.

Chciałabym mieć zawsze ogień, przy którym można siedzieć, i więcej jedzenia niż potrzebuję.

Tylko czasami myślę o tym wszystkim.

Miałam wraz z innymi tyle roboty przy strunach nicielnic, że z przyjemnością przystanąłam w ogródku, żeby popatrzeć na to, co namalowali Nicolas des Innocents i Philippe. Jak do tej pory, powiększyli jedynie ten właśnie karton — ze *Stuchem* — i przyczepili go do ściany, przy której pracowali. Philippe wszystko narysował, bo Nicolas nie mógł zrozumieć, że tkamy odwrotnie, więc potrzebujemy kartonów będących lustrzanym odbiciem powstających gobelinów. Trzeba specjalnego talentu, żeby powiększyć projekt i w dodatku narysować po prawej to, co jest po lewej, i odwrotnie. Wszyscy śmialiśmy się na widok miny Nicolasa, kiedy zobaczył karton ze *Stuchem* narysowany w lustrzanym odbiciu. Ale przyzwyczał się do tego i świetnie go namalował. Chociaż próżny, jest jednak doskonałym artystą i szybko się uczy.

Alienor i Nicolas byli w ogródku, kiedy wyszłam — on malował, a ona zbierała z drabiny czereśnie. Philippe poszedł do ojca po farby. Mimo że znajdowali się na przeciwległych krańcach ogródka i oboje byli zajęci, nie spodobało mi się to, że zostali sami. Niewiele jednak mogłam na to poradzić — mam zbyt dużo roboty i nie mogę być jeszcze przyzwoitką. Alienor to rozsądna dziewczyna, chociaż widziałam jej reakcję, kiedy Nicolas pojawiał się w pokoju.

On natomiast pracował nad następnym kartonem, malując na wielkim płótnie to, co miał narysowane węglem. Był to *Węch*, na którym Dama plotła ślubny wianek z goździków — zareczynowych kwiatów. Ta Dama musi być pewna, że złapie jednoroźca, skoro robi ten wianek. Nicolas malował jej twarz, chociaż nie zaczął jeszcze stroju. Chciałam jak najszybciej go zobaczyć.

Przerwał pracę i stanął obok mnie przy *Stuchu*. — Co sądzisz o tym projekcie, *Madame*? Nic o nim nie mówiłaś. Bardzo ładny, *n'est-cepas*?

— Nigdy nie czekasz na komplementy, prawda? Wystarczy ci, jak sam siebie pochwalisz.

— Czy podoba ci się suknia? Wzruszyłam ramionami.

— Suknia jest bardzo ładna, ale *millefleurs* jeszcze ładniejsze. Philippe świetnie narysował kwiaty, zresztą tak jak zwierzęta.

— A ja zrobiłem jednorożca i lwa. Co o nich myślisz?

— Jednorożec jest za gruby i za mało ruchliwy. Nicolas zmarszczył brwi.

— Nie ma już czasu na zmiany — dodałam. — Może tak zostać. Przynajmniej lew świetnie się prezentuje. *Tu sais*, z tymi okrągłymi oczami i szerokim pyskiem wygląda trochę jak Philippe.

Alienor zachichotała na drabinie. Podeszłam do *Węchu*.

— Jaką suknię ma Dama na tym projekcie? A jej służąca? Nicolas uśmiechnął się.

— Suknia spodnia jest z brokatu w czerwieni owocu granatu, a wierzchnia niebieska i podciągnięta oraz przymocowana w talii tak, że widać czerwony spód. Suknia służącej powtarza ten układ — niebieska wierzchnia, czerwona spodnia — tyle że ze zwykłej mory — poinformował.

Był przy tym tak zadowolony z siebie, że musiałam coś powiedzieć.

— Służąca nie powinna mieć dwóch naszyjników. Wystarczy jeden i to zwykły łańcuch.

Nicolas skłonił się.

— Coś jeszcze, *Madame*?

— Nie bądź bezczelny. — Zniżyłam głos: — I trzymaj się z daleka od mojej córki.

Alienor przestała zrywać czereśnie.

— *Maman!* — krzyknęła. Zawsze dziwiło mnie to, jak dobrze słyszy.

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, Georges zawołał nas do pracowni, żeby mu pomóc z osnową. Zaczęliśmy już przy-

gotowywać krosno do tkania — zagruntowaliśmy nici osnowy ochrą i przymocowaliśmy do jednego wału. Teraz trzeba było nawinąć osnowę na tylny wał, zanim się ją przymocuje do przedniego i utworzy gotową do tkania powierzchnię.

Nici osnowy są grubsze niż wątek i zrobione z szorstkiej wełny. Myślę, że przypominają żony. Nie widać tego, co z nich powstaje — dostrzegamy jedynie ich grzbiety przykryte kolorowymi niemi. Ale bez nich nie byłoby gobelinów. Georges zupełnie by się beze mnie rozkleił.

Żeby przygotować krosno do tkania gobelinu tej wielkości, trzeba co najmniej czterech osób, które będą trzymały pęki nici osnowy i ciągnęły za nie, podczas gdy dwie inne będą nawijać je na tylny wał. Potrzebna jest jeszcze jedna osoba, która sprawdza napięcie nici. Wszystko musi być w porządku już od rozpoczęcia pracy, inaczej później są problemy przy tkaniu. Alienor zawsze nadzoruje nawijanie — ma tak wrażliwe dłonie, że doskonale się do tego nadają.

Georges i Georges Le Jeune stali już przy korbkach do nawijania. Alienor podeszła do ojca, a ja pokazałam przygotowane dla nas pęki nici. Luc trzymał już swoje. Brakowało nam jednej osoby.

— Gdzie jest Philippe? — spytał Georges.

— Nie wrócił jeszcze od ojca — odparł Nicolas.

— Madeleine, odstaw soczewicę z ognia i chodź do nas! — zawołałam.

Z kuchni przyszła rozgrzana i umazana sadzą Madeleine. Kazałam jej stanąć między mną a Lukiem, żeby nie stała koło Nicolasa — nie chciałam, żeby robili do siebie maślane oczy, zamiast pracować. Wzięliśmy nici w obie dłonie i odeszliśmy od krosna. Pokazałam Nicolasowi i Madeleine, jak trzymać nitki mocno i równo w całej dłoni i jak je ciągnąć. Nie tak łatwo jest naciągnąć je równomiernie. Trzymaliśmy nasze pęki, zbliżając się do krosna, a Georges i Georges Le Jeune poruszali wolno korbkami po obu stronach wału. Kiedy na chwilę przerwali, Alienor podeszła do wałka, a następnie przeciągnęła dłonią po nitkach, zbliżając się do nas. Wszyscy milczeli. Twarz miała

jasną i skupioną — bardzo przypominała Georges'a w czasie tkania. Przez moment miałam nawet wrażenie, że widzi. Kiedy doszła do końca nici, wróciła, żeby sprawdzić następne. Wreszcie zatrzymała się przy niciach Nicolasa.

— Za luźne — powiedziała. — Tu i tu. Sięgnęła dalej, żeby sprawdzić nici Madeleine.

— Pociągnijcie mocniej lewą ręką— poleciłam obojgu. — Lewa jest słabsza, dlatego trzeba mocniej ciągnąć.

Kiedy nici się wyrównały, Georges i Georges Le Jeune znowu zaczęli je wolno nawijać na wał, pociągając nas w jego stronę. Kiedy znaleźliśmy się przy krośnie, puściliśmy nici, by po chwili chwycić je nieco dalej. Alienor znowu sprawdziła, czy są dobrze napięte. Tym razem Nicolas trzymał za słabo prawą ręką a Luc część nici lewą. Potem Madeleine, a potem znowu Nicolas. Powiedziałyśmy im z Alienor, jak mają ciągnąć.

— To może trwać parę godzin. Ręce mnie boją— mruknął Nicolas.

— Uważaj, to pójdzie szybciej — odburknęłam. Georges i Georges Le Jeune znowu zaczęli nawijać, a ja poczułam swąd spalenizny.

— Soczewica! Madeleine aż podskoczyła.

— Nie puszczaj! — krzyknęłam. — Alienor, zdejmij soczewicę z ognia.

Strach wykrzywił jej jasną twarz. Wiedziałam, że nie lubi ognia, ale nic nie mogłam na to poradzić — tylko ona miała wolne ręce.

— Madeleine, czy zdjęłaś soczewicę z ognia, tak jak cię prosiłam? — spytałam, gdy Alienor wybiegła z warsztatu.

Spojrzała chmurnie na nici, które poznały jej palce na białą i czerwono.

— Ty głupia.

— Jest taka jak Marie-Celeste. — Nicolas zachichotał. Madeleine uniosła głowę.

— Kto to?

— Dziewczyna, która pracuje u Le Viste'ów. Też jest taka zuchwała. Alienor wróciła do pracowni.

— Postawiłam garnek na podłodze — powiedziała.

Wróciliśmy do pracy — my naciągaliśmy, Georges'owie nawijali nici na wał, a Alienor sprawdzała, czy są dobrze napięte. Nie było to już jednak tak przyjemne. Mnie również zaczęły boleć ręce, chociaż nigdy bym się do tego nie przyznała. Niepokoiłam się też, co podam na obiad. Będę musiała pobiec do żony piekarza po pasztet w cieście — sprzedaje go w domu, kiedy jej mąż jest w Domu Chleba. Zirytowana Madeleine sapała i robiła miny tuż obok, a Nicolas zaczął z nudów wywracać oczami.

— Co robicie, kiedy skończy się to męczące nawijanie? — spytał.

— Nawlekamy nici na nicielnice, żeby tworzyły przesmyk

— odparłam.

Nicolas wyglądał tak, jakby nic nie zrozumiał.

— Nicielnice to struny, które unoszą co drugą nitkę, żeby mogło między nimi przejść czółenka z wątkiem — wyjaśniłam.

— Jak się naciśnie pedał, osnowa rozdziela się na dwie części, a przestrzeń między nimi to przesmyk.

— A co robicie z gobelinem w czasie tkania?

— Nawijamy na ten wałek przed nami. Nicolas myślał przez chwilę.

— Ale w takim razie go nie widzicie.

— To prawda. Tylko kawałek, nad którym pracujemy, a potem trzeba go nawinać. Cały gobelin można obejrzeć dopiero po skończeniu pracy.

— Niemożliwe. To tak, jakby ślepiec malował! — Powiedziawszy te słowa, skrzywił się i spojrzał na Alienor, która sprawdzała nici, jakby nie usłyszała jego słów.

Mimo to wciąż zadawał pytania.

— A gdzie znajduje się karton?

— Na stole, który stoi pod osnową. Widzimy go w czasie tkania. Philippe naniesie też wzór na samą osnowę.

— A to po co? — I wskazał stojące w kącie wrzeciono.

— Boże, czy on nigdy nie zamknie jadaczki? — Georges Le Jeune powiedział to, co wszyscy myśleliśmy.

Nasz warsztat jest cichy, to inne są głośniejsze. Kiedy Georges wynajmuje innych tkaczy — jak będzie w przypadku tych gobelinów — zawsze wybiera tych spokojnych. Kiedyś mieliśmy tkacza, który bez przerwy gadał, i Georges musiał go zwolnić. Nicolas też nie zamyka ust — głównie powtarza paryskie plotki i tym podobne głupstwa. Zadaje tyle pytań, że mam ochotę go rąbnąć. Dobrze, że pracuje w ogródku, bo inaczej Georges by go skrzyczał. Jest łagodny, ale nie znosi głupiego gadania.

Nicolas już otworzył usta, żeby zadać kolejne pytanie, ale Alienor pociągnęła parę nitok i musiał mocniej naciągnąć te, które trzymał w lewej ręce.

— Mniej gadaj i więcej myśl o pracy — powiedział Georges. — Inaczej nie skończymy do zmroku.

Nie zajęło nam to jednak tyle czasu. Wreszcie skończyliśmy i mogłam się zająć obiadem.

— *Viens*, Alienor — powiedziałam. — Pomożesz mi wybrać najlepiej pachnące pasztety.

Alienor uwielbia chodzić do domu piekarza.

— Proszę, *Madame*, przyniosę je, jeśli też będę mogła je zjeść — poprosiła Madeleine.

— Ty masz na obiad spaloną soczewicę. Przynieś najpierw panom coś do picia, a potem zabierz się do szorowania garnka.

Madeleine westchnęła, chociaż Nicolas mrugnął do niej. Georges Le Jeune znowu zmarszczył brwi. Kiedy Nicolas cofnął się i uniósł ręce na znak, że jej nie dotknął, zaczęłam się zastanawiać, czy nie zauważył przypadkiem czegoś, co umknęło mojej uwadze.

Spojrzałam na Alienor, kiedy wychodziłyśmy. Zwykle jest schludna, ale czasami ma smugę po sadzy na policzku albo — tak jak teraz — gałązki czereśni we włosach. Jest dosyć ładna z długimi i złotymi jak moje włosami, prostym nosem i okrągłą buzią I tylko jej wielkie puste oczy oraz krzywy uśmieszek powodują, że patrzącym robi się przykro.

Alienor trzymała się mojego rękawa tuż nad ramieniem, kiedy szliśmy rue Haute. Idzie żwawo i ci, którzy jej nie znają, nie mogą się niczego domyślić — tak jak Nicolas. Zna drogę tak dobrze, że nie potrzebowałaby mojej pomocy, gdyby nie końskie łajno, w które mogłaby wdepnąć, zawartość nocników, którą mogliby na nią wylać, i konie, które poniosły. Poza tym idzie przez ulicę, jakby ją prowadziły anioły. Jeśli już gdzieś była, na pewno znajdzie to miejsce. Chociaż próbowała wyjaśnić, jak to robi — odgłosy i liczenie kroków, faktura okolicznych murów, zapachy, które jej mówią gdzie się znajduje — wciąż uważam za cud to, że potrafi się tak pewnie poruszać. Mimo to nie lubi chodzić sama — woli trzymać mnie za ramię.

Kiedyś, gdy była dziewczynką, zostawiłam ją samą. To była jesień, dzień targowy i na Place de la Chapelle ludzie tłoczyli się między porozstawianymi towarami — jabłkami i gruszkami, marchwią i dyniami, chlebem, pasztetami i miodem, kurczakami, królikami, gęsiami, skórą, kosami, sukniem i koszami. Zauważyłam starą przyjaciółkę, którą na dłuższy czas zmogła gorączka, i zaczęłyśmy chodzić, plotkując, żeby się dowiedzieć, co nowego. Nawet nie zauważyłam, że Alienor zniknęła, aż przyjaciółka mnie o nią zapytała, i wówczas poczułam, że córka nie trzyma mnie już za rękaw. Szukałyśmy jej wszędzie i w końcu odnalazłyśmy w tłumie — z niewidzącymi oczami pełnymi łez — jak jęczała i załamywała ręce. Zatrzymała się, żeby pogłaskać baranka, i wtedy puściła mój rękaw. Rzadko widuje się, by aż tak poddała się swemu kalectwu.

Przed nami wyczułam zapach pasztetów żony piekarza. Dodaje do nich owoców jałowca i znaczny roześmianą, błazeńską twarzą. Zawsze się uśmiecham na ten widok.

Alienor się nie uśmiechała. Marszczyła nos, krzywiąc się z obrzydzenia.

— Co się stało? — spytałam.

— Proszę, mamó, wejdźmy na moment do Sablon.

Nie czekając na zgodę, pociągnęła mnie na rue Chandeliers. Mimo zdenerwowania wciąż liczyła kroki i wiedziała, gdzie jest.

Zatrzymałam się.

— Żona piekarza zaraz zakończy sprzedaż, nie możemy się spóźnić.

— Proszę, mamó. — Alienor wciąż ciągnęła mnie za ramię. W końcu i ja poczułam zapach, który krył się za wonią jałowca i mięsa. Jacques Le Boeuf. Ten smród otaczał nas ze wszystkich stron.

— Chodź. — Teraz ja ją pociągnęłam.

Dotarliśmy na rue des Samaritaines, gdzie skręciłyśmy, kiedy usłyszałam okrzyk Jacques'a:

— Christine!

— Biegniemy — szepnęłam i wzięłam ją pod ramię. Potykałyśmy się na nierównych kamieniach, wpadając na mury i przechodniów. — Tędy. — Pociągnęłam ją w lewo. — Do Sablon jest za daleko. Chodźmy do Chapelle. Nie powinien nas tam szukać.

Przeprowadziłam ją szybko przez *place*, gdzie straganiarze zaczęli już pakować swoje towary, by udać się do domu na posiłek.

Wkrótce dotarliśmy do kościoła i szybko weszłyśmy do środka. Wepchnęłam Alienor do kaplicy Matki Boskiej Samotności, niedaleko wejścia, i kazałam uklęknąć za filarem — Jacques Le Boeuf nie zobaczyłby jej, gdyby tu przyszedł. Sama też uklęknęłam i zaczęłam się modlić, a potem przysiadłam na piętach. Nic nie mówiłyśmy, powoli łapiąc oddech. Gdybyśmy nie uciekały przed Jakiem, pewnie bym się roześmiała, bo musiałyśmy wyglądać komicznie. Nie zrobiłam tego jednak — a Alienor miała nieszczęśliwą minę.

Rozejrzałam się dokoła. Kościół był pusty — seksta już się skończyła i ludzie poszli coś zjeść. Bardzo lubię Chapelle — jest duży i jasny z tymi wszystkimi oknami — ale wolę Sablon. Wychowałam się niedaleko, a poza tym zawsze dobrze służył okolicznym tkaczom. Jest mniejszy i staranniej zbudowany — ma lepsze witraże, kamienne zwierzęta i ludzi patrzących w dół z zewnętrznych murów. Oczywiście Alienor

nie może tego docenić — to, co najlepsze w tym kościele, nic dla niej nie znaczy.

— Mamo — szepnęła — proszę, nie każ mi za niego wychodzić. Wolałabym już wstąpić do zakonu, niż żyć w takim smrodzie.

Smród sfermentowanych owczych szczyn, w których moczą urzet, by utrwalić kolor, powodował, że barwiarze przez wiele pokoleń żenili się z kuzynkami. Jacques Le Boeuf musiał uznać, że Alienor wniesie świeżą krew do rodziny, jak również spory spadek, a także powiązania z doskonałym warsztatem.

— Jak mogłabym żyć z tym smrodem potrzebnym do produkcji koloru, którego nawet nie mogę zobaczyć? — dodała.

— Pracujesz przy gobelinach, których też nie widzisz.

— Tak, ale one nie mają brzydkiego zapachu. I mogę ich dotykać. Mogę wyczytać palcami całą ich historię.

Westchnęłam.

— Wszyscy mężczyźni mają wady, ale to nic w porównaniu z tym, co od nich dostajesz — jedzenie i ubrania, dom, utrzymanie i łożo. Jacques Le Boeuf dałby ci to wszystko i powinnaś za to dziękować Bogu — rzekłam z większym naciskiem, niż chciałam.

— Dziękuję, ale... czemu nie mogłabym sobie wybrać kogoś, kto mi się bardziej podoba? Tak jak inne kobiety. Żadna nie chce tego cuchnącego brutala. Więc dlaczego ja mam go wziąć?

— Alienor zadrżała. Jej ciało ogarnęła fala obrzydzenia. Widziałam, że nie znalazłaby szczęścia w łożu Jacques'a Le Boeuf. Mnie samej trudno było bez drżenia myśleć o jego poplamionych na niebiesko dłoniach na ciele mojej córki.

— Ten związek byłby dobry dla interesów — powiedziałam.

— Pomogłabyś mężowi i swojemu ojcu. On miałyby stałe zamówienia od Georges'a, a Georges tańszą wełnę. *Tu sais*, wyszłam za twego ojca, żeby połączyć warsztaty naszych rodziców. Mój ojciec nie miał syna i uznał, że Georges go zastąpi, żeniąc się ze mną. A przecież jesteśmy szczęśliwym małżeństwem.

— Ale to moje małżeństwo nie służyłoby interesom — nalegała Alienor. — Wiesz, że nie, mamo. Przecież moglibyście

mnie wydać za handlarza wełną lub jedwabiem albo innego tkacza czy nawet artystę. Ale chcecie, żebym wyszła za człowieka, który ma tyle wad, że nie zauważa moich.

— To nieprawda — zaprzeczyłam, chociaż wiedziałam, że tak właśnie jest. — Wszyscy widzą, jak bardzo jesteś użyteczna. Ślepotą nie przeszkadza ci w prowadzeniu domu czy ogródka albo pomaganiu w warsztacie.

— Bardzo się staram — wymamrotała Alienor. — Pracuję tyle, żebyście byli zadowoleni, ale w końcu i tak to nie ma znaczenia. Kto wybierze ślepą dziewczynę, jeśli może znaleźć taką która widzi? W Brukseli jest wiele dziewczyn, które wcześniej wyjdą za mąż, jak i wielu mężczyzn, którzy ożenią się przed Jakiem Le Boeuf. My zostaniemy na koniec. Dlatego jesteście sobie przeznaczeni.

Nic nie mówiłam — przedstawiła wszystkie moje argumenty, chociaż nie wyglądała na przekonaną. Miała zmarszczone brwi i mięła skrawek sukni. Położyłam rękę na jej dłoni, by ją powstrzymać.

— Nie podjęliśmy jeszcze decyzji — powiedziałam, odepchnąwszy jej dłoń i wygładziwszy materiał. — Porozmawiam z twoim ojcem. Na razie potrzebujemy twojej pomocy przy gobelinach, więc nie możemy cię wydać za mąż. *Tiens*, Jacques pewnie już sobie poszedł. Chodźmy do piekarza, zanim zjedzą nam wszystkie pasztety.

Piekarz wrócił już do domu i cała rodzina zasiadła do stołu. Udało mi się uprosić jego żonę, by sprzedała nam pasztety, ale musiałam jej obiecać kosz groszku z ogródka Alienor. Nie było już pasztetów z wołowiną a tylko z kapłonem. Georges za nimi nie przepada.

Kiedy znaleźliśmy się w pobliżu naszego domu, Alienor spłoszyła się jak koń i chwyciła mnie za ramię. Wokół unosił się smród owczych szczyn — Jacques Le Boeuf musiał przyjść do Georges'a po tym, jak nas zobaczył na rue Haute. Oczywiście wybrał porę, kiedy jemy, żebyśmy musieli zaprosić go do stołu.

— Idź do sąsiadów — powiedziałam. — Zajrzę po ciebie, kiedy pójdzie.

Zaprowadziłam ją do tkaczy mieszkających dwa domy dalej, a ona wśliznęła się do środka.

Jacques i Georges pili piwo w ogródku. Jeśli nie jest zbyt zimno, zawsze go tam prowadzimy. Pewnie jest do tego przyzwyczajony. Kartony Nicolasa ze *Słuchem* i *Węchem* wciąż były przytwierdzone do ściany, ale on sam zniknął. Jacques Le Boeuf działa tak na wszystkich.

— Witaj, Jacques — rzekłam, wchodząc do ogródka, by go przywitać, i starając się nie zasłaniać nosa i ust.

— Uciekłyście przede mną! — zaczął się wściekać. — Dlaczego to zrobiliście?

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Poszliśmy z Alienor do Chapelle, żeby się pomodlić. Musiałyśmy się spieszyć, bo potem miałyśmy pójść do piekarza. Oczywiście zostaniesz na obiedzie, mamy pasztety w cieście. — Niezależnie od tego, jak trudno było go znieść, wiedziałam, że powinnam go zaprosić, skoro ma zostać naszym zięciem.

— Uciekłyście — powtórzył. — Nie powinnycie tego robić. Gdzie dziewczyna?

— Poszła z wizytą.

— *Bien.*

— Jacques chce z nami porozmawiać o Alienor — wtrącił Georges.

— Nie, chcę mówić o tym żalonym zamówieniu. — Jacques Le Boeuf wskazał gobelin ze *Słuchem*. — Sami popatrzcie, tu prawie nie ma niebieskiego, zwłaszcza przy tych kwiatach. Jeśli ta tendencja się utrzyma, to chyba zbankrutuję. Wszędzie czerwony i żółty. I wygląda na to, że w tym drugim będzie jeszcze mniej niebieskiego. — Spojrzał na *Węch*, który był wykonany w węglu, z pomalowanymi jedynie ramionami i twarzą Damy. — Mówiłeś, że niebieskiego będzie znacznie więcej — zwrócił się do Georges'a. — A są tylko skrawki, podczas gdy reszta jest czerwona.

— Dodaliśmy drzewa do projektów — powiedział Georges.

— To wynagrodzi stratę niebieskiego.

— Za mało, połowa liści jest żółta. — Jacques Le Bceuf łypnął na Georges'a.

To prawda, że zmieniliśmy ilość zamówionej niebieskiej przędzy. Mając jeden z projektów we właściwym rozmiarze, mogliśmy oszacować całe zamówienie. Zrobiliśmy to z mężem poprzedniego wieczoru. Georges wysłał dziś rano Georges'a Le Jeune, żeby poinformował o tym Jacques'a.

— Projekty zmieniły się od naszej pierwszej rozmowy — rzekł spokojnie Georges. — To się często zdarza. Nigdy nie obiecywałem ci, że kupię określoną ilość niebieskiej przędzy.

— Zwiodłeś mnie i będziesz musiał za to zapłacić — nalegał Jacques.

— Może tu zjecie pasztety? — wtrąciłam się. — Czasami przyjemnie jest zjeść na dworze. Madeleine, przynieś pasztety!

— krzyknęłam do środka.

— Przecież wiesz, Jacques, że nie mogę zamawiać stałych ilości przędzy — powiedział Georges. — Tak się nie prowadzi interesów. Wiele rzeczy może się zmienić.

— Nie dostarczę ci nawet grama niebieskiej wełny, dopóki nie zgodzisz się na moje warunki.

— Dostarczysz ją jutro rano, tak jak obiecałeś. — Georges mówił wolno, jakby tłumaczył coś dziecku.

— Pod warunkiem, że ty też mi coś obiecasz.

— Co takiego?

— Swoją córkę. Georges zerknął na mnie.

— Nie rozmawialiśmy jeszcze o tym z Alienor.

— A o czym tu rozmawiać? Dacie mi posag i zostanie moją żoną. Trzeba jej tylko o tym powiedzieć.

— Jeszcze jest nam potrzebna — zauważyłam. — Te gobeliny to nasze największe zamówienie i potrzebujemy ludzi do pracy. Utrata Alienor może spowodować, że nie zdążymy na czas. A wtedy także ty nie będziesz miał zamówień.

Jacques Le Bceuf nie zwrócił na mnie uwagi.

— Daj mi Alienor, a dostaniesz niebieską przędzę — powiedział, kiedy Madeleine przyniosła pasztety i nóż. Wstrzymywała oddech, żeby nie wdychać smrodu, ale zaskoczona wypuściła ze świstem powietrze z płuc. Zmarszczyłam brwi i pokręciłam głową widząc, jak rzuciła pasztety na stół i uciekła do środka.

— Muszę o tym porozmawiać z Christine — powiedział Georges. — Jutro dam ci odpowiedź.

— Dobrze — odparł Jacques. Wziął nóż i odkroił sobie wielki kawał pasztetu. — Dobrze, dacie mi dziewczynę, to dostaniecie wełnę. A nie próbujcie iść do innych barwiarzy — znają mnie lepiej niż was.

No jasne, przecież wszyscy są kuzynami.

Georges miał właśnie ukroić sobie kawałek pasztetu, ale zatrzymał ostrze noża tuż nad skórką. Zamknęłam oczy, by nie widzieć gniewu na jego twarzy. Kiedy je otworzyłam, włożył czubek noża w ciasto i tak go zostawił.

— Mam teraz pracę — rzekł, wstając. — Porozmawiamy jutro.

Jacques Le Bceuf połknął wielki kęs pasztetu. Nie wyglądał na obrażonego tym, że Georges odszedł w czasie posiłku.

Ja też się wycofałam, żeby poszukać Madeleine. Cała zgrzana pochylała się nad garnkiem po soczewicy.

— Ani słowa Alienor — syknęłam. — Nie musi teraz o tym wiedzieć. Poza tym nie podjęliśmy jeszcze decyzji.

Madeleine spojrzała w górę, schowała niesforny kosmyk za ucho i znowu zabrała się do szorowania.

Jacques zjadł przed wyjściem połowę naszego pasztetu. Nawet go nie tknęłam, nie miałam na niego teraz ochoty.

Alienor o nic nie pytała, kiedy po nią poszłam. Zaraz też ruszyła do ogródka i zaczęła zbierać groszek dla żony piekarza. Byłam z tego zadowolona, bo nie wiem, co bym jej powiedziała.

Później zaproponowała, że sama zanieśie ten groszek. Kiedy wyszła, zaciągnęłam Georges'a w najodleglejszy zakątek ogródka — tuż pod ogrodzenie z różami — żeby nikt nas nie słyszał.

Nicolas i Philippe pracowali zgodnie nad *Węchem*. Nicolas malował ramiona Damy, a Philippe zabrał się do malowania lwa.

— Co zrobimy z Jakiem le Boeuf? — zapytałam. Georges spojrzął na dzikie róże, jakby słuchał ich, a nie mnie.

— *Alors?*

— Chyba mu ją damy — westchnął.

— Niedawno żartowałeś, że smród ją zabije.

— Nie wiedziałem wtedy, że nie dostaniemy niebieskiej wełny. Jeśli szybko nie zaczniemy pracy, spóźnimy się i Leon ukarze nas grzywną. Jacques wie o tym. Trzyma mi nóż na gardle.

Przypomniałam sobie drzenie Alienor w Chapelle.

— Brzydzi się go.

— Przecież wiesz, że to najlepsza propozycja, na jaką może liczyć, Christine. I tak ma szczęście. Jacques będzie o nią dbał. Wcale nie jest zły, pomijając ten smród, do którego będzie się musiała przyzwyczaić. Niektórzy narzekają na zapach wełny w naszym warsztacie, ale my go nie zauważamy, *n'est-ce pas*'?

— Jej nos jest czulszy niż nasze. Georges wzruszył ramionami.

— Jacques będzie ją bił — dodałam.

— Nie zrobi tego, jeśli będzie go słuchać. Tylko prychnęłam, słysząc te słowa.

— Daj spokój, Christine, przecież jesteś taka praktyczna. Zwykle bardziej niż ja.

Pomyślałam o Jacques'u Le Bceuf, który pożarł połowę naszego pasztetu, i o jego groźbach. Jak to możliwe, żeby Georges chciał oddać córkę komuś takiemu? Mimo to wiedziałam, że niewiele mogę zrobić. Zrozumiałam, że mój mąż już podjął decyzję.

— Nie możemy się jej teraz pozbyć — powiedziałam. — Musi szyć te gobeliny. Poza tym nie mam jeszcze jej wyprawy.

— Będzie mogła odejść dopiero, kiedy będziemy kończyć to zamówienie. Sama zszyjesz dwa ostatnie gobeliny. Z pewnością będziemy mogli ją wydać za Jacques'a przed następną Gwiazdką.

Staliśmy w milczeniu i patrzyli na dzikie róże rosnące na ogrodzeniu. Na jednej przysiadła pszczoła i róża chwiała się lekko.

— Nic jej na razie nie mówmy — odezwałam się w końcu. — Powiedz Jacques'owi, że nie wolno mu się przechwalać narzeczoną, inaczej nici z małżeństwa.

Georges skinął głową.

Być może było to okrutne z mojej strony. Być może powinniśmy powiedzieć Alienor. Ale nie mogłabym znieść przez następne półtora roku jej smutnej miny, kiedy miała czekać na to, czego tak bardzo się bała. Będzie lepiej dla wszystkich, jeśli poinformujemy ją o tym na krótko przed ślubem.

Przeszliśmy przez ogródek Alienor, pełen kolorowych kwiatów, zwojów groszku, schludnych grządek sałaty, oskubanych krzaczków tymianku, rozmarynu i lawendy, mięty i melisy. Kto będzie o nie dbał, kiedy jej zabraknie?, pomyślałam.

— Przerwij pracę, Philippe, musisz teraz nanieść wzór na osnowę — powiedział Georges, podchodząc do *Słuchu*. — *Tiens*, pomóż mi zanieść ten karton do warsztatu, jeśli wysechł. Georges, Luc! — zawołał.

Jego głos brzmiał twardo i rzeško — chciał w ten sposób zapomnieć o naszej rozmowie.

Philippe wrzucił pędzel do garnka z wodą. Obaj chłopcy wybiegli z warsztatu. Georges Le Jeune wspiął się na drabinę, by odczepić karton. Później wnieśli go do środka, trzymając każdy za jeden róg.

Bez tego obrazu ogródek wydał się nagle pusty. Zostałam sama z Nicolasem. Malował teraz ręce Damy trzymającej goździk. Trzymał też kwiat w swojej dłoni. Nie ruszył się, stał odwrócony do mnie plecami. To było zupełnie do niego niepodobne — rzadko rezygnuje z rozmowy sam na sam z kobietą, choćby nawet była od niego starsza i zamężna.

Głowę i szyję trzymał sztywno. To z gniewu — zrozumiałam po chwili. Spojrzałam na biały goździk w jego dłoni. Alienor zasadziła je niedaleko róż. Musiał go zerwać w chwili, kiedy rozmawiałam z Georges'em.

— Nie myśl o nas źle — rzekłam cicho. — Tak będzie dla niej najlepiej.

Nicolas przez chwilę milczał, trzymając pędzel przy płótnie. Nie malował, ale trzymał rękę w powietrzu.

— Bruksela zaczyna mnie nudzić — powiedział. — To wszystko jest dla mnie zbyt prostackie. Z chęcią stąd wyjadę. Im szybciej, tym lepiej.

Spojrzał na goździk, który trzymał w ręce, a potem rzucił go i zdeptał obcasem.

Tego wieczoru malował do późna. W lecie jest widno nawet do komplety.

III

PARYŻ I CHELLES

Okres wielkanocny 1491

Nicolas des Innocents

Nie spodziewałem się, bym jeszcze kiedyś zobaczył gobeliny lub ich projekty. Kiedy maluję miniaturę lub tarczę herbową albo projektuję witraże, widzę je tylko w czasie pracy. To, co dzieje się z nimi później, zupełnie mnie nie obchodzi. Nie myślę też już o nich, tylko maluję kolejną miniaturę, drzwi powozu, Madonnę z Dzieciątkiem do kaplicy czy herb na tarczy. To tak jak z kobietami — cieszę się, gdy mogę wyobrazić jedną a potem znowu, gdy następną. Nie oglądam się za siebie.

Nie, to nie do końca prawda. Jest jedna, którą wspominam, jedna, o której ciągle myślę, chociaż jej nie miałem.

Te gobeliny z Brukseli przez dłuższy czas nie dawały mi spokoju. Myślałem o nich w różnych dziwnych momentach — gdy dostrzegłem bukiet fiołków na straganie przy rue St Denis lub poczułem zapach placka ze śliwkami przez otwarte okno, albo gdy słyszałem mnichów śpiewających w czasie nieszporu w Notre Dame, albo gdy żułem goździk z pieczeni. Kiedyś, gdy byłem z kobietą nagle zacząłem się zastanawiać, czy lew z *Dotyku* nie za bardzo przypomina psa, i moje berło zwiędło pod jej palcami niczym główka kapusty.

Zwykle szybko zapominam większość z tego, co robię, ale wiele szczegółów z kartonów pamiętałem — długie, pomarańczowe rękawy służącej w *Słuchu*, małą ciążącą za łańcuch, do którego była uwiązana, w *Dotyku*, powiewający szal Damy w *Smaku*, ciemność za odbiciem jednorożca w lustrze we *Wzroku*.

Udało mi się coś udowodnić tymi projektami. Leon Le Vieux traktował mnie teraz z większym szacunkiem, jakby miał do czynienia z równym sobie, a nie nędznym artystą. Mimo że wciąż malowałem miniatury, miałem też od niego zamówienia na gobeliny pochodzące od różnych wielmożów. Zatrzymał sprytnie moje obrazy sześciu Dam, wymyślając różne wymówki, żeby tylko nie zwrócić ich *Monseigneurowi*, chociaż należały się Le Viste'om. Pokazywał je innym wielmożom, a oni z kolei mówili o nich jeszcze innym i stąd brały się zamówienia na kolejne gobeliny. Zaprojektowałem płótna z nowymi jednorożcami — niektóre siedziały samotne w lesie, na inne polowano, innym znowu towarzyszyły Damy — zawsze jednak dbałem o to, by różniły się od projektów Le Viste'ów. Leon zacierał ręce.

— Widzisz, jakie powodzenie mają te małe projekty — powtarzał. — Zobaczysz, co się będzie działo, kiedy zobaczą prawdziwe gobeliny w Sali Paradnej u Le Viste'ów. Będiesz miał pracę do końca życia.

A pieniądze będą płynąć do mojej sakiewki — powinien dodać. Mimo to byłem zadowolony—jeśli dalej tak będzie szło, już nigdy nie będę musiał malować tarcz czy drzwiczek powozów.

Któregoś dnia poszedłem do domu Leona, żeby omówić nowy gobelin — nie z jednorożcem, ale z polującymi sokolnikami. Leon sporo zarobił na tych zamówieniach. Ma duży dom tuż przy rue des Rosiers, z oddzielną komnatą, w której prowadzi interesy. Pełno w niej pięknych zamorskich przedmiotów — srebrnych tac z wygrawerowanymi dziwnymi literami, maleńkich, misternie zdobionych szkatulek na przyprawy ze Wschodu, puszystych perskich dywanów, tekowych komódek wyłożonych macią perłową. Kiedy tak rozglądałem się dookoła, przypominałem sobie swój prosty pokój nad Le Coq d'Or i zmarszczyłem brwi. Zapewne był w Wenecji, pomyślałem. Pewnie był wszędzie. Jednak któregoś dnia ja też zarobię tyle, by móc się poszczycić takim luksusem.

W czasie rozmowy na temat gobelinu naszkicowałem skrzydła i ogon sokoła. Następnie rzuciłem węgiel i usiadłem.

— Jeśli zrobi się ładniej, może gdzieś wyjadę po skończeniu tego projektu. Paryż mnie nudzi.

Leon Le Vieux również usiadł.

— Gdzie?

— Sam jeszcze nie wiem. Może na pielgrzymkę.

Leon przewrócił oczami. Wie, że nie chodzę regularnie do kościoła.

— Naprawdę — upierałem się. — Gdzieś na południe, do Tuluzy albo Lourdes. A może nawet do Santiago de Compostela.

— I czego się po tym spodziewasz? Wzruszyłem ramionami.

— Tego, co zwykle po pielgrzymce.—Nie powiedziałem mu, że jeszcze na żadnej nie byłem. — Ale przecież tacy jak ty niewiele o tym wiedzą— dodałem, żeby się z nim trochę podrażnić.

Leon puścił to mimo uszu.

— Pielgrzymka to ciężka podróż i niewiele na niej skorzystasz. Zastanawiałeś się nad tym? Pomyśl, że będziesz musiał zrezygnować z pracy, a i tak nie zobaczysz niczego ciekawego. Zaledwie niewielką część całości.

— Nie rozumiem.

— Chodzi mi o relikwie, które chcesz zobaczyć. Czyż w Tuluzie nie ma drzazgi z krzyża Zbawcy? Zobaczysz kawałek drewna, a nie krzyż. Czy nie poczujesz się tym rozczarowany?

— Nie będę rozczarowany — obstawałem przy swoim. — Dziwię się, że sam nie byłeś na pielgrzymce, a przecież taki dobry z ciebie chrześcijanin.

Wziąłem do ręki jedną ze srebrnych szkatulek na przyprawy. Jeden z jej ornamentów został tak sprytnie wygięty, że tworzył drzwi z zawiasami i zamkiem.

— Skąd to pochodzi?

— Z Jerozolimy. Uniosłem brwi.

— Więc może powinienem tam pojechać. Leon roześmiał się głośno.

— Chciałbym to zobaczyć, Nicolasie. *Tiens*, skoro mówisz

o podróży. Drogi między Paryżem a Brukselą są już suche, a od znajomego kupca dowiedziałem się paru rzeczy o twoich gobelinach. Na moją prośbę zatrzymał się u Georgesesa.

Od miesiący nie rozmawialiśmy z Leonem o tych gobelinach. Na początku adwentu drogi między Paryżem a Brukselą były zbyt nieprzejezdne dla większości podróżnych. Leon nic nie wiedział o gobelinach, więc przestałem pytać. Odstawiłem szkatułkę na przyprawę.

— I co mówił?

— Skończyli dwa pierwsze tuż po Bożym Narodzeniu i zaczęli dwa następne na Trzech Króli — te dwa długie. Mają jednak trochę opóźnienia. Niektórzy z nich byli chorzy.

— Kto?

— Georges Le Jeune i jeden z wynajętych tkaczy. Już wszyscy zdrowi, ale stracili czas.

Odetchnąłem z ulgą że to nie Alienor. Zdziwiłem się trochę. Wziąłem węgiel i narysowałem głowę oraz dziób ptaka.

— Jak wyglądają gobeliny?

— Georges pokazał mu dwa pierwsze — *Słuch* i *Węch*. Kupiec twierdził, że są piękne.

Narysowałem oko sokoła.

— A co z tymi, które teraz robią? Gdzie dotarli?

— Tkają psa siedzącego na trenie Damy w *Smaku*. W *A mon seuldesir* dotarli do służącej. Oczywiście widać tylko niewielką część tego, co właśnie tkają. — Uśmiechnął się. — Niewielką część całości.

Spróbowałem przypomnieć sobie szczegóły projektu. Przez dłuższy okres pamiętałem je tak dobrze, że mógłbym je namalować z zamkniętymi oczami. Zaskoczyło mnie to, że zapomniałem, iż pies siedzi na sukni Damy.

— Leon, wyjmij obrazy. Chciałbym na nie popatrzeć. Leon zaśmiał się.

— Nie prosiłeś o to już od dłuższego czasu — powiedział, otwierając tekową komódkę kluczem, który odwiązał sobie od pasa. Wyjął obrazy i położył je na stole.

Spojrzałem na psa w *Smaku* i starałem się oszacować, ile czasu zajmie im dotarcie do twarzy Damy. Twarzy Claude.

Minęło wiele miesięcy, od kiedy widziałem po raz ostatni Claude Le Viste. Od mojego powrotu z Brukseli w lecie zeszłego roku nie byłem w domu przy rue du Four. Nie miałem od nich żadnych zamówień, a cała rodzina pojechała do zamku koło Lyonu. Słyszałem, że wrócili na Św. Michała do Paryża, i wystawiałem czasami przed Saint-Germain-des-Prés, żeby choć zobaczyć Claude. Pewnego dnia zauważyłem ją na rue du Four z matką i dworkami. Gdy mnie minęła, zawróciłem, idąc po drugiej stronie ulicy z nadzieją że mnie zauważy.

Odwróciła się. A potem zatrzymała, jakby się potknęła. Dworki minęły ją niczym wezbrana fala i została sama z Bé-atrice. Claude machnęła do niej i uklękła, jakby chciała poprawić sobie bucik. Upuściłem koło niej monetę i pochyliłem się, by ją podnieść. Klęcząc, uśmiechaliśmy się do siebie. Mimo to nie odważyłem się jej dotknąć — ktoś taki jak ja nie może dotykać szlachetnie urodzonych dam na ulicy.

— Chciałam się z tobą spotkać — szepnęła Claude.

— A ja z tobą. Przyjdiesz do mnie?

— Chciałabym, ale...

Nie skończyła, a ja też nie zdążyłem jej powiedzieć, gdzie mieszkam. Zaraz skoczyła w naszą stronę Béatrice i lokaj, który jej towarzyszył.

— Wynoś się — syknęła do mnie. — Szybko, zanim *Madame* cię zobaczy.

Lokaj złapał mnie za ramię i odciągnął od Claude, która klęcząc, patrzyła na mnie swoimi jasnymi oczami.

Po tym wydarzeniu widziałem ją raz lub dwa z daleka, ale niewiele mogłem zrobić. W końcu była córką wielmoży — nikt nie powinien widzieć mnie z nią na ulicy. Chociaż chętnie powitałbym ją w swoim łóżu, wątpiłem, czy kiedyś zdołam pokonać mur złożony z jej dworek. Miałem inne kobiety, ale żadna mnie nie zadowoliła. Za każdym razem kończyłem, czując, że nie jestem całkiem opróżniony — jak kufel z odrobiną piwa na dnie.

Teraz, patrząc na Damę ze *Smaku*, poczułem się tak samo. Wciąż było mi mało.

Léon zaczął zbierać obrazy.

— *Un moment* — powiedziałem, kładąc rękę na *A mon seul désir*, gdzie Dama zastygła z klejnotami w dłoni. Czyje nakłada, czy zdejmuje? Czasami trudno mi było powiedzieć.

Léon mlasnął i założył ręce na piersi.

— Nie chcesz ich obejrzeć? — spytałem. Wzruszył ramionami.

— Przecież je znam.

— Nie podobają ci się, prawda, chociaż tak je chwalisz przed innymi.

Léon wziął szkatułkę na przyprawy, którą się bawiłem, i odstawił obok innych na półkę.

— Świetnie nakręcają interesy. A poza tym dodadzą splendoru Sali Paradnej Jeana Le Viste. Ale nie, nie dałem się uwieść twoim Damom. Wolę rzeczy bardziej użyteczne — półmiski, komody, świeczniki.

— Gobeliny też są użyteczne, pokrywają surowe ściany. Dzięki nim pokoje stają się cieplejsze i jaśniejsze.

— To prawda. Ale osobiście wolę, żeby wówczas były wyłącznie dekoracyjne, tak jak ten. — Wskazał mały gobelin, na którym znajdowały się tylko *millefleurs*, bez ludzi czy zwierząt. — Nie potrzebuję dam w wyśnionym świecie, chociaż dla ciebie są być może realne.

Chciałbym, żeby były, pomyślałem.

— Jesteś zbyt przyziemny. Léon przechylił lekko głowę.

— To mi pomaga przetrwać. Dzięki temu wszyscy możemy przetrwać. — Zaczął zbierać obrazy. — Narysujesz coś jeszcze czy nie?

Zacząłem szybko rysować — sokół atakował czaplę, panowie i damy patrzyli w tamtą stronę, a psy biegły na samym dole szkicu. Zostało tło do wypełnienia *millefleurs*. Zaprojektowałem już tyle gobelinów, że teraz przychodziło mi to z dużą

łatwością. A dzięki ogrodowi Alienor mogłem nawet rysować *millejeurs*.

Leon obserwował mnie w czasie pracy. Ludzie często to robią—rysowanie to dla nich czynność magiczna, jak pokaz na jarmarku. Mnie samemu zawsze przychodziło to z dużą łatwością, ale są tacy, którzy rysują jakby mieli w ręku kawałek świecy, a nie węgla.

— Dużo się nauczyłeś przez ostatnie miesiące — zauważył. Wzruszyłem ramionami.

— Ja też potrafię być przyziemny.

Tej nocy śnił mi się kawałek gobelinu z twarzą Claude i obudziłem się lepki. To mi się nie zdarzało od jakiegoś czasu. Następnego dnia znalazłem pretekst, żeby się wybrać do Saint--Germain-des-Pres —jeden z tamtejszych przyjaciół miał mi opowiedzieć więcej o polowaniu z sokołami. Oczywiście mogłem zapytać kogoś z rue St Denis, ale to pozwoliło mi przejść rue du Four i spojrzeć na dom Le Viste'ów. Tego też nie robiłem już od dłuższego czasu. Okiennice były pozamykane, chociaż dopiero skończyła się Wielkanoc, i nie sądziłem, żeby rodzina wyjechała już do Lyonu. Czekałem, ale nikt nie wychodził.

Nie zastałem również mojego przyjaciela i ruszyłem wolno w stronę centrum. Kiedy przechodziłem na drugą stronę murów miejskich przez Porte St Germain, przepychając się między straganami, którymi była obstawiona brama, dostrzegłem znajomą kobietę pochyloną nad główkami wczesnej sałaty. Nie była już gruba.

— Marie-Celeste — zawołałem, chociaż nie zdawałem sobie sprawy z tego, że pamiętam jej imię.

Odwróciła się i spojrzała, wcale nie zaskoczona tym, że właśnie się zbliżam.

— Czego chcesz? — burknęła.

— Zobaczyć twój uśmiech.

Marie-Celeste mruknęła coś i obróciła się do sałaty.

— Ta główka ma wszędzie plamki — powiedziała do sprzedawcy.

— To znajdź inną—rzekł obojętnie.

— Kupujesz je dla Le Viste'ów?

Marie-Celeste przeglądała główki sałaty, zacisnąwszy ponuro usta.

— Już tam nie pracuję. Powinieneś wiedzieć.

— Dlaczego nie?

— Musiałam przecież odejść, żeby urodzić dziecko, nie? Claude miała się za mną wstawić, ale kiedy wróciłam, moje miejsce zajęła już inna dziewczyna, a *Madame* nawet nie chciała mnie słuchać.

Na dźwięk imienia Claude aż zadrzałem z żądz. Marie-Celeste łypnęła na mnie i spróbowałem pomyśleć o czymś innym.

— *Alors*, jak się miewa dziecko?

Marie-Celeste znieruchomiała na moment, a potem znowu zaczęła wybierać główki.

— Oddałam je zakonnicom. — Potrząsnęła wybraną główką.

— Co? Dlaczego?

— Musiałam wrócić do pracy, żeby pomagać matce. Jest stara i schorowana, nie może zajmować się niemowlakiem. Po prostu musiałam. A potem okazało się, że nawet nie mam gdzie wracać.

— To chłopiec?

— Nie, dziewczynka.

Milczałem, myśląc o córce, która była gdzieś u zakonnic. Nie sądziłem, że to właśnie stanie się z którymkolwiek z moich dzieci.

— Jak ją nazwałaś?

— Claude.

Wymierzyłem jej tak mocny policzek, że główka sałaty wypadła jej z ręki.

— *Hola!* — krzyknął sprzedawca. — Za zniszczony towar trzeba zapłacić.

Marie-Celeste zaczęła płakać. A potem chwyciła koszyk i uciekła.

— Podnieś to! — krzyknął sprzedawca.

Wziąłem sałatę, z której opadło parę listków. A potem rzuciłem ją na stragan i pobiegłem za Marie-Céleste. Kiedy ją dogoniłem, miała twarz czerwoną od wysiłku i z płaczu.

— Dlaczego właśnie to imię?! — krzyknąłem, chwytając ją za ramię.

Potrząsnęła głową próbując się wyrwać. Wokół nas zaczął zbierać się tłum — na rynku wszystko staje się sensacją.

— Chcesz ją znowu uderzyć? —> zaczęła drwić jakaś kobieta. — Jeśli tak, zaczekaj, żeby moja córka też mogła popatrzeć.

Wyciągnąłem Marie-Céleste z tłumy w uliczkę, gdzie sprzedawcy wyrzucali odpady — zgniłą kapustę, stare ryby, końskie łajno. Jakiś szczur umknął nam spod nóg, kiedy pchnąłem ją w stronę zgniłej przyzmy.

— Dlaczego tak właśnie nazwałaś moją córkę? — spytałem ciszej. Słowo córka sprawiło, że poczułem się dziwnie.

Marie-Céleste spojrzała na mnie zmęczonym wzrokiem. Przestała płakać. Jej ziemista twarz wyglądała jak buła, w którą wetknięto dwie porzeczkę, a ciemne włosy wystawały spod czepka. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego w ogóle chciałem się z nią przespać.

— Przynależała to Claude — odparła. — Byłam jej wdzięczna za to, że obiecała wytłumaczyć mnie przed panią. Ale w końcu tego nie zrobiła. Kiedy rozmawiałam z *Madame Genevieve*, przysięgała, że *Mademoiselle* nic jej nie powiedziała. Myślała, że po prostu uciekłam. Więc moja córka nosi jej imię za nic, mimo że tyle dla niej zrobiłam, kiedy była dzieckiem. Na szczęście znalazłam pracę u rodziny de Belleville'ow przy rue des Cordeliers. Nie są tak bogaci jak Le Viste'owie, ale wystarczająco. Panie Le Viste nawet czasami do nich przychodzą.

— Więc je widzisz?

— Staram się im usuwać z drogi. — Marie-Céleste doszła już do siebie. Rozejrzała się dookoła i lekko się uśmiechnęła. — Nie sądziłam, że znowu będę z tobą sam na sam, i to w takim miejscu.

— Kto z rodziny do nich przychodzi? Tylko *Madame Genevieve* czy również córki?

— Zwykle też Claude — odparła. — Jest tam dziewczyna w jej wieku.

— Często tam bywają?

Marie-Céleste zmarszczyła czoło jak stara kobieta, którą miała się stać.

— A co to ciebie obchodzi? Wzruszyłem ramionami.

— Pytam z ciekawości. Jak wiesz, pracowałem dla pana Le Viste i zastanawiałem się, jakie są kobiety z tej rodziny.

Marie-Céleste zrobiła chytrą minę.

— Pewnie chciałbyś tam do mnie przyjść, co?

Aż otworzyłem usta, zdziwiony, że zaczyna ze mną flirtować po tym, co się stało. Uznałem jednak, że może być użyteczna. Uśmiechnąłem się i strzepnąłem piórko z jej ramienia.

— Mm.

Kiedy zbliżyła się i mnie ścisnęła, moje berło szybko się podniosło, a jej twarz wydała mi się nagle mniej ziemista. Szybko jednak cofnęła dłoń.

— Muszę już wracać. Przyjdź do mnie kiedyś. Wyjaśniła mi, jak znaleźć dom przy rue des Cordeliers.

— Może zajrzę, kiedy przyjdą panie Le Viste — powiedziałem. — Wtedy będę mógł zaspokoić swoją ciekawość.

— Jak uważasz. Mają przyjść pojutrze, tak mówiła moja pani.

To było zbyt proste. Kiedy Marie-Céleste odeszła, kołysząc swoim koszykiem, zacząłem się zastanawiać, co jej z tego przyjdzie poza tym, że znowu poczuje mnie między udami. Nie rozmyślałem jednak zbyt długo. Wystarczyło mi to, że znowu zobaczę Claude Le Viste.

Oczywiście to było zbyt proste. Marie-Céleste nie zamierzała mi tak łatwo wybaczyć.

Dom Belleville'ow rzeczywiście nie był tak wspaniały jak

ten Le Viste'ów. Miał tylko dwa piętra i szkło w niektórych oknach, ale poza tym był wciśnięty między inne domy, a część drewnianej konstrukcji już przegniła. Przyglądałem się mu, stojąc po drugiej stronie ulicy i czekając na Marie-Celeste. Myślałem o tym, czy zobaczę wchodzącą Claude. Nie wiedziałem, jak zostać z nią sam na sam — przecież przyjdzie z matką i Beatrice, a w środku będą inne panie. Poza tym mam jeszcze Marie-Celeste — być może będę ją musiał wyobracać, żeby się jej pozbyć. Nie miałem żadnego planu, pozostawało mi tylko uważać i czekać na okazję. Może uda mi się spotkać z Claude choć na chwilę i jakoś się umówić. Opłaciłem nawet człowieka, który napisał dla niej wiadomość — Claude będzie mogła ją przeczytać, nawet jeśli ja tego nie potrafię. Trochę się krzywił, kiedy usłyszał moje słowa, ale je zapisał. Ludzie zrobią wszystko, gdy tylko usłyszą brzęk monet.

Marie-Celeste wyjrzała przez drzwi wejściowe, a potem skinęła na mnie. Podbiegłem do nich i wśliznąłem się do środka. Przeprowadziła mnie przez jeden pokój, a potem następny, w którym wisiały gobeliny — chociaż było zbyt ciemno, żeby je obejrzeć — i w końcu do kuchni, gdzie kucharz spojrzał na mnie złym wzrokiem i kucnął przy garnku, który znajdował się na palenisku.

— Nie hałasujcie, bo będą kłopoty — burknął.

Nie pamiętam, czy Marie-Celeste krzyczała, kiedy poprzednio ją obracałem, ja w każdym razie starałem się być uprzejmy, łypiąc na niego, gdy wychodziliśmy tylnymi drzwiami.

— Idiota — mruknął.

Nie miałem czasu, by pomyśleć, jakie ostrzeżenie kryje się za tymi słowami. Kiedy wszedłem do ogrodu, usłyszałem coś za sobą i nagle ktoś tak mnie walnął, że zobaczyłem gwiazdy. Potknąłem się, nie mogąc się nawet odwrócić, by zobaczyć napastnika. On kopnął mnie i upadłem na ziemię. A on zaczął mnie kopać w bok i głowę. Udało mi się spojrzeć przez krew, która zalewała mi oczy, i zobaczyłem Marie-Celeste z założonymi na piersi rękami.

— Uważaj na pranie — powiedziała do mężczyzny, którego nie mogłem zobaczyć.

Było za późno — krew splamiła już prześcieradło, które za nią wisiało.

Zdołałem jęknąć, zanim mężczyzna zamknął mi usta kolejnym kopniakiem.

Zrobiło się dziwnie cicho — słychać było tylko kopniaki i skrzypienie butów Marie-Céleste, kiedy przestępowała z nogi na nogę. Zwinąłem się w kłębek, starając się chronić narządy wewnętrzne i przyjmować kopniaki na tył. Po paru kopniakach w głowę otoczyły mnie ciemności. Kiedy się ocknąłem, usłyszałem głośny pisk, jakby ktoś złapał w sidła królika. Dlaczego Marie-Céleste tak wyje?, pomyślałem.

— Cicho — syknęła Marie-Céleste. Zrozumiałem, że to ja wydaję te dźwięki.

— Kopnij go w jaja — powiedziała do napastnika. — Kopnij go tak, żeby już nigdy żadnej kobiecie nie mógł zrobić dziecka.

Mężczyzna wymierzył mi kopniaka w kolana, żebym się rozprostował, a potem rozpląszczył mnie na ziemi. Kiedy szykował się do *coup de grace*, zamknąłem oczy. Potem usłyszałem skrzypienie okiennicy. Ktoś otworzył nad nami okno. Otworzyłem oczy i ujrzałem twarz Claude wysoko nade mną. Jej oczy były wielkie i czyste. Wyglądała jak kawałek gobelinu.

— *Arrêtez!* — wrzasnęła Marie-Céleste.

Mężczyzna zatrzymał się, spojrzał w górę i zaraz zniknął. Nie sądziłem, że ktoś może uciec tak szybko. Ale udało mi się dostrzec tyle, by domyślić się, że to zarządca Le Viste'ow. Mam pilnować swojego tyłka. Zaiste. Zawsze mnie nienawidził — wygląda na to, że do tego stopnia, iż gotów był zaryzykować swoją pracę. Albo to, albo sam miał ochotę na Marie-Céleste.

— Co się stało? Czy to ty, Marie-Céleste? — spytała Claude. — I... — Urwała. — Nicolas?

Obok twarzy Claude pojawiły się inne — Genevieve de Nanterre, Beatrice, *Madame* i *Mademoiselle* de Belleville. To było szczególne doświadczenie — widzieć nad sobą wszystkie te głowy — jakby ptaki na drzewie patrzyły na robaka. Następnie znowu zamknąłem oczy.

— Och, *Mademoiselle*, ktoś zaatakował pana! — krzyknęła Marie-Celeste. — Nie wiem, skąd się tu wziął. Po prostu na niego skoczył!

Nagle w całym ciele poczułem okropny ból. Jęknąłem, chociaż chciałem się od tego powstrzymać. W ustach czułem smak krwi.

— Zaraz tam zejść — powiedziała Claude.

— Wykluczone — rzekła jej matka. — Beatrice, zejść na dół i pomóż Marie-Celeste się nim zająć.

Kiedy znowu otworzyłem oczy, wszystkie głowy zniknęły — została tylko Claude. Patrzyła na mnie. Było bardzo cicho. Uśmiechnęliśmy się do siebie. Widząc jej twarz, czułem się tak, jakbym patrzył na błękitne niebo przez liście drzew. Potem nagle zniknęła, jakby ją odciągnięto od okna.

— Ani pary z gęby — syknęła Marie-Celeste. — Przyszedłeś do mnie i ktoś cię napadł.

Leżałem spokojnie. Nic bym nie osiągnął, opowiadając Beatrice o tym, co się naprawdę stało. Gdybym to zrobił, Marie-Celeste mogłaby jej powiedzieć, że mamy córkę, a Beatrice doniosłaby o tym Claude. Nie chciałem, żeby o tym wiedziała.

Po chwili pojawiła się Beatrice z miską wody i czystą szmatą. Przysiadła obok, wzięła moją głowę na kolana i zaczęła zmywać z niej krew. To wystarczyło, żeby zrobiło mi się niedobrze, więc zamknąłem oczy.

Marie-Celeste opowiedziała swoją historię o człowieku, który chciał mnie ograbić. Beatrice milczała. To sprawiło, że Marie-Celeste oszalała z niepokoju — zaczęła wymyślać coraz bardziej niestworzone historie z niechęciami, sakiewkami, przyjaciółmi braci i groźbami. Bardzo się zaplątała.

W końcu Beatrice przerwała jej.

— Jak ten człowiek mógł się dostać do domu? Musiał tu kogoś znać.

Marie-Celeste znowu zaczęła się tłumaczyć, ale w końcu zrozumiała, że każde słowo ją zdradza, i zamilkła, jakby ją ktoś zakneblował.

Béatrice rozchyliła mój kaftan i przyłożyła szmatę do mojej piersi i ramion, a ja skrzywiłem się i zacząłem jęczeć. To spowodowało, że Marie-Céleste znowu zaczęła paplać.

— Nie mam pojęcia, co on tu robił. Ja...

— Przynieś czystą wodę — przerwała jej Béatrice. — Najlepiej ciepłą.

Kiedy Marie-Céleste odeszła, ktoś musiał pojawić się w drzwiach, gdyż Béatrice spojrzała w tamtą stronę.

— Spytaj, czy mają trochę omiega. Jeśli nie, wystarczy garść stokrotek albo nagietków wsypanych do ciepłej wody.

Ktokolwiek to był, szybko się cofnął.

— Czy to Claude? — spytałem. Prawie nie mogłem ruszać wargami.

Kiedy Béatrice nie odpowiedziała, spojrzałem w jej brązowe oczy, które zajmowały tak dużą część jej pospolitej twarzy.

— Nie — odparła. — To jedna z panien de Belleville.

Nie mogłem stwierdzić, czy kłamie. Obróciłem głowę i wyplułem dwa zęby, które ominęły suknię Béatrice z niebieskiej mory i upadły na ziemię.

— Co zrobiłeś, żeby zasłużyć na takie lanie? — spytała cicho Béatrice. — Niezależnie od tego, co to było, i tak ci się pewnie należało.

— Béatrice, włóż rękę do mojej kieszeni.

Jej łukowate, czernione brwi wygięły się jeszcze bardziej.

— Proszę. Chciałbym, żebyś przekazała to, co tam jest. Wahala się, a potem sięgnęła i wyjęła kartkę z mojego kaftana. Była na niej krew.

— Daj ją Claude.

Béatrice obejrzała się za siebie.

— Wiesz, że nie mogę tego zrobić — szepnęła.

— Możesz. Proszę. Ona by tego chciała. Jesteś jej dworką *n'est-ce pas!* Musisz jej służyć. — Spojrzałem jej głęboko w oczy. Kobiety często mówią że najbardziej lubią moje oczy. Dobrze, że nie zęby.

Twarz Béatrice złagodniała, broda dotknęła szyi, a jej noz-

drza się rozszerzyły. Nic nie powiedziała, ale włożyła kartkę do rękawa.

Marie-Céleste wróciła z pachnącą kwiatami miską. Zamknąłem oczy i pozwoliłem, by obmyły mnie z Béatrice. W innej sytuacji cieszyłbym się z tego, że czuję na ciele dwie pary kobiecych rąk, ale teraz bolało mnie tak bardzo, że chciałem, by to się jak najszybciej skończyło. *Madame de Belleville* pojawiła się na chwilę i kazała odwieźć mnie swoim ludzom. Zasnąłem, kiedy zaczęła czynić wymówki Marie-Céleste.

Leżałem w łóżku trzy dni, zanim znowu mogłem się ruszać. Moje stawy były sztywne, oczy podkrążone, nos opuchnięty i miałem złamane żebro, więc przy każdym ruchu towarzyszył mi ostry ból. Leżałem w łóżku i piłem piwo, ale nic nie jadłem. Przesypiałem większą część dnia, ale w nocy leżałem, przeklinając ból.

Czekałem na Claude. Czwartego dnia usłyszałem kroki na schodach, ale to nie ona otworzyła drzwi. Zamiast niej w drzwiach pojawił się Léon Le Vieux i zaczął się rozglądać po zimnym, brudnym pokoju — dziewczyna z *Le Coq d'Or* nie przyszła jeszcze, by rozpaścić i sprzątnąć przyniesione mi poprzedniego dnia jedzenie. Léon zwykle do mnie nie przychodzi, tylko przysyła po mnie posłańca. Próbowałem usiąść.

— Zdaje się, że byłeś niegrzeczny, prawda?

Chciałem zaprotestować, ale zrezygnowałem. Miałem wrażenie, że Léon wie wszystko — kłamstwa nie miały sensu. Położyłem się wygodnie.

— I nieźle za to oberwałem. Léon zaśmiał się.

— Teraz odpocznij. Musisz szybko wydobrzeć, za karę wysyłam cię na pielgrzymkę.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

— Gdzie?

Uśmiechnął się lekko.

— Nie na południe, ale na północ. Żebyś zobaczył relikwie z Brukseli.

Genevieve de Nanterre

Claude nawet nie chciała na mnie spojrzeć, kiedy wracałyśmy na rue du Four. Szła tak szybko, że omal nie wpadła na zamiatacza, który sprzątał łajno i śmieci z ulicy. Beatrice pośpieszyła za nią. Jest niższa od Claude, która odziedziczyła wzrost po ojcu. Przy innej okazji widok Beatrice goniącej swoją panią niczym mały piesek pewnie wydałby mi się zabawny. Ale dzisiaj nie było mi do śmiechu.

Zrezygnowałam z prób nadażenia za córką i szłam wolniej z moimi dworkami. Wkrótce wysforowały się bardzo do przodu i lokaj, który nam towarzyszył na rue des Cordeliers, miał z nimi spory kłopot. Biegał to do przodu, to do tyłu między naszymi grupkami, ale nie ośmielił się poprosić Claude, by zwolniła, ani mnie, bym szła szybciej. Zamienił parę słów z Beatrice, ale bez skutku — kiedy dotarliśmy do Porte St Germain, Claude i Beatrice zniknęły nam z oczu.

— Daj im spokój — powiedziałam lokajowi, kiedy do nas przyszedł.
— I tak są blisko domu.

Dworki zaczęły cmokać. Rzeczywiście wydawało się to dziwne. Przez rok bacznie strzegłam Claude, a teraz pozwalałam jej odejść, i to w chwili, kiedy mężczyzna, przed którym ją strzegłam, pojawił się w odwiedzionym przez nas domu. Jak Claude udało się zorganizować coś takiego tuż pod moim nosem? Nie mogłam uwierzyć, że to się stało, chociaż rozpoznałam Nicolasa des Innocents, kiedy tylko zobaczyłam go roz-

ciągniętego na ziemi, z posiniaczoną i zakrwawioną twarzą. Zaszokował mnie ten widok i musiałam bardzo uważać, żeby tego nie okazać. Claude też ani drgnęła, jakby chciała ukryć to, co czuje. Stałyśmy więc obok siebie niczym kamienne posągi i patrzyłyśmy na niego. Tylko Beatrice kręciła się wokół niczym pszczoła przy kwiatkach. Z ulgą wysłałam ją do Nicolasa.

Zmęczyło mnie ciągłe myślenie o Claude. Przejmowanie się tym, co może się z nią stać, podczas gdy ona sama zupełnie o to nie dbała. Przez moment kusiło mnie, żeby pchnąć ją w ramiona malarza i zatrzaskać za nimi drzwi. Oczywiście nie mogłam tego zrobić, ale pozwoliłam jej odejść wraz z Beatrice, trochę licząc na to, że zrobi to za mnie.

Kiedy wróciłyśmy, zarządca powiedział mi, że Claude poszła do swego pokoju. Ruszyłam do swojej komnaty i posłałam po Beatrice, odprawivszy jedną z moich dworek, by ją zastąpiła przy boku Claude.

Kiedy Beatrice przyszła, padła na kolana przy moim krześle i zaczęła mówić, zanim ja sama zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

— Ona twierdzi, że nie wiedziała, że Nicolas będzie przy rue des Cordeliers, *Madame*. Zdziwiła się tak jak my, widząc go tam, i to jeszcze w takim stanie. Przysięga na Matkę Boską że się z nim nie kontaktowała.

— A ty jej wierzysz?

— Nie mogła tego zrobić, inaczej bym wiedziała. Cały czas z nią byłam.

— W nocy też? Przecież musisz spać.

— Nigdy nie zasypiam przed nią. Szczypię się, żeby nie zasnąć. — Jej oczy były tak wielkie jak nigdy. — A kiedy zasypia, przywiązuję jej do nogi jedwabną wstążkę, żeby wiedzieć, kiedy wstaje.

— Claude wie, jak ją rozwiązać. — Bawił mnie jej niepokój. Wyraźnie obawiała się, że straci pracę.

— *Madame*, przysięgam, że nie widziała się z Nicolasem. — Beatrice sięgnęła do rękawa, z którego wyjęła kawałek papieru. Był cały zakrwawiony, podobnie jak jej rękaw i stanik. —

Może to nam powie, jak doszło do tego spotkania. Prosił, żebym przekazała to Claude.

Wzięłam ostrożnie kartkę i ją rozwinęłam. Krew już zaschła.

Mon Amour!

Przyjdź do mnie — do mieszkania nad Le Coq d'Or przy rue St Denis. W nocy, najszybciej jak możesz. *Ca c'est mon seul desir.*

Nicolas

Krzyk sam wyrwał mi się z gardła. Beatrice upadła na plecy i zaczęła się cofać, jakbym była szarżującym dzikiem. Wszystkie dworki zerwały się na równe nogi.

Nie mogłam się powstrzymać. Nie mogłam znieść tego, że jakiś pijak w gospodzie napisał koślawymi literami moje własne słowa. Od razu wiedziałam, że Nicolas powtórzył to, co sama powiedziałam.

Claude za to zapłaci. Skoro ja nie mogłam mieć *mon seul desir*, ona też nie będzie go miała.

— Idź wyczyścić suknię — powiedziałam do Beatrice, zgniatając kartkę. — Jest brudna.

Patrzyła na mnie przez chwilę, potem obciągnęła suknię drżącymi rękami i wstała.

Kiedy wyszła, powiedziałam do dworek:

— Zmieńcie mi suknię i uczeszcie mnie. Chcę się zobaczyć z moim panem.

Nic nie powiedziałam Jeanowi na temat kłopotów, jakie miałam z naszą niesforną córką w zeszłym roku. Wiedziałam, że obróci te słowa przeciwko mnie i zacznie obwiniać o to, że się nią niewłaściwie zajmuję. Nie jest zbyt blisko z Claude czy innymi córkami — chociaż łagodnieje przy Jeanne — ale to przecież jego dziedziczka, niezależnie od tego, czy mu się to podoba czy nie. W związku z tym należy od niej pewnych rzeczy oczekiwać, a ja muszę ją do tego przygotować. Gdyby Jean dowiedział się, że

Claude chce stracić cnotę z paryskim artystą, pobiłby mnie, a nie ją— za to, że nie nauczyłam jej posłuszeństwa.

Teraz musiałam przerwać ciszę. Jednak by zrealizować swoje plany względem Claude, potrzebowałam jego zgody — tej zgody, przed którą *Pere Hugo* ostrzegał mnie w zeszłym roku.

Jean był w swojej komnacie z zarządcą — zajmowali się właśnie domowymi wydatkami. W zasadzie to moje zadanie, ale Jean woli mieć nad tym kontrolę — jak nad wszystkim. Zrobiłam głęboki dyg przed stołem, przy którym siedzieli.

— Chciałam z tobą porozmawiać, *Monseigneur*. W cztery oczy.

Zarówno Jean, jak i zarządcą unieśli głowy i zmarszczyli brwi, jakby byli marionetkami poruszonymi przez tego samego aktora. Wbiłam wzrok w futrzany kołnierz Jeana.

— Czy to nie może poczekać? Zarządcy nie było w domu, dopiero przed chwilą usiedliśmy do rachunków.

— Przykro mi, *Monseigneur*, ale to pilne. Po chwili Jean zwrócił się do zarządcy:

— Poczekać na zewnątrz.

Zarządcą skinął sztywno głową, jakby źle spał. Wyprostowałam się, kiedy wstał. Skłonił mi się lekko i wyszedł.

— O co chodzi, Genevieve? Jestem bardzo zajęty. Musiałam być ostrożna.

— Chodzi o Claude. Zgodnie z zasadami, ma się zaręczyć w przyszłym roku, a ty zdecydujesz — lub może już to zrobiłeś — kto będzie jej panem i mężem. Zaczęłam ją do tego przygotowywać — uczyć, jak ma się trzymać i dbać o stroje, jak zajmować się służbą i sprawami domu, przyjmować gości i tańczyć. Świetnie sobie ze wszystkim radzi.

Jean milczał, bębniąc palcami po stole. Ta cisza powoduje, że używam zbyt wielu słów, próbując ją zapełnić. A potem patrzy na mnie, a ja czuję się tak, jakbym gadała niczym jakiś błazen na rynku.

Zaczęłam krążyć po pokoju.

— Jest jednak pewna sfera, gdzie potrzebuje lepszej opieki

i przewodnictwa. Nie poznała jeszcze dobrze Kościoła i wszystkiego, co się wiąże z Matką Boską i Jej Synem.

Jean machnął ręką. Znam dobrze ten gest zniecierpliwienia

— widziałam go, kiedy jacyś ludzie rozmawiali z nim o sprawach małej wagi. Obojętność Claude wobec Kościoła może pochodzić właśnie od niego — zawsze uważał, że nie ma On znaczenia dla jego duszy i przejmował się jedynie swoją władzą i Królem. Dla niego księza to ludzie, z którymi wchodzi w układy, a msza jest okazją do dworskich spotkań.

— Córka wielmoży powinna czuć się mocno związana z Kościołem — rzekłam z mocą. — Musi być czysta tak duchowo, jak i cieleśnie. Prawdziwy szlachcic będzie tego od niej wymagał.

Jean nachmurzył się, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy nie posunęłam się za daleko. Jean nie lubi, gdy mu się przypomina, że niektórzy nie uważają go za prawdziwego szlachcica. Pamiętam szok, jaki przeżyłam, gdy mój ojciec oznajmił mi, że wychodzę za Jeana Le Viste. Moja matka zamknęła się w swojej komnacie, by się wypłakać, ale ja starałam się nie okazywać uczuć wobec człowieka, którego rodzina kupiła sobie szlachectwo. Moje przyjaciółki były bardzo miłe, ale wiedziałam, że śmieją się ze mnie i użalają nade mną za moimi plecami — biedna Genevieve, pionek w rozgrywkach ojca z Dworem. Nigdy nie dowiedziałam się, co ojciec osiągnął, oddając mnie Jeanowi Le Viste. Jean na pewno wygrał — poparcie mojej rodziny zdecydowało o jego sukcesie. To ja przegrałam. W młodości byłam szczęśliwa — wcale nie różniłam się od Claude. Ale lata spędzone z tym zimnym człowiekiem wypędziły ze mnie wszelką radość.

— Do rzeczy — powiedział Jean.

— Claude jest niespokojna i czasami krnąbrna — rzekłam.

— Sądzę, że dobrze jej zrobi, jeśli czas przed ślubem spędzi w klasztorze.

— W klasztorze? Moja córka nie jest mniszka.

— Oczywiście. Ale pobyt w klasztorze pomoże jej docenić wartość mszy, modlitwy, spowiedzi i komunii. Teraz klepie pa-

cierze, a jej ksiądz mówił, że zmyśla w czasie spowiedzi. Nie jestem też pewna, czy zawsze przełyka komunikant — jedna z moich dworek mówiła, że widziała, jak go wypluła w krużganku po mszy.

Jean zrobił pełną potępienia minę, a ja uciekłam się do czegoś bliższego prawdy.

— Jest dzika, a to nie spodoba się żadnemu mężowi. Boję się, że sama na tym straci. Zakon pomoże jej się ustatkować. Zakonnice z Chelles niedaleko Paryża na pewno potrafią jej pomóc.

Jean zadrżał.

— Nie lubię zakonnice. Moja siostra wstąpiła do zakonu.

— Claude nie zostanie zakonnice. Będzie tam bezpieczna i wywietrzeją jej z głowy wszelkie psoty. Są tam wysokie mury.

Nie powinnam była tego mówić. Jean wyprostował się i strącił ze stołu jakiś papier.

— Czy Claude wychodzi sama?

— Nie, oczywiście, że nie — odparłam, sięgając po kartkę. Podniósł ją pierwszy. Aż strzyknęło mu w kolanach. — Ale wydaje mi się, że ma na to ochotę. Im szybciej wyjdzie za mąż, tym lepiej.

— Czemu nie dopilnujesz jej lepiej, zamiast zamykać z zakonniceami?

— Staram się jej pilnować. Ale różne rzeczy dzieją się w Paryżu. A w ten sposób uzupełnilibyśmy też jej religijną edukację.

Jean wziął pióro i zaznaczył coś na papierze.

— Ludzie pomyślą, że nie panujesz nad własną córką albo że coś z nią jest nie w porządku.

Chodziło mu o to, że może być w ciąży.

— Damy często spędzają czas w klasztorze przed ślubem. Była tam moja babka i matka. A Claude będzie mogła nas odwiedzać w czasie niektórych świąt — Wniebowstąpienia, Wszystkich Świętych, w czasie adwentu — żeby ludzie wiedzieli, że wszystko z nią w porządku. — Nie mogłam powstrzymać się od sarkazmu.

Jean spojrzał na mnie.

— Albo, jeśli wolisz, możemy przyspieszyć zaręczyny — dodałam szybko. — Jak tylko skończysz rozmowy z rodziną narzeczonego. Zrób to teraz, a nie następnej wiosny. Wesele nie będzie tak huczne, bo zostało mało czasu na przygotowania, ale to nie ma znaczenia.

— Nie. To by źle wyglądało, gdybyśmy przyspieszyli ten ślub. Poza tym gobeliny będą gotowe dopiero na przyszłoroczną Wielkanoc.

Znowu te gobeliny. Musiałam zagryźć wargi, żeby nie splunąć.

— Czy naprawdę potrzebujesz ich na zaręczyny? — spytałam, starając się, by zabrzmiało to zdawkowo. — Moglibyśmy je urządzić na świętego Michała, kiedy wracamy z d'Arcy, a gobeliny dać Claude w prezencie ślubnym, kiedy już będą gotowe.

— Nie. — Jean rzucił pióro i wstał. — Gobeliny nie są prezentem ślubnym. Gdyby tak było, znalazłby się na nich również herb pana młodego. Mają świadczyć o mojej pozycji na Dworze. Chciałbym, żeby mój zięć zobaczył na nich herb Le Viste'ów i zrozumiał, do jakiej rodziny wchodzi. I nigdy o tym nie zapomniał.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Wcześniej było słonecznie, ale właśnie zaczęło padać.

Milczałam. Jean spojrzał na moją kamienną twarz.

— Możemy przesunąć zaręczyny o miesiąc lub dwa — rzekł, by mnie udobruchać. — Czy w lutym nie ma dobrego dnia na zaręczyny?

— Tak, świętego Walentego.

— Świetnie. Wtedy je urządzimy. Leon Le Vieux mówił mi, że ten warsztat z Brukseli spóźnia się trochę z zamówieniem. Wyślę go, żeby popędził tkaczy i przesunął termin wykonania gobelinów. Nie mam pojęcia, dlaczego tak długo je robią. Przecież to tylko tkanie, nitka za nitką nawet kobiety potrafią to robić. — Odwrócił się od okna. — Przyślij Claude do mnie, zanim wyprawisz ją do klasztoru.

Znowu dygnęłam.

— Tak, panie. — Kiedy się wyprostowałam, spojrzałam mu prosto w oczy. — Dziękuję, Jean.

Skinął głową i chociaż się nie uśmiechnął, rysy mu złagodniały. To twardy człowiek, ale czasami gotów jest mnie usłuchać.

— Kto będzie jej mężem, *Monseigneur!* — spytałam. Potrząsnął głową.

— To moja sprawa. Nie powinnaś się tym przejmować. Lepiej zajmij się panną młodą.

— Ale...

— Skoro nie dałaś mi syna, muszę go sam wybrać. — Odwrócił się i chwila czułości została bezpowrotnie stracona. Chciał mnie w ten sposób ukarać za same córki. Mogłam płakać, ale brakowało mi już łez.

Kiedy wróciłam do swojej komnaty, znowu posłałam po Beatrice. Ubrała się w suknię z żółtego brokatu, która wydała mi się zbyt jaskrawa, ale przynajmniej nie miała na sobie śladów krwi.

— Spakuj rzeczy Claude — powiedziałam. — Tylko najprostsze suknie i żadnych klejnotów. Zaraz wyjeżdżamy.

— Dokąd, *Madame!* — spytała Beatrice słusznie strwożona. Dziewięć miesięcy w klasztorze dla niej też będzie karą. Wciąż jednak ją lubiłam.

— Nie przejmuj się — odpowiedziałam. — Zajmuj się dobrze Claude, a nie minie cię nagroda.

Posłałam po woźnicę, któremu kazałam przygotować mój powóz i wyekspediować posłańca z wiadomością o naszym przyjeździe. Następnie powiedziałam Claude, żeby poszła do ojca. Bardzo chciałam zakraść się i podsłuchać ich rozmowę, ale nie byłoby to godne postępowanie. Dlatego zajęłam się własnymi przygotowaniem — zmieniłam brokatową suknię, którą włożyłam na wizytę, na ciemną i prostą z wełny, którą nosiłam w Wielki Piątek, zdjęłam klejnoty z włosów i wysadzany nimi krzyż, który wymieniłam na drewniany.

Rozległo się pukanie do drzwi, a potem weszła Claude. Oczy miała czerwone i zaczęłam się zastanawiać, co też Jean jej powiedział. Prosiłam go, żeby nie mówił, dokąd jedziemy, więc nie płakała z tego powodu. Podeszła wprost do mnie i uklękła.

— Przepraszam, mamó. Zrobię wszystko, co każesz.

W jej głosie był strach i uległość, pod którymi wciąż czaił się bunt. Zamiast trzymać oczy z szacunkiem spuszczone, spoglądała na boki jak ptak, który nagle znalazł się w kocich pazurach i teraz szuka drogi ratunku.

Zakonnice będą miały z nią sporo problemów.

Wsiadłam razem z nimi do powozu. Obie się zdziwiły — myślały, że pojedziemy wierzchem, choćby do mojej matki, do Nanterre. Ruszyłyśmy jednak inną drogą— kiedy przejechałyśmy na drugi brzeg Sekwany przez Pont de Notre Dame, skierowałyśmy się na wschód i wyjechałyśmy z Paryża, mijając Bastylię. Claude odsunęła się ode mnie, a Beatrice siedziała wciśnięta między mnie a swoją panią. Prawie nie rozmawiałyśmy. Mój powóz nie jest przystosowany do długich podróży, ale raczej krótkich wycieczek po mieście. Często też skakał na wybojach, a raz nawet zaniepokoiłam się, czy nie odpadły mu koła. Nie mogłam spać, chociaż Claude i Beatrice zdrzemnęły się trochę, kiedy zrobiło się ciemno i nie było widać mijanych pól.

Kiedy dotarliśmy do murów miasta, prawie świtało. Wkrótce zacznie się lauda. Claude nigdy nie była w Chelles i nie zareagowała, kiedy zatrzymałyśmy się przy małej furtce w wysokim murze. Jednak Beatrice od razu rozpoznała to miejsce i zmarszczyła z przejęcia czoło, kiedy wysiadłam i pociągnęłam za sznur dzwonu znajdującego się przy furcie.

— *Madame...* — zaczęła, ale dałam jej ręką znak, żeby zamilkła.

Dopiero kiedy przed nami pojawiła się kobieta z białym materiałem okalającym jej twarz, którą dostrzegliśmy w świetle pochodni, Claude nagle zrozumiała.

— Nie! — krzyknęła, wciskając się w kąt powozu.

Nie zwróciłam na to uwagi, tylko zaczęłam rozmawiać przyciszonym głosem z zakonnica.

Potem usłyszałam jakiś hałas i krzyk Beatrice.

— *Madame*, ona uciekła!

— Sprowadźcie ją tutaj — rzekłam cicho do woźniców, któ-

rzy wycierali końskie grzbiety. Jeden z nich rzucił szmatę i po chwili zniknął w ciemnościach. Właśnie dlatego wybrałam powóz — gdybyśmy jechały konno, Claude mogłaby mi uciec. Woźnica wrócił po paru minutach, niosąc Claude na rękach. Była bezwładna jak worek kartofli i nie chciała stanąć, kiedy próbował ją koło mnie postawić.

— Wnieś ją do środka — powiedziałam.

Zakonnica trzymała wysoko pochodnię, a my niepewnie weszliśmy do środka.

Zakonnice zaraz zabrały Claude, a Beatrice ruszyła za nimi niczym zagubione kurczątko. Przeszłam do kaplicy na laudę i opadłam na kolana z lekkością której od dawna nie czułam. Następnie wypiliśmy z matką przełożoną kieliszek wina i zdrzemnęłam się trochę. Spałam lepiej na wąskim sienniku niż w wielkim łóżu przy rue du Four z dworkami gotowymi na każde me skinienie.

Przed wyjazdem nie widziałam się z Claude. Posłałam jednak po Beatrice — wyglądała na zmęczoną i pokonaną. Jej dygنیęciu brakowało zwykłej żwawości i była źle uczesana — moje dworki zwykle czeszą się nawzajem, a poza tym w Chelles nie ma luster. Ucieszyłam się, że zmieniła żółtą suknię z brokatu na coś bardziej stonowanego. Przeszłyśmy krużgankami aż do głównego ogródka, gdzie zakonnice zajmowały się sadzeniem i pielieniem, kopaniem i podwiązywaniem roślin. Nie znam się na ogrodnictwie, ale doceniam prostą przyjemność, jaką daje widok i zapach kwiatów. W ogródku wciąż znajdowało się parę ukwieconych żonkili i hiacyntów, a fiołki i barwinki zaczynały właśnie kwitnąć. Świeże gałązki lawendy, rozmarynu i tymianku wystawały tu i ówdzie z krzaczków, poza tym pojawiły się też kępki świeżej mięty. Stojąc w tym pełnym spokoju ogródku w porannym słońcu, z pracującymi niespiesznie zakonnkami, które czekały, aż dzwony zadzwonią na tercję, pozazdrościłam córce, że zostanie tu, gdzie ja nie mogę. Uważałam pobyt tu za karę, a także ochronę oraz okazję do nauki dla Claude. Jednak dla mnie również była to kara — moja córka miała to, czego sama nie mogłam mieć.

— Spójrz na ten ogródek, Beatrice — rzekłam, odpychając od siebie te myśli. — To prawdziwy Raj. Niebo na Ziemi.

Nie odpowiedziała.

— Gdzie byłaś w czasie laudy? Wiem, że to wczesnie, ale się przyzwyczaisz.

— Byłam przy panience.

— I jak się miewa?

Beatrice wzruszyła ramionami. Normalnie nie zachowuje się w ten sposób. Była na mnie zła, chociaż oczywiście nie mogła tego powiedzieć.

— Od przyjazdu nie powiedziała ani słowa. Nic też nie jadła — chociaż i tak nie było tego wiele.

To prawda, że kasza tu cienka, a chleb twardy.

— Przyzwyczai się i do tego — powiedziałam łagodnie. — Wiesz, że to najlepsze dla niej miejsce. Pobyt tu wyjdzie jej tylko na dobre.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz, *Madame*. Wyprostowałam się.

— Śmiesz wątpić w słuszność moich decyzji? Beatrice schyliła głowę.

— Nie, *Madame*.

— Będzie znacznie szczęśliwsza na Matki Boskiej Gromniczej.

Beatrice uniosła głowę.

— Gromniczej? Ale przecież Gromniczna już dawno minęła.

— Chodziło mi o następną Gromniczną.

— Mamy tu zostać aż tak długo? — Beatrice podniosła głos. Uśmiechnęłam się.

— Czas minie szybciej, niż sądzisz. A jeśli będziecie się dobrze sprawować — ale obie — dodałam, żeby dobrze mnie zrozumiała — to na koniec tego okresu wydam cię za męża, jeśli będziesz chciała.

Biedna Beatrice była zdezorientowana — miała smutne usta, ale oczy pełne nadziei.

— Wiesz, że będziecie tu miały świetną opiekę — pod-

jęłam. — Staraj się rozweselić Claude, słuchajcie matki przełożonej, a wszystko będzie dobrze.

Zostawiłam ją w ogrodzie z tymi słowami, zmuszając się do tego, by wsiąść do powozu i wrócić na rue du Four. Wyznaję, że trochę płakałam, patrząc na mijane pola, a potem znowu, gdy dotarłam do bram Paryża. Nie chciałam wracać do domu. Jednak musiałam.

Kazałam woźnicom stanąć przed domem i zapłaciłam sowicie, żeby nie rozpowiadali, gdzie byliśmy. Teraz tylko oni i Jean wiedzieli, gdzie jest Claude — nawet dworcom nie powiedziałam, dokądjedziemy. Nie chciałam, żeby Nicolas się dowiedział i zaczął nachodzić zakonnice. Bardzo uważałam, a mimo to wciąż dręczył mnie niepokój z nim związany. Najchętniej wysłałabym go gdzieś daleko. Nie ufam mu. Widziałam, jak patrzył na moją córkę, kiedy leżał zakrwawiony w ogrodzie — Jean nigdy tak na mnie nie patrzył. Aż skręcało mnie w środku z zazdrości.

Kiedy szłam przez podwórzec, wpadł mi do głowy pewien pomysł i pośpieszyłam do stajni.

— Znowu chcę wyjechać — oznajmiłam zaskoczonym woźnicom. — Zawieźcie mnie na rue des Rosiers.

Leon Le Vieux też się zdziwił — rzadko się zdarza, by odwiedzała go szlachcianka, i w dodatku sama. Mimo to był bardzo uprzejmy i wskazał mi wygodne miejsce przy ogniu. Widać, że się dorobił — ma piękny dom, pełen dywanów, rzeźbionych komód i srebrnych półmisków. Zauważyłam dwóch służących, chociaż to jego żona przyniosła nam słodkie wino i dygnęła przede mną z szacunkiem. Wygląda na zadowoloną a w jej wełnianej sukni dostrzegłam jedwabne nitki.

— Jak się miewasz, *Madame!* — spytał, gdy siedliśmy. — A Claude? A Jeanne i Mała Genevieve?

Leon pamięta o wszystkich moich córkach. Zawsze go lubiłam, chociaż boję się o jego duszę. Jego rodzina nawróciła się, ale mimo to Leon nie jest taki jak my. Rozejrzałam się, szukając potwierdzenia, ale dostrzegłam tylko krucyfiks na ścianie.

— Potrzebuję twojej pomocy, Leonie — powiedziałam, popijając wino. — Czy miałaś wieści od mojego męża?

— W sprawie gobelinów? Tak, dziś rano. Właśnie zastanawiałem się, kiedy mógłbym pojechać do Brukseli, gdy się pojawiłaś, pani.

— Chciałam cię o coś prosić. Być może sam na tym skorzystasz. Chodzi o to, żebyś wysłał do Brukseli Nicolasa des Innocents.

Leon zastygł z uniesionym kieliszkiem. Wiem, że jest dyskretny — mogę z nim rozmawiać bez obaw, że później pojawią się plotki. Opowiedziałam mu więc to wszystko, co ukryłam przed Jeanem — jak Nicolas i Claude spotkali się po raz pierwszy w komnacie Jeana i o tym wszystkim, co robiłam, żeby trzymać ich z daleka od siebie, i o spotkaniu przy rue des Cordeliers.

— Zabrałam ją do Chelles — zakończyłam. — Zostanie tam aż do zaręczyn. Nikt o tym nie wie poza mną tobą i Jeanem. Dlatego właśnie przesunęliśmy datę zaręczyn przed Wielki Post. Nie ufam jednak Nicolasowi. Chcę, żeby wyjechał na jakiś czas z Paryża, aż stanie się jasne, że jej nie znajdzie. Prowadzisz z nim interesy — powiedz mu, aby pojechał za ciebie do Brukseli.

Leon Le Vieux słuchał tego spokojnie. Kiedy skończyłam, potrząsnął głową.

— Nie powinienem był zostawiać ich razem — mruknął.

— Kogo?

— Nic takiego, *Madame. Alors*, zrobię to, o co prosisz. Mnie też to odpowiada, nie na rękę mi teraz wyjazd do Brukseli. — Chrząknął. — Dużo kłopotów z tymi gobelinami, *n'est-ce pas!*

Westchnęłam i spojrzałam na ogień.

— To prawda, więcej niż na to zasługują.

Claude le Viste

Na początku w ogóle nie opuszczałam mojej celi, nie jadłam też i nie rozmawiałam z nikim poza Beatrice — a z nią też nie za wiele, od kiedy zajrzałam do swoich sakwojaży. Spakowała moje najbrzydsze suknie — żadnych z jedwabiu, brokatu czy aksamitu. Brakowało też klejnotów, którymi mogłabym ozdabiać włosy lub szyję, żadnych stroików na głowę, a tylko proste szale, nic też, by malować usta, i jedynie drewniany grzebień. Kiedy oskarżyłam ją o to, że wiedziała, dokąd jedziemy, i tylko mnie nic nie powiedziała, gwałtownie zaprzeczyła. Nie wierzę jej jednak.

Łatwo było mi zrezygnować zjedzenia — to, co tutaj dostaje, nie nadaje się nawet dla świń. Jednak cela była tak mała i brzydka, że po jednym dniu już chciałam ją opuścić. Było tu miejsce jedynie na siennik i nocnik, a na kamiennych ścianach wisiał tylko drewniany krucyfiks. Beatrice nie mogła tutaj zmieścić swojego siennika — i musi spać za drzwiami. Nigdy wcześniej nie spałam na czymś wypchanym sianem. Siennik kłuje i szeleści, brakuje mi moich puchowych materacy. Tata bardzo by się rozgniewał, gdyby zobaczył, że jego córka śpi na sienniku.

Beatrice kupiła papier, pióro i inkaust. Chciałam nawet napisać do taty, żeby mnie stąd zabrał. Nic nie wspominał o klasztorze, kiedy rozmawiał ze mną w swojej komnacie — mówił tylko, że noszę jego nazwisko i że mam we wszystkim słuchać mamy. Pewnie miał rację, ale nie sądzę, by chodziło mu o to, żeby mnie

zamknięto w klasztorze, gdzie mam spać na sienniku i łamać sobie zęby na twardym jak kamień chlebie.

Nigdy nie miałam okazji porozmawiać swobodnie z tatą. Chciałam mu powiedzieć, że nie powinien ufać swemu zarządcy — że widziałam go, jak bił Nicolasa przy rue des Cordeliers. Ale oczywiście nie mogłam nawet wspomnieć o Nicolasiu, dlatego trzymałam buzię na kłódkę i tylko słuchałam, jak mówił o mężczyźnie, którego mam w przyszłości poślubić, i jakie to ważne dla honoru całego rodu, bym pozostała czysta i pobożna. Później płakałam z rozpaczy. Potem już nie, ale wciąż jestem zła na wszystkich — na tatę, mamę, Beatrice, jak również na Nicolasa za to, że za jego sprawą się tu znalazłam, nawet jeśli o niczym nie wie.

Ale czwartego ranka byłam już tak znudzona swoją celą że przerwałam milczenie i błagałam Beatrice, żeby znalazła mi posłańca. Wróciła później z informacją że matka przełożona nie pozwala mi ani wysyłać, ani przyjmować wiadomości. Więc jest to prawdziwe więzienie.

Odesłałam Beatrice, a następnie wyszłam z celi z wiadomością którą napisałam do ojca. Przywiązałam ją do kamienia, który próbowałam przerzucić przez mur, licząc na to, że znajdzie ją jakiś szlachcic, ulituje się nade mną i zawiezie ją do Paryża. Próbowałam parę razy, ale kartka odzepiała się od kamienia, a poza tym byłam zbyt słaba, żeby przerzucić kamień przez tak wysoki mur.

Zapłakałam wtedy gorzko. Mimo to nie wróciłam do środka. Na dworze było słonecznie, a poza tym między krużgankami znajdował się ogródek — znacznie przyjemniejszy niż moja cela. Usiadłam na jednej z kamiennych ławek ustawionych przy krużgankach, nie dbając o to, że słońce może spalić mi skórę. Zakonnice, które pracowały w ogródku, popatrywały ciekawie w moją stronę. Nie zwracałam na nie uwagi. Przed sobą miałam rabatkę pełną zakwitających róż — na najbliższym krzaczku już pojawiły się białe pączki. Spojrzałam na nie, a następnie wyciągnęłam rękę i wbiłam sobie kolec w kciuk. Pojawiła się na

nim kropelka krwi. Uniosłam dłoń i pozwoliłam jej spłynąć w dół.

A potem usłyszałam dźwięki, których nigdy bym się nie spodziewała w klasztorze. Gdzieś w jego wnętrzu zaśmiało się dziecko. Po chwili usłyszałam czyjeś szybkie kroczki i w najbliższej bramie pojawiła się malutka dziewczynka. Miała na sobie szarą sukienkę oraz biały czepek i przypominała mi Małą Genevieve, ze znacznie wcześniejszego okresu. Była jeszcze prawie niemowlakiem i z wielkim trudem walczyła z nierównymi stopniami, mogąc w każdej chwili spaść i rozbić sobie główkę. Miała zabawną twarzyczkę — pełną determinacji i powagi, jakby chodzenie było partią szachów, którą musi wygrać. Nie wiedziałam, czy będzie ładna, gdy dorośnie — miała twarz starej kobiety, co nie zawsze jest miłe u niemowląt. Pulchne policzki i brwi nisko położone nad brązowymi oczami, którym przydałaby się odrobina światła. Ale miała też śliczne włosy — ciemnorude jak kasztany i poskręcane w gęste loki.

— Chodź, *ma petite* — zawołałam, wycierając w suknię zakrwawioną dłoń. — Chodź, usiądź ze mną.

Za dzieckiem pojawiła się zakonnica w długim, białym habicie. Chodzą tu ubrane na biało. Przynajmniej nie noszą czarnych habitów — czerń nie pasuje do kobiecych twarzy.

— A, tu jesteś, psotnico — zaczęła ją łajać. — *Tiens*, chodź do mnie.

Równie dobrze mogłaby przemawiać do rozbrykanej kozy. Dziewczynka nie zwracała na nią uwagi. Wybiegła na zewnątrz, potknąwszy się o próg, i wypadła wprost na krużganek, z rączkami wyciągniętymi przed siebie.

— Och! — krzyknęłam, zrywając się z miejsca, by jej pomóc. Nie musiałam tego robić, gdyż dziecko podniosło się, jakby nic się nie stało, i zaczęło biec krużgankiem.

Zakonnica nie goniła jej, tylko zaczęła mi się przyglądać.

— Więc wreszcie wyszłaś — rzekła kwaśno.

— Nie będę tu długo — rzuciłam szybko. — Wkrótce wyjadę do domu.

Zakonnica nie zareagowała, tylko wciąż na mnie patrzyła. Wyglądała na bardzo zainteresowaną moją brzydką suknią. Ale w porównaniu z jej wykonanym ze zgrzebnej wełny i wiszącym niczym worek habitem, była ona wręcz ładna — zrobiona co prawda z brązowej, ale dobrej jakości wełny, a stanik miał biało-żółte lamowanie. Wgapiła się w nie, więc powiedziałam:

— Zrobiła to jedna z naszych czterech służących. Świetnie radzi sobie... radziła... z igłą.

Zakonnica spojrzała na mnie dziwnie, a potem zerknęła na dziewczynkę, która przebiegła już dwie trzecie wewnętrznego dziedzińca i skręcała właśnie w kolejny krużganek.

— *Attention, mon petit chou!* — zawołała. — Patrz, gdzie biegiesz.

Wyglądało to tak, jakby sprowokowała tymi słowami to, czemu chciała zapobiec. Dziewczynka znowu upadła, ale tym razem się nie podniosła i zaczęła płakać. Zakonnica ruszyła, by obiec wewnętrzny dziedziniec, ciągnąc za sobą habit. Kiedy dotarła do dziewczynki, stanęła nad nią i zaczęła łajać. Zrozumiałam, że nie potrafi obchodzić się z dziećmi. Podeszłam do nich i przyklękłam, a następnie wzięłam dziewczynkę na kolana, jak kiedyś często robiłam z Małą Genevieve.

— Już dobrze — powiedziałam, gładząc jej ramiona i nóżki i strzepując kurz z sukienki. — Zaraz przestanie boleć. Co boli? Rączki? Nóżki?

Dziewczynka wciąż płakała, więc przytuliłam ją mocniej do siebie i zaczęłam kołysać, aż się uspokoiła. Zakonnica wciąż ją łajała, chociaż dziecko prawie jej nie rozumiało.

— To naprawdę bardzo głupie biegać tak szybko bez potrzeby. Nic by się nie stało, gdybyś mnie słuchała. Odpokutujesz za to na kolanach w czasie seksty.

Aż prychnęłam na myśl o tym, że takie dziecko ma się modlić o przebaczenie. Przecież nawet nie umie powiedzieć: „Mamo”, a co dopiero: „Ojciec nasz, któryś jest w niebie...” Mała Genevieve nie chodziła na msze aż do ukończenia trzech lat, a nawet wtedy była hałaśliwa i nie potrafiła chwili usiedzieć w miejscu.

Dziewczynka mogła mieć najwyżej rok. Na moich kolanach wyglądała jak maleńka lalka.

— Czy żałujesz, Claude? Żałujesz teraz? Spojrzałam gniewnie na zakonnice.

— Masz do mnie mówić *Mademoiselle*. A poza tym nie mam czego żałować — nie zrobiłam nic złego, niezależnie od tego, co powiedziała moja mama! Obrażasz mnie, mówiąc mi po imieniu. Poskarżę się matce przełożonej.

Dziecko znowu zaczęło płakać, słysząc gniew w moim głosie.

— Cii, cii — szepnęłam, odwracając się tyłem do zakonnicy. Zaczęłam śpiewać piosenkę, której nauczyła mnie Marie-Celeste:

*Taka wesola,
słodka i miła
młoda panienka,
co lat piętnastu nie ma.*

*Moje piersiątko
już rozkwitają wolno.*

*Czekam na miłość,
by poznać jej arkana.*

*Ale więzienie
dokoła mam i wołam:*

*Niech Bóg pokarze
tego, kto mnie tu zamknął!*

Zakonnica próbowała coś powiedzieć, ale ja zaśpiewałam głośniej, kołysząc się do przodu i do tyłu:

*To było złe, występne, grzeszne,
gdy do klasztoru posłali
to dziewczę.*

*To było złe i grzeszne,
gdy je posłali.*

Bo tu w klasztorze

*dni mizerne pędzę,
a przeciwnie taka młoda.
I czuję pierwsze ukłucia Amora.
Niechaj przeklęty będzie ten,
kto mnie tu posłał!*

Dziewczynka przestała płakać, a między kolejnymi pociągnięciami noskiem wydawała takie dźwięki, jakby też próbowała śpiewać, ale nie знаła słów. Zrobiło mi się przyjemnie, że mogę ją kołysać i drażnić się piosenką z zakonnica. Słowa były jakby dla mnie napisane.

Usłyszałam kroki z tyłu i wiedziałam, że to Beatrice — moja strażniczka. Jest taka jak te wszystkie zakonnice.

— Nie śpiewaj tego — syknęła. Zignorowałam ją.

— Chcesz znowu pobiegać? — spytałam dziewczynkę. — Pobiegniemy razem? Chodź, spróbujemy okrążyć dziedziniec tak szybko, jak się da.

Postawiłam ją na nóżki, wzięłam za rączkę i zaczęłam ciągnąć, tak że trochę biegła, a trochę wisiała na mojej ręce. Jej piski i moje okrzyki obieżyły wszystkie krużganki. Klasztor nie słyszał tyle hałasu, od kiedy zakonnicom uciekła świnia albo któraś z nich stała się celem ataku mrówek przy pieleniu. W drzwiach i oknach pojawiły się zaciekawione kobiece twarze. Nawet matka przełożona Catherine de Lignieres stanęła ze skrzyżowanymi na piersi rękami, żeby na nas popatrzeć. Chwyciłam dziewczynkę w ramiona i przebiegłam z krzykiem raz, dwa, pięć wzdłuż krużganków, a nikt nas nie zatrzymał. Za każdym razem, kiedy mijałyśmy Beatrice, wydawała się jeszcze bardziej zawstydzona.

W końcu zatrzymał nas dzwon. Kiedy rozległo się jego bicie, zakonnice natychmiast zniknęły.

— Seksta — oznajmiła stojąca przy Beatrice zakonnica, kiedy przebiegałam obok, a następnie sama ruszyła do środka.

Beatrice spojrzała za nią, a potem za mną. Biegłam jeszcze szybciej, a dziewczynka aż trzęsła mi się w rękach. Kiedy

obiegłam krużganki po raz szósty, Beatrice też zniknęła i zostałyśmy same. Przebiegłam jeszcze parę kroków i się zatrzymałam, bo dalsze bieganie nie miało już sensu. Opadłam na ławkę i posadziłam dziewczynkę obok. Natychmiast skłoniła główkę na mój podołek. Spojrzałam na jej ogorzałą i rumianą twarzyczkę — dziecko zasnęło. To zabawne, jak szybko potrafią zasnąć takie maluchy, kiedy są zmęczone.

— To dlatego płakałaś, *cherie* — szepnęłam, gładząc jej loki. — Potrzeba ci snu, a nie modlitw. Te głupie zakonnice nie mają pojęcia, czego potrzeba takim dzieciom.

Początkowo z przyjemnością siedziałam sama w słońcu, trzymając główkę małej na podołku i patrząc na ogród. Wkrótce jednak rozboleły mnie plecy, bo musiałam trzymać się prosto, nie mając żadnego oparcia. Zrobiło mi się gorąco i zaczęłam się też niepokoić, czy nie porobią mi się piegi, gdyż nie miałam kapelusza. Nie chciałam wyglądać jak jakaś pospolita kobieta, która pracuje w polu. Zaczęłam się rozglądać za kimś, kto mógłby wziąć ode mnie dziecko, ale wszystkie zakonnice wciąż były na modlitwie. W modleniu się nie ma niczego złego, tylko zastanawiam się, po co to robić osiem razy dziennie.

Nie miałam pojęcia, co począć z tym maleństwem — wzięłam je więc na ręce i zaniiosłam do swojej celi. Dziewczynka nie obudziła się, kiedy położyłam ją na moim sienniku. Z sakwojaża wyjęłam robótkę, a następnie wróciłam na dziedziniec i usiadłam na ocienionej ławce. Nie lubię haftowania, ale nie miałam nic lepszego do roboty. Nie mogę tu jeździć konno, tańczyć czy śpiewać, nie mogę grać w trik-traka z Jeanne, mieć lekcji kaligrafii, nie mogę puszczać razem z mamą sokołów na polach za Saint-Ger-main-des-Pres czy odwiedzać babci w Nanterre. Nie ma tu żadnych targów czy jarmarków, na które można by chodzić, żadnych błaznów czy *jongleurs*, których można by oglądać. Nie ma uczt — więc brak też jadła, które by mi odpowiadało. Do wyjazdu stąd zostanie ze mnie tylko skóra i kości — niezależnie od tego, kiedy to nastąpi. Beatrice nie chce mi powiedzieć, jak długo tu będziemy.

Nie ma tu też żadnych mężczyzn, którym można by się przyjrzeć — nawet starych i przygarbionych ogrodników z taczkami. Ani też podejrzanych zarządców. Nigdy nie przypuszczałam, że zabraknie mi widoku obrzydliwego zarządcy ojca, ale gdyby teraz wkroczył w klasztorne mury, przywitałabym go ze szczerym uśmiechem i podała dłoń do pocałowania, nawet jeśli pobił Nicolasa.

Mam teraz dookoła same kobiety, w dodatku brzydkie, z twarzami wyłaniającymi się spod owalnych ram białego materiału, którym nie dodają uroku ani włosy, ani klejnoty. Wszystkie są toporne i czerwone, ich policzki, brody i nosy są jak pasternak, a oczy niczym czarne porzeczeki. Ale przecież zakonnice nie powinny być ładne.

Beatrice mówiła mi kiedyś, że mama od dawna chce wstąpić do Chelles. Nie zastanawiałam się nad tym, zanim mnie tu przywieziono. Trudno mi sobie wyobrazić delikatną twarz mamy zeszpeconą habitem lub też ją samą pochyloną nad porami czy kapustą albo spieszącą na modlitwy osiem razy dziennie lub śpiącą na sienniku w zwykłej celi. Mamie wydaje się, że życie w zakonie wygląda tak jak w czasie jej wizyt, kiedy to matka przełożona ją rozpieszcza, każąc przygotować wyszukane potrawy z tego, co zakonnice zwykle sprzedają na targu. Przypuszczam też, że ma tu do dyspozycji wygodną komnatę z poduszkami, gobelinami i pozłacanymi krzyżami. Gdyby mama wstąpiła do zakonu i stała się oblubienicą Chrystusa, matka przełożona mogłaby liczyć na wielki posag. Dlatego jest tak uprzejma dla mamy i innych bogatych kobiet, które tu przyjeżdżają.

W mojej celi nie ma żadnych poduszek czy gobelinów. Muszą mi wystarczyć drewniane krzyże, prosta wełna i buty, jedzenie bez przypraw i czarny chleb z razowej mąki.

Zrozumiałam to sama po czterech dniach pobytu w klasztorze.

Skrzywiłam się, patrząc na swój haft. Miałam zrobić sokoła na pokrycie poduszki, ale wyglądał on bardziej na uskrzydłonego węża. W dodatku użyłam złych nici — czerwonych tam,

gdzie powinny być brązowe. Poza tym wszystkie nici mi się splątały. I właśnie wtedy usłyszałam kroki i ktoś westchnął: „Och!” Uniosłam oczy. Po drugiej stronie dziedzińca stała bardzo zmieszana Marie-Celeste.

— A, Marie-Celeste, cieszę się, że tu jesteś — zawołałam. — Pomożesz mi rozplątać nici.

Poczułam się prawie tak, jakbyśmy byli w domu przy rue du Four, haftując na naszym podwórku, z Jeanne i Małą Genevieve bawiącymi się obok.

Było jednak inaczej. Wyprostowałam się na ławce.

— Co tutaj robisz?

Marie-Celeste dygnęła, a potem zaczęła płakać.

— Podejdź tu.

Była tak przyzwyczajona do tego, że jej rozkazuję, że nawet teraz zawahała się jedynie przy wyborze drogi. Podeszła do mnie i ponownie dygnęła, wycierając rękawem oczy.

— Przyjechałaś, żeby mnie stąd wydostać? Marie-Celeste wyglądała na jeszcze bardziej zmieszaną.

— Nie wiedziałam, że tu jesteś, *Mademoiselle*. Przyjechałam zobaczyć moją córkę.

— Czy to nie mój ojciec cię przysłał? Albo mama? Marie-Celeste potrząsnęła głową.

— Nie pracuję już przy rue du Four. Wiesz o tym, *Mademoiselle*, i wiesz też dlaczego. — Ściągnęła brwi w dziwnie znajomy sposób, jakby nagle poczuła w ustach smak ciasta z migdałami, które jadła wcześniej.

— Więc po co tu przyjechałaś? — Nie mogłam pogodzić się z tym, że Marie-Celeste jednak mnie nie uratuje.

Służąca rozejrzała się dookoła.

— Moja córka... Powiedziały mi, że jest gdzieś tutaj. Wiem, że nie powinnam przyjeżdżać, a ona nawet nie wie, że jestem jej matką ale... nie mogę się powstrzymać.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem.

— Ta dziewczynka to twoja córka?

Marie-Celeste wyglądała na równie zaskoczona.

— Nie wiedziałaś, panienko? Nikt ci nic nie powiedział? Ma na imię Claude, tak jak ty.

— Nic mi tutaj nie mówią. *Alors*, śpi tu, niedaleko. — Wskazałam przejście prowadzące do mojej celi. — Czwarte drzwi od tej strony.

Marie-Celeste skinęła głową.

— Tylko na nią spojrzę, *Mademoiselle*. Przepraszam na chwilę. — Ruszyła krużgankiem.

Kiedy na nią czekałam, przypomniało mi się, jak Marie-Celeste mówiła mi o tym, że nada dziecku moje imię. Coś mi nagle zaświtało — przecież miałam powiedzieć mamie, że Marie-Celeste wyjechała, żeby opiekować się matką i że wkrótce wróci. Zupełnie o tym zapomniałam. Mama była dla mnie tak niemiła, że od tego dnia starałam się z nią jak najmniej rozmawiać. To dlatego Marie-Celeste już u nas nie pracuje. Zwykle nie wiem, co to poczucie winy, ale teraz mnie ono przygniotło.

Kiedy wróciła, posunęłam się trochę.

— Chodź, usiądź sobie — powiedziałam, głaszcząc miejsce obok.

Marie-Celeste spojrzała na mnie niepewnie.

— Powinam wracać, panienko. Moja matka nie wie, że tu zajrzałam, i pewnie już na mnie czeka.

— Tylko na chwilę. Możesz mi pomóc z nićmi. *Regarde*, sama to chyba robiłaś. — Wyglądziłam stanik.

Marie-Celeste usiadła niechętnie. Musi być na mnie zła. Powinam jej wynagrodzić stratę, jeśli chcę, by mi pomogła.

— Skąd znasz ten klasztor? — spytałam, jakbyśmy były przyjaciółkami. Tak jak kiedyś.

— Przychodziłam tu od dziecka. Mieszkałyśmy w okolicy, a moja mama pracowała w klasztorze. Nie była oczywiście zakonnica ale pomagała w polu i w kuchni. Te zakonnice tyle się modlą że potrzebują pomocy.

Teraz zrozumiałam.

— I moja mama tu cię znalazła.

Marie-Celeste skinęła głowę.

— Szukała kogoś do posługi i poprosiła zakonnice o pomoc. Mama panienki przyjeżdża tu trzy, cztery razy w roku. Chciała nawet wstąpić do zakonu, ale oczywiście nie mogła.

— I dałaś dziecku moje imię.

— Tak. — Marie-Celeste wyglądała tak, jakby tego żałowała. Wcale mnie to nie dziwiło.

— Czy jej ojciec ją widział?

— Nie! — Marie-Celeste potrząsnęła głową jakby chciała odgonić natrętą muchę. — Nie obchodzę go ani ja, ani dziecko. Miał mnie raz i później się o mnie nie troszczył. A potem, po dwóch latach, był na tyle bezczelny, że znów do mnie przyszedł. Znowu tego chciał i nie obchodziło go, czy nie będzie z tego nowego dziecka. Ale mu pokazałam. — Zacisnęła dłoń w pięść. — Dostał to, na co zasłużył. I gdyby panienka nie wystawiła wtedy głowy... — Urwała nagle, a w jej oczach pojawił się strach.

Moja siostra Jeanne ma taką zabawkę, którą bardzo lubi — jest to rozszerzająca się drewniana miseczka na kijku z przywiązaną do niej kulką. Całymi dniami podrzuca kulkę, próbując złapać ją do miseczki. Poczułam się tak, jakbym ja też to robiła od dłuższego czasu, i nagle łup, kulka znalazła się w miseczce.

Być może zakon już zaczął działać na mnie uspokajająco. Gdybym była gdzie indziej, na pewno zaczęłabym krzyczeć. Teraz jednak nie krzyknęłam w tym spokojnym ogrodzie, ani nawet nie wydrapałam oczu Marie-Celeste. Nie płakałam też. Chciałam wypłakać się później. Po prostu rzekłam bardzo cicho:

— Nicolas des Innocents jest ojcem Małej Claude? Marie-Celeste skinęła głową.

— To zdarzyło się tylko raz, kiedy przyszedł do twego ojca, *Mademoiselle*, w sprawie jakiegoś obrazu. To wszystko.

— Więc dlaczego byłaś z nim wtedy w ogrodzie? I w dodatku kazałaś go obić. Tak to przynajmniej wyglądało.

Marie-Celeste spojrzała na mnie ze strachem i znowu zaczęła płakać. Zazgrzytałam zębami.

— Przestań. Przestań płakać!

Urwała i przełknęła łzy, a potem wytarła oczy i nos rękawem. Marie-Celeste jest naprawdę głupia. Gdybyśmy były w Paryżu, natychmiast zakuliby ją w dyby — albo i gorzej — za coś takiego. Niestety, nie mogłam wydostać się z klasztoru — w żaden sposób nie zdołam doprowadzić do tego, by ją ukarano.

Jej też musiało to przyjść do głowy, bo kiedy przestała płakać, spojrzała na mnie z boku.

— Nie powiedziałaś mi jeszcze, co tutaj robisz, *Mademoiselle!*

Oczywiście nie mogłam nawet wspomnieć o Nicolasie. Marie-Celeste nie ma pojęcia, co do niego czuję i co dla niego zrobiłam — lub próbowałam zrobić. Zresztą sama zrobiła to samo. Nienawidziłam jej teraz, ale nie mogłam tego okazać. Musi to wyglądać tak, że sama chciałam trafić do zakonu. Wzięłam do ręki robótkę, żeby mieć na co patrzeć.

— Mama i tata zdecydowali, że będzie najlepiej, jeśli ostatnie miesiące przed zaręczynami spędzę właśnie tutaj. Mam lepiej poznać przykazania Kościoła. Kiedy kobieta wychodzi za mąż, jej ciało nie jest już tak czyste. Dlatego powinna zachować czystość duszy, by nie dać się zwieść żądzy i nie zapomnieć o naszym Zbawcy i Jego Matce.

Mówiłam jak mama, tylko mniej przekonująco. Zauważyłam, że nie udało mi się przekonać Marie-Celeste, która tylko przewróciła oczami. Ale cóż, byłam pewna, że już dawno straciła dziewictwo, a jej rodzina nie przywiązywała do tego tak wielkiej wagi jak moja.

— On o ciebie pytał, *Mademoiselle* — odezwała się nagle Marie-Celeste.

— Kto? — Serce zabiło mi szybciej. Wbiłam igłę w robótkę. Marie-Celeste aż zmarszczyła brwi, widząc, co zrobiłam z nitkami. Wyciągnęła rękę, a ja oddałam jej wszystko.

— Ten bękart malarz — odparła, ciągnąc za nitki, by je roz-plątać. — Chciał wiedzieć, jak wyglądasz i kiedy odwiedzasz Belleville'ów.

Więc tak naprawdę Nicolas przyszedł na rue des Cordeliers, żeby zobaczyć się ze mną. Wiedziałam, że nie chodziło mu o Marie-Celeste. Spojrzałam na jej głowę pochyloną nad robótką — służąca zręcznie naprawiała moje błędy. Jak mogłabym przekazać mu coś przez nią tak żeby nie nabrała podejrzeń? To prawda, że jest głupia, ale potrafi domyślić się, kiedy kłamię.

Z mojej celi dobiegło do nas pokasywanie i piski. Marie-Celeste spojrzała na mnie z niepokojem.

— Idź do niej, *Mademoiselle* — poprosiła.

— Przecież jesteś jej matką!

— Nawet tego nie wie. Czasami przychodzę, żeby na nią popatrzeć, ale trzymam się od niej z daleka. I tak boli.

Znowu usłyszałyśmy kaszel i Marie-Celeste skrzywiła się, jakby ktoś nadepnął jej na palce. Na moment zrobiło mi się jej żal.

Podeszłam do drzwi swojej celi i zajrzałam do środka. Mała Claude przez sen kręciła głową. Zmarszczyła brwi i nagle zły sen minął, a na jej buzi pojawił się uśmiech. Teraz, kiedy wiedziałam już wszystko, zdziwiłam się, że nie dostrzegłam w niej Nicolasa — te same oczy ze zwężonymi kącikami, kasztanowe włosy, mocna szczęka. Była do niego podobna, kiedy się uśmiechała, a do matki, kiedy marszczyła brwi.

— Nic jej nie jest — powiedziałam po powrocie. — Mary nawiedziły ją we śnie, ale już odeszły.

Nie usiadłam, tylko zaczęłam grzebać trzewikiem w kamykach.

Marie-Celeste skinęła głową. Haftowała szybko i mój sokół zaczął już bardziej przypominać ptaka niż węża. Widok Małej Claude nasunął mi pewien pomysł.

— Czy Nicolas jakoś ci pomógł?

— Rzucił mi garść monet—prychnęła.—No, zawsze to coś. Nie obchodziło mnie, czy Nicolas zajął się, czy też nie, córką

— uważałam, że Marie-Celeste sama wpakowała się w kłopoty. Nie powiedziałam tego jednak.

— Powinien dać ci więcej — rzekłam, przechadzając się

koło ławki. — Wiesz przecież, że zaprojektował gobeliny dla mojego ojca. Dostanie za nie dużo pieniędzy i na pewno stanie się sławny. Powinien łożyć na utrzymanie swojego dziecka.

Pozwoliłam jej to przemyśleć, a sama skręcałam przy różach. Palec jeszcze mnie bolał przyjemnie po ukłuciu. Kiedy znalazłam się przy ławce, znowu powiedziałam:

— Może mogłabym ci pomóc... Zmusiłabym go, by zaczął płacić na Małą Claude. Mogłaby wówczas opuścić klasztor i zamieszkać z twoją matką.

— Ale jak? — spytała szybko Marie-Celeste. Strzepnęłam muchę z rękawa.

— Mogłabym powiedzieć, że ojciec nie zapłaci mu za gobeliny, jeśli się do tego nie zobowiąże.

— Naprawdę mogłabyś to zrobić, *Mademoiselle!*

— Napiszę list. Zaniesiesz go do Nicolasa.

— Ja? — stropiła się Marie-Celeste. — Może sama to zrobisz, panienko? Albo któraś z twoich dworek? — Rozejrzała się dookoła. — Pewnie któraś tu jest. Chyba Beatrice, bo twoja matka zawsze chciała ją tobie przeznaczyć. Pewnie zdziwiła się, że znowu musi tu zamieszkać.

— Znowu?

Marie-Celeste wzruszyła ramionami.

— *Bien sur.* Dorastała tutaj, tak jak ja.

Nie zastanawiałam się nad tym wcześniej, ale Beatrice doskonale orientowała się w klasztorным życiu — wiedziała, co gdzie jest i znała niektóre z zakonnic.

— Może zanieść twój list, *Mademoiselle* — dodała Marie-Celeste.

Zapomniałam, że nie wie, iż jestem tu uwięziona — uważała, że obie z Beatrice możemy stąd wychodzić, kiedy tylko chcemy. Nie powinna się niczego dowiedzieć. Inaczej może nie zechcieć pomóc mi skontaktować się z Nicolasem.

— Nie powinnam stąd wychodzić — odparłam. — Ani Beatrice. Na tym polega oczyszczenie duszy przed zaręczynami. Nie widuję się z ludźmi, a już zwłaszcza z mężczyznami.

— Ale ja też nie mogę do niego pójść, zwłaszcza po tym, co się stało. Może mnie pobić, albo co gorszego.

Właśnie na to zasługujesz, pomyślałam.

— Więc zostaw list w jego pokoju, kiedy wyjdzie — zaproponowałam. Patrzyła na mnie z powątpiewaniem, więc dodałam: — Czy chcesz, żebym powiedziała tacie, że to jego zarządca pobił podziwianego przez niego artystę?

Marie-Celeste zrozumiała, że znalazła się w pułapce. Spojrzała na mnie tak, jakby za chwilę miała się rozplakać.

— Daj mi ten list, *Mademoiselle* — wymamrotała.

— Zaczekaj tu.

Pobiegłam do swojej celi, zanim zdążyła zmienić zdanie. Przerzuciłam zawartość sakwojaza i w końcu znalazłam papier. Uklękłam na podłodze i napisałam notatkę, w której błagałam Nicolasa, by mnie stąd wyswobodził. Nie miałam wosku na pieczęć, ale było to bez znaczenia — Marie-Celeste nie umie czytać i wątpię, by знаła kogoś, kto to potrafi.

Nie byłam wystarczająco cicho. Kiedy kończyłam, Mała Claude usiadła na materacu, zaczęła płakać i przecierać oczka. Jej kasztanowe loki tańczyły wokół twarzy. Tak bardzo przypominała Marie-Celeste, że zachciało mi się śmiać.

— Chodź, *cherie* — szepnęłam, podnosząc ją. — Pójdziemy do twojej głupiej matki.

Kiedy wyszłyśmy, zakonnice właśnie wracały z seksty. Marie-Celeste stała z Beatrice. Razem wyglądały dziwnie — olbrzymka i lalka. Trudno mi było je sobie wyobrazić jako dziewczynki. Aż podskoczyły, kiedy do nich podeszłam, a Marie-Celeste odwróciła wzrok od Małej Claude.

— Weź ją na chwilę — powiedziałam, podając dziecko zaskoczonej Beatrice. — Odprowadzę Marie-Celeste do furty.

Beatrice spojrzała na mnie swymi psimi oczyma.

— Wiesz, że cię nie wypuszczą *Mademoiselle*.

Pokazałam jej język i wzięłam Marie-Celeste pod rękę. Kiedy już byłam pewna, że Beatrice nie może tego widzieć, wepchnęłam list w jej dłoń.

— Wiesz, gdzie mieszka? — spytałam. Marie-Celeste pokręciła głową.

— Zarządca będzie wiedział — przekazywał mu polecenia od ojca. Dowiedz się od niego. Każę go ukarać, jeśli ci nie powie.

Marie-Celeste skinęła głową i wyrwała dłoń z mojego uścisku. Wyglądała na zmartwioną. Z obrzydzeniem pomyślałam o tym, że mam z nią dzielić mężczyznę. Nie potrafiłam pojąć, jak Nicolas mógł jej pragnąć. Powinien zobaczyć ją teraz — z czerwonym nosem, małymi oczkami i nachmurzoną miną.

Przy furcie jedna z zakonnice podała Marie-Celeste koszyk z jajkami, chlebem i fasolą—jałmużnę. Wychodząc, nie popatrzyła ani na mnie, ani na córkę.

Kiedy wróciłam do Beatrice, która wciąż trzymała wiercącą się Małą Claude, powiedziałam:

— Dorastałaś tu z Marie-Celeste. Spłoszyła się, ale skinęła głową.

— Moja matka owdowiała i wstąpiła do klasztoru.

Mała Claude chwyciła luźny kosmyk jej włosów. Beatrice jęknęła, a ja zachichotałam z Małą Claude.

— Cieszysz się więc, że tu wróciłaś?

Ku memu zaskoczeniu spojrzała na mnie smutno.

— Byłam najszcześniejsza, kiedy twoja matka wybrała mnie na damę dworu. To straszne, że znowu muszę tu mieszkać.

Postawiłam Małą Claude, żeby mogła pobiegać po ogrodzie.

— Więc pomóż mi stąd uciec. Beatrice pokręciła głową.

— Lepiej, jeśli tu zostaniesz, *Mademoiselle*. Sama przecież wiesz najlepiej. Dlaczego chcesz zniszczyć swoje życie? Poślubisz wielmożę i będziesz żyć w przepychu. Czemu miałabyś pragnąć czegoś innego? Dla kobiety nie ma większej radości, niż wyjść za mąż, *n'est-cepas!* Dla każdej kobiety.

Wzięłam robótkę, którą Marie-Celeste zostawiła — wraz z igłą — złożoną na ławce. Wzięłam igłę i wbiłam ją w palec — tylko po to, żeby poczuć ból.

— Ojej — powiedziałam — popatrz, co narobiłam.

A potem, żeby jeszcze bardziej udęczyć Beatrice za to, że została moją strażniczką zaczęłam śpiewać piosenkę, która tak ją zaniepokoiła. Pewnie też ją śpiewała, gdy tu dorastała.

*Czekam na miłość,
by poznać jej arkana.
Ale więzienie
dokoła mam i wołam:
Niech Bóg pokarze
tego, kto mnie tu zamknął!*

IV

BRUKSELA

Pierwszy Maja 1491

Siedemdziesiątnica 1492

Georges de la Chapelle

Przed jego przyjazdem pracowaliśmy przez ładne parę godzin. W warsztacie panowała cisza. Przynajmniej przez ostatnią godzinę nikt się nie odzywał, nawet żeby poprosić o wełnę, szpulkę czy igłę. Nawet zmiana pedałów krosna odbywała się cicho, jakby je tłumilo samo płótno. Kobiety albo wyszły, albo siedziały cicho — Christine nawijała wełnianą nić na szpulkę, Alienor pracowała w ogrodzie, a Madeleine wyszła na targ.

Najlepiej mi się pracuje, kiedy wokół jest cicho. Mogę wtedy tkąć godzinami i nawet nie zauważyć upływu czasu, koncentrując się jedynie na kolorowych nitkach, które mam w palcach. Ale wystarczy jedna gadatliwa kobieta lub pracownik, by zburzyć spokój w całym warsztacie. Potrzeba nam ciszy, by móc dobrze pracować i skończyć gobeliny na czas. Nawet jeśli teraz jest spokojnie w pracowni, zdarza się, że myślę wyłącznie o czasie — ile go już minęło, a ile zostało, jak sobie poradzić i jak przyspieszyć pracę.

Siedziałem właśnie między Georges'em Le Jeune i Lukiem, kończąc klejnoty *Damy w A mon seul desir* i jednocześnie mając oko na syna, który zaczął szrafowanie na ramieniu Damy, gdzie żółć przechodziła w czerwień. Dobrze mu szło, naprawdę — wcale nie muszę go pilnować. Jest to przyzwyczajenie, od którego trudno mi się uwolnić.

Dwaj wynajęci tkacze, ojciec i syn o imionach Joseph i Thomas, pracowali nad *millefleurs* w *Smaku*. Zatrudniałem ich już

przy tym wcześniej — są dobrzy i szybcy. I cisi, chociaż Thomas nadużywa pedałów swego krosna. Czasami wydaje mi się, że robi to specjalnie, by spowodować hałas — jak to młodzi. Sam musiałem nauczyć Georges'a Le Jeune, jak cicho zmieniać pedały, i to wtedy, kiedy nauczył się robić wystarczająco szeroki przesmyk. To jasne, że nie mogłem pouczać innych tkaczy, ale za każdym razem, kiedy Thomas hałasuje, zgrzytam zębami.

Nie tak łatwo być *lissier*. Poza nadzorowaniem innych muszę tkąć najtrudniejsze fragmenty — twarze i dłonie, grzywę lwa, pysk i róg jednorożca oraz skomplikowane wzory na sukniach. Skaczę między dwoma gobelinami, starając się nadażyć za innymi, którzy *xob* \\ *millefleurs* lub zwierzęta i czekają bym wypełnił dziury w środku.

Powiedziałem tkaczom, że mają być przy krosnach wraz z wybiciem dzwonów Chappelle — a teraz, w maju, jeszcze wcześniej. Dziś rano zaczęliśmy o siódmej. Inne warsztaty mogą uznawać dzwony za sygnał do rozpoczęcia pracy, ale przepisy cechu nie zabraniają przyjść wcześniej, obejrzeć karton, nad którym się będzie pracowało, i przygotować szpulki. W ten sposób możemy zaczynać wraz z biciem dzwonów.

Nie martwię się o Georges'a Le Jeune czy Luca — wiedzą, że rano nie możemy mitrzyć czasu. Pozostali dwaj jak dotąd się nie sprzeciwiali, ale to nie ich warsztat ani zamówienie, i chociaż wiem, że dobrze pracują — ich *millefleurs* są tak świetne jak moje — czasami zastanawiam się, czy nie nadejdzie dzień, kiedy znajdą sobie mniej wymagającą pracę. Joseph nie narzekał, ale widziałem, jak Thomas siedział nieruchomo przy krosnach już po dzwonach i dopiero po jakimś czasie podnosił wolno dłonie, jakby miał do nich przymocowane kamienie. Cóż, potrzebuję, by pracował jeszcze przez dziesięć miesięcy — niezależnie od hałasu, który robi. Możliwe, że nie doszedł jeszcze do siebie po zimowej chorobie. Chociaż Alienor leczyła i jego, i Georges'a Le Jeune, gdy leżeli w gorączce, ich choroba trwała bardzo długo. Do tej pory nie nadrobiliśmy straconego czasu.

Módl się, powtarza Christine. Ale modły zajmują zbyt dużo czasu, więc mówię jej, żeby szła do Sablon i modliła się za nas wszystkich, byśmy mogli zostać przy naszych krosnach.

Nagle usłyszałem głosy w kuchni. Madeleine wróciła właśnie z targu i przyprowadziła jakiegoś mężczyznę. Nie podoba mi się to — zawsze kręcą się koło niej absztyfikanci. Jeszcze jąktó-ryś trąci nie tam, gdzie trzeba.

Po chwili w pracowni pojawiła się Alienor z dziwnym wyrazem twarzy.

— Co takiego? — spytała Christine, naruszając drogocenną ciszę warsztatu.

Alienor wsłuchiwała się przez chwilę w odgłosy dobiegające z głębi domu.

— On wrócił.

Georges Le Jeune podniósł głowę znad pracy.

— Kto?

Nie musiał pytać. Wiedziałem kto. I wiedziałem, że zaraz zniszczy nasz spokój — on nigdy nie potrafi siedzieć cicho.

Madeleine weszła do warsztatu z głupim uśmieszkiem na twarzy.

— Przyjechał ten z Paryża — oznajmiła.

Tuż za nią pojawił się Nicolas des Innocents, jeszcze powalany błotem z podróży, i uśmiechnął się do nas.

— Siedzicie tak, jak was tu zostawiłem zeszłego lata — zaczął szydzić. — Świat idzie do przodu, ale nie Bruksela.

Wstałem.

— Witaj — powiedziałem. — Christine, małe piwo dla naszego gościa.

Chociaż był intruzem, nie chciałem, by zaczęto mówić, że nie jestem gościnnie, zwłaszcza wobec osób, które odbyły tak długą podróż.

Georges Le Jeune zaczął wstawać, a potem Luc, ale potrząsnąłem głową patrząc w ich stronę. Nicolas nie powinien przerywać naszej pracy.

Christine przechodząc, skinęła mu głową.

— Więc wróciłeś, żeby jeszcze sobie popatrzeć. — Jej szeroki gest objął zarówno krosna, jak i wciąż stojącą w drzwiach Alienor.

— Tak, *Madame*. Miałem nadzieję, że zobaczę Alienor tańczącą wokół pierwszomajowego słupa, ale trochę się spóźniłem.

Christine zniknęła, nie mówiąc mu, że również na Pierwszego Maja pracowaliśmy — chociaż pozwoliłem Lucowi i Thomasowi skończyć wcześniej i pójść na festyn.

Kiedy Nicolas wszedł do warsztatu, skrzywił się tak, jakby nadepnął na gwóźdź.

— Coś się stało? — spytałem.

Nicolas wzruszył ramionami, ale trzymając łokieć przy boku.

— Jestem tylko trochę poobijany po podróży. — Obrócił się w stronę Alienor. — A ty, Alienor, jak się miewasz?

Kiedy się do niej uśmiechnął, zauważyłem, że z boku brakuje mu dwóch zębów, a pod oczami ma ślady sińców. Albo spadł z konia, albo wdał się w bójkę. Być może gdzieś po drodze natknął się na złodziei.

— Bardzo dobrze, *Monsieur*—odparła. — A ogród jeszcze lepiej. Chodź powąchać kwiaty.

— Za moment, piękna. Najpierw chciałbym spojrzeć na gobeliny.

Alienor uśmiechnęła się krzywo.

— Chcesz ją zobaczyć, prawda? Cóż, przyjechałeś za wcześnie.

Nie wiedziałem, o co jej chodzi, póki Nicolas nie spojrzał na skrawek *Smaku* na krosnach.

— Och! — westchnął zgnębiony. Widział tylko ramię Damy z trzymającą papugę dłonią, fałd wierzchniej sukni, początek małpki i koniec sroczego skrzydła. I oczywiście *mille-fleurs*. Tkacz miałby co podziwiać, ale widziałem, że dla kogoś takiego jak Nicolas jest to rozczarowujące. Spojrzał na *A mon seul desir* zapewne z nadzieją, że zobaczy twarz. Ale było tam tylko ramię drugiej Damy sięgającej po klejnoty,

suknia, małpka i niebieska poła namiotu ze wzorem złotych płomieni.

— Mogło być gorzej — dodała Alienor. — Moglibyśmy już skończyć jej twarz i nawinąć ją na wałek, tak że mógłbyś ją zobaczyć dopiero po skończeniu gobelinu.

— Chyba, żebyście go dla mnie odwinęli, *Mademoiselle*.

— Tata nigdy nie odwija gobelinów — odrzekła ostro Alienor. — To niszczy napięcie osnowy.

Tak powinna odpowiedzieć córka tkacza.

— Czy tylko po to odbyłeś tę podróż, żeby zobaczyć kawałek gobelinu? — spytałem. — Sporo zachodu dla jednej ładnej buzi.

Nicolas potrząsnął głową.

— Muszę z wami porozmawiać w imieniu Leona Le Vieux.

Zmarszczyłem brwi. Czegóż mógł od nas teraz chcieć? Wiedział, że nie mam czasu na inne zamówienia. I dlaczego przysłał artystę, a nie przyjechał sam? Tkacze patrzyli na mnie. Cokolwiek to było, wołałem, żeby pracowali, a nie słuchali.

— Chodź więc do ogrodu — powiedziałem. — Zobaczysz kwiaty Alienor i będziemy mogli porozmawiać.

Poszedłem pierwszy. Kiedy Nicolas ruszył za mną Alienor odsunęła się na bok, żeby nas przepuścić.

— Idź pomóc matce — rzuciłem, kiedy chciała pójść za nami. Teraz z kolei na jej twarzy pojawił się wyraz zgnębienia, ale zrobiła, jak jej kazałem.

W maju ogród Alienor wygląda najpiękniej. Kwiaty są świeże, a ich żywe kolory nie wyblakły jeszcze w słońcu. Kokoryczka wonna, barwinek, fiołki, orlik, stokrotki, goździki, niezapominajki — rozkwitły już wszystkie te kwiaty. Ale najwspanialsze były nietrwale kwiatki konwalii, które rozsiewały wszędzie swój dziwny, uwodzicielski zapach. Usiadłem na ławce, a Nicolas przechadzał się przez chwilę po ogrodzie, wachając i podziwiając.

— Już zapomniałem, jak piękny jest ten ogród — rzekł, podchodząc do mnie. — Jest jak balsam, zwłaszcza po tylu dniach podróży.

— Cóż więc cię tu sprowadza?

— Jak zwykle gwałtowny — zaśmiał się. Wzruszyłem ramionami. Zadrżały mi ręce — powinienem brać się do tkania.

— Jestem bardzo zajęty. Mamy jeszcze mnóstwo roboty. Nicolas wyciągnął dłoń i zerwał stokrotkę. Aliénor nie znosi, gdy ktoś to robi — nie po to męczy się, dbając o kwiaty, żeby pozwałać, by je niszczone. On natomiast zaczął obracać pączek między palcami.

— Właśnie dlatego tu jestem — rzekł w końcu. — Jeanowi Le Viste zależy na tym, by gobeliny były gotowe na czas.

Ten piekielny kupiec, który zaglądał do warsztatu w czasie Wielkiego Postu! Od razu wiedziałem, że jest szpiegiem Léona Le Vieux, chociaż udawał, że chce coś zamówić. Później już się nie odzywał.

Usłyszałem szelest z tyłu — to Aliénor przykucnęła w ziołach, z kuchennymi nożycami w dłoni. Starła się pozostać niezauważona, ale ślepiej zawsze trudno się ukryć.

— Co tutaj robisz, dziewczyno? — warknąłem. — Mówiłem ci przecież, żebyś pomogła matce.

— Właśnie to robię — zająknęła się. — Potrzebuje trybuły do zupy.

Matka wysłała ją by nas podsłuchiwała. Znam swoją żonę — nie lubi, kiedy się ją pomija. Nie odesłałem Aliénor — i tak wkrótce wszystkiego się dowiedzą.

— Nie powtarzaj tego, co tu usłyszysz — nakazałem jej. — Ani tkaczom, ani sąsiadom, ani nikomu innemu.

Skinęła głową i zaczęła zbierać zioła do fartucha.

— Nie ma się czym przejmować — rzekłem do Nicolasa. — W zimie mieliśmy małe opóźnienie z powodu chorób, ale powoli nadrabiamy stracony czas. Skończymy je na następną Wielkanoc, jak sobie życzył *Monseigneur Le Viste*.

Nicolas chrząknął i kucnął, by powąchać goździki i dotknąć ich płatków. Wiedziałem, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale się nie spieszy. Kiedy w ogrodzie pojawiła się Christine z kuflami piwa, odetchnął z ulgą.

— Och, dziękuję, *Madame* — niemal krzyknął i podskoczył w jej stronę.

Christine posyła zwykle Madeleine lub Aliénor z piwem, ale tym razem przyszła sama, z nadzieją że dowie się bezpośrednio od Nicolasa, po co przyjechał, a nie później ode mnie. Ulitowałem się nad nią.

— Usiądź — powiedziałem i posunąłem się na ławce.

Christine też może go wysłuchać. Z czymkolwiek przyjechał, nie było to nic dobrego. Patrzyliśmy na Nicolasa, siedząc na ławce, a Aliénor też czekała, tnąc trybułę.

Kiedy Nicolas przeszedł do rzeczy — po tym, jak napił się piwa i przyjrzał jeszcze kwiatom — rzekł po prostu:

— Jean Le Viste chce mieć gobeliny na Gromniczną. Aliénor zamarła.

— To niemożliwe! — wykrzyknęła Christine. — Pracujemy tyle, ile możemy, wykorzystując każdą daną nam od Boga chwilę.

— Może wynajmiecie więcej ludzi — zaproponował Nicolas. — Postawcie trzech tkaczy przy każdym krośnie.

— Nie — odparłem. — Nie możemy sobie pozwolić na zatrudnienie kolejnego tkacza. Jeśli to zrobimy, zaczniemy na tym tracić. Będę musiał płacić Jeanowi Le Viste za to, że mogą zrobić jego gobeliny.

— Jeśli skończycie wcześniej, wcześniej też zaczniecie nowe zamówienie. To oznacza dodatkowy zarobek.

Pokręciłem głową.

— Nie mam w tej chwili pieniędzy. Nie wynajmę tkacza, jeśli nie dam mu jakiejś zaliczki.

Nicolas zatrzepotał bez sensu rękami.

— Jean le Viste chce je mieć na Gromniczną. Wyśle żołnierzy, by je odebrali. Jeśli nie będą gotowe, zabierze je i nie zapłaci.

— Jakich żołnierzy? — prychnąłem.

— Królewskich — odparł cicho po przerwie Nicolas.

— Ale w umowie jest Wielkanoc — wtrąciła się Christine. — Nie można złamać umowy.

Tylko machnąłem ręką, słysząc jej słowa. Wielmoże mogą zrobić, co zechcą. Poza tym Leon wciąż mógł wykorzystać to, co wiedział o pończochach jednego z Trzech Króli. Gdybym musiał zapłacić grzywnę, z pewnością byłbym zrujnowany.

— Dlaczego Leon sam tu nie przyjechał? — spytałem z pretensją. — Wolałbym z nim rozmawiać.

Nicolas wzruszył ramionami.

— Był zbyt zajęty.

Alienor znowu znieruchomiała. Moja córka potrafi osądzić ludzi podobnie jak ja. Słyszcy kłamstwo w głosie tak, jak ja je widzę w rozbieganych oczach rozmówcy. Nicolas nie chciał nam czegoś powiedzieć. Nie pytałem go o to, chociaż przypuszczałem, że zdołam wyciągnąć z niego prawdę — może później, gdzieś, gdzie będzie się czuł swobodniej.

— Porozmawiamy o tym później w Le Vieux Chien — powiedziałem i obróciłem się do Christine. — Czy obiad gotowy?

Skoczyła na równe nogi.

— Zaraz będzie.

Zostawiłem go w ogrodzie, by mógł skończyć piwo, i wróciłem do warsztatu. Nie wziąłem się jednak do tkania, tylko stanąłem w drzwiach i patrzyłem na tkaczy. Pochylali się nad pracą, siedząc niemal bez ruchu, jak cztery ptaki na gałęzi. Co jakiś czas któryś naciskał pedały, by zmienić położenie nici, ale poza tym postukiwaniem drewna nic się tu nie działo.

Christine stanęła przy mnie.

— Wiesz, co musimy zrobić — rzekła, zniżając głos.

— Nie możemy — odparłem cicho. — Pomijając reguły cechu, to bardzo źle robi na oczy, a poza tym воск ze świec kapie na gobeliny. Trudno usunąć воск, który jest wyraźną wskazówką dla cechu.

— Nie o to mi chodziło. Nikt nie potrafi dobrze tkać w nocy, nawet ty.

— Chcesz, żebyśmy pracowali w niedzielę. Dziwię się, że to proponujesz. Chociaż pewnie mogłabyś przekupić księdza, bo chętnie cię słucha.

— Również nie to miałam na myśli. Niedziela to święty dzień, nie możemy wtedy pracować.

— Więc o co ci chodzi? Oczy Christine rozjaśniły się.

— Pozwól mi zrobić *millefleurs*, a Georges Le Fils może ci pomóc przy najtrudniejszych częściach.

Milczałem.

— Sam mówiłeś, że nie możemy sobie pozwolić na wynajęcie jeszcze jednego tkacza — ciągnęła. — Ale masz przecież mnie. Skorzystaj z tego i pozwól wykazać się synowi. — Spojrzała na mnie twardo. — Dobrze nauczyłeś go fachu. Najwyższy czas, by stał się samodzielny.

Starła się mnie przekonać, że właśnie o to jej chodzi. Ale dobrze wiedziałem, co kryło się za jej słowami — chciała tkąć.

— *Tiens*, jestem głodny — rzekłem tylko. — Czy obiad jeszcze nie gotowy?

Zaraz po dzwonach, które obwieściły koniec pracy, zabrałem Nicolasa do Le Vieux Chien. Nie lubię tak hałaśliwych miejsc, ale założyłem, że łatwiej będzie mi się tam targować w związku z żadaniami Jeana Le Viste. Towarzyszył nam Georges Le Jeune i posłałem jeszcze Luca po Philippe'a. Dawno nie bawiliśmy się w ten sposób.

— Och — westchnął Nicolas, rozglądając się dookoła i cmokając w czasie picia. — Brukselskie piwo i brukselskie towarzystwo. Jak mogłem o tym zapomnieć? Gospody niczym grobowce, a podają w nich wodę, którą nazywają piwem. I tylko po to jechałem dziesięć dni po wyboistych drogach?

Mnie odpowiadała panująca tu cisza.

— Później przyjdzie więcej osób. Jeszcze się zabawisz.

Georges Le Jeune chciał się dowiedzieć czegoś na temat podróży Nicolasa — jak sprawował się jego koń, kto z nim jechał i gdzie się zatrzymywał. Bardzo interesuje się innymi miejscami, chociaż gdy zabierałem go do Antwerpii lub Brugii, źle spał,

mało jadł i bał się obcych. Zawsze też cieszył się z powrotu do domu. Twierdzi, że chce kiedyś zobaczyć Paryż, ale wiem, że nigdy tam nie pojedzie.

— Czy spotkałeś złodziei na drodze? — spytał Georges Le Jeune.

— Nie, przeszkadzało mi tylko błoto. Błoto i to, że koń mi okulał.

— Więc skąd to masz? — Georges Le Jeune wskazał żółty siniak koło jego oka. — Poza tym boli cię bok.

Nicolas wzruszył ramionami.

— To pamiątka po bójce w jednej z paryskich gospód. Dostało mi się, chociaż nie chodziło o mnie. — Zwrócił się w moją stronę. — A jak się miewa Alienor? — spytał. — Szykujecie jej już wyprawę?

Zmarszczyłem brwi. Skąd mógł wiedzieć o wyprawie Alienor? Tylko Christine i Georges Le Jeune wiedzieli o moim układzie z Jakiem Le Bceuf. Christine nalegała, żebyśmy powiedzieli naszemu synowi, by wiedział, czego się spodziewać, gdy przejmie warsztat. Jednak mój syn na pewno nikomu o tym nie powiedział — potrafi dochować tajemnicy.

Zanim zdążyłem zastanowić się nad odpowiedzią pojawił się Philippe z Lukiem.

— Nie spodziewałem się znowu cię tu zobaczyć — rzekł ten pierwszy, siadając. — Zeszłego lata tak szybko malowałeś, że myślałem, iż chcesz jak najszybciej wyjechać. Ślubowałaś chyba, że już nigdy nie opuścisz Paryża.

Nicolas uśmiechnął się.

— Miałem sprawę do Georgesesa, no i chciałem zobaczyć gobeliny. Poza tym spotkanie z Christine i Alienor to prawdziwa przyjemność. Właśnie pytałem o nią Georgesesa. — Obrócił się do mnie. — Więc jak tam Alienor?

— Jest teraz bardzo zajęta — odparłem krótko. — Zszywa gobeliny aż do późna, żeby nie przeszkadzać nam w dzień.

— *Alors*, więc macie jednak przewagę nad innymi warsztatami — powiedział Nicolas. — Gdyby widziała, nigdy nie mogłaby

szyć w ciemnościach. Ślepotą pozwala jej pracować w nocy, nie tylko od dzwonu do dzwonu. Powinniście być wdzięczni za to, że tak wam pomaga.

Nigdy nie myślałem w ten sposób.

— Z tego wynika, że nie ma czasu, by zająć się wyprawą— dodał Nicolas.

Philippe drgnął. Pewnie każdego by to zdziwiło — nikt nie spodziewa się, że Aliénor wyjdzie za mąż.

— Moja córka nie przejmuje się wyprawą tylko tymi gobelinami. Tak jak my wszyscy — mruknąłem. — A teraz, kiedy stracimy dwa miesiące, będzie jeszcze gorzej.

Nie miałem zamiaru tego mówić, ale Nicolas tak mnie zirytował, że nie mogłem się powstrzymać. Georges Le Jeune wlepił we mnie oczy.

— Dlaczego mamy stracić jeszcze dwa miesiące? Przecież i tak jesteśmy spóźnieni.

— Spytaj Nicolasa.

Wszyscy — mój syn, Luc, Philippe i ja — spojrzeliśmy na Nicolasa, który zaczął się wiercić, gapiąc się w swoje piwo.

— Sam nie wiem — rzekł w końcu. — Leon Le Vieux powiedział mi tylko, że Jean Le Viste chce mieć wcześniej gobeliny, ale nie wyjaśnił dlaczego.

Skoro nawet tego nie wiedzieliśmy, nie bardzo mogliśmy się targować.

— Léon musi wiedzieć — rzekłem ze złością. — On wie wszystko. Dlaczego tu nie przyjechał? Tylko nie mów, że jest zajęty. Przedtem zawsze przyjeżdżał, zwłaszcza jeśli chodziło o interesy Jeana Le Viste.

Nicolas spojrział na mnie wyzywająco — wyraźnie nie lubi, kiedy się go lekceważy. Podniósł kufel i opróżnił jego zawartość. Wszyscy patrzyliśmy, jak wziął dzban i napełnił swój kufel, a potem znowu wypił duszkiem całe piwo. Wbiłem paznokcie w dłoń, ale milczałem, choćby nawet miał wypić całe moje piwo.

Nicolas beknął.

— Żona Jeana Le Viste powiedziała Leonowi, żeby mnie wysłał. Chciała, żebym wyjechał z Paryża.

— Co takiego jej zrobiłeś? — spytał Philippe. Mówił cicho, ale wszyscy usłyszeliśmy to pytanie.

— Próbowałem spotkać się z jej córką.

— Ty głupcze — wymamrotałem.

— Nie mówiłbyś tak, gdybyś ją zobaczył.

— Widział ją jak my wszyscy — powiedział Philippe. — W *Smaku*.

— A teraz musimy płacić za twoją głupotę — rzekłem. — Gdyby Léon sam przyjechał, mógłbym z nim omówić nowe warunki. Jean Le Viste by go wysłuchał. Ale ty... ty jesteś tylko posłańcem. Nie ma sensu rozmawiać z tobą o interesach.

— Przepraszam, Georges — rzekł Nicolas — ale nie sądzę, by Léon Le Vieux mógł pomóc. Jean Le Viste to twardy człowiek — jak się na coś zdecyduje, trudno go od tego odwieść. Udało mi się to tylko raz, bo na gobelinach miała być bitwa. Ale nie sądzę, byśmy mogli poradzić coś w tej sprawie, ja czy nawet Léon.

— Więc te jednorożce to twoja sprawka? Powinienem się był domyślić, widząc, jak bardzo zależy ci na twoich damach.

— Tak naprawdę zależało na tym jego żonie. *En fait*, powinieneś ją za to winić. I w ogóle kobiety. — Uniósł kufel w stronę ubranej na żółto kurwy. Uśmiechnęła się do niego. Brukselskie kurwy lubią obcych — wydaje im się, że paryżanie płacą więcej i są delikatniejsi. Być może majarację. Teraz zaczęły okrażać Nicolasa niczym mewy rybnie szczątki. Sam byłem z kurwą tylko raz, przed Christine. Wlałem w siebie wtedy tyle piwa, że potem nie pamiętałem, co robiła. Czasami przysiadają mi na kolanach — kiedy brakuje miejsc albo nie mają klientów. Ale wiedzą że ode mnie nic nie wyciągną.

— *Tiens*, Georges — powiedział Nicolas. — Bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego. Mogę ci trochę pomóc w warsztacie, jeśli to jakoś poprawi sytuację.

— Ty... — prychnąłem, a potem urwałem. Przypomniały mi

się słowa Christine, by brać każdą pomoc. Skinąłem głową. — Przyszła nowa dostawa wełny, którą trzeba się zająć. Możesz w tym pomóc.

— Nie pytałeś o dwa pierwsze gobeliny — wtrącił Philippe. — *Węch i Słuch*. W końcu Dama ze *Smaku* nie jest jedyną kobietą na świecie.

Węch i Słuch były zwinięte z rozmarynem, który miał chronić materiał przed molami, i zamknięte w długiej drewnianej skrzyni, stojącej w rogu warsztatu. Nigdy nie śpię zbyt dobrze, gdy mam w domu ukończone gobeliny. Nawet jeśli Georges Le Jeune i Luc mają posłania w pracowni. Każdy krok to dla mnie krok złodzieja, ogień pod kuchnią to pożar, który je zniszczy.

— Nie zmieniliście ich, prawda? — powiedział Nicolas.

— Nie, nie, są takie, jak je namalowałeś. I pięknie wyglądają na ścianie. Są takie, jakby tworzyły oddzielne światy.

— Czy to właśnie przez cały dzień robią szlachcianki? — spytał Georges Le Jeune. — Grają na instrumentach, karmią apta-ki i stroją się w klejnoty gdzieś w lesie?

— Niektóre pewnie tak — prychnął Nicolas. Wziął do ręki dzban i potrząsnął nim, ale wewnątrz nie rozległ się plusk.

— Luc, przynieś jeszcze piwa — rzekłem. Przestałem już gniewać się na Nicolasa. Być może miał rację — Jean Le Viste chciał, czego chciał, i nic nie można było na to poradzić.

Luc chwycił dzban i podszedł do mężczyzny z beczką który stał w kącie. Gdy czekał, aż dzban się napełni, zbliżyła się do niego ubrana na żółto kurwa i zaczęła o coś wypytywać, wskazując Nicolasa. Luc zrobił wielkie oczy — nie jest przyzwyczajony do kobiet — i tylko potrząsał głową.

— A czy widziałeś kiedyś jednoroźca? — spytał Georges Le Jeune.

— Nie — odparł Nicolas. — Ale mam przyjaciela, który widział go w lesie, dwa dni drogi od Paryża.

— Naprawdę? — Zawsze mi się wydawało, że jednoroźce żyją daleko na Wschodzie, tam gdzie słonie. Ale nie znam się na tych sprawach, więc wolałem trzymać język za zębami.

— Mówił mi, że biegł bardzo szybko, niczym biały płomień, i że prawie go nie widział poza rogami — chociaż wydawało mu się, że się do niego uśmiechał. To dlatego jest taki zadowolony na obrazach.

— A czy wszystkie kobiety też są zadowolone? — spytał Philippe.

Nicolas wzruszył ramionami.

Dzban był już pełny, ale właściciel beczki wręczył go kurwie, a nie Lucowi, który podreptał za zbliżającą się do nas kobietą.

— Wasze piwo, panowie — powiedziała, stając naprzeciwko Nicolasa i tak pochylając się przy stawianiu dzbana, by pokazać mu swój biust. — Znajdzie się trochę miejsca dla mnie?

— Oczywiście — rzekł Nicolas, ciągnąc ją na ławę obok siebie. — Przy stole zawsze musi być jedna czy dwie kurwy.

Nigdy nie powiedziałbym czegoś takiego nawet zwykłej kurwie, ale ta w żółtej sukni tylko się zaśmiała.

— Więc zawołam przyjaciółki — powiedziała.

Po chwili już siedziały przy nas dwie następne, a nasz stół stał się najgłośniejszy w całej gospodzie.

Nie zostałem tam długo. Kurwy nadają się dla młodych. Kiedy wychodziłem, ta w żółtym siedziała Nicolasowi na kolanach, ta ubrana na zielono obejmowała czerwonego Georges'a Le Jeune, a trzecia w czerwonej sukni drażniła się z Lukiem i Philippe'em.

W drodze powrotnej wysikałem większą część piwa. Kiedy wróciłem, Christine wciąż siedziała i czekała na mnie. Wiedziałem, co chce usłyszeć.

— *Alors* — rzekłem — będziesz tkąła. Inaczej nie skończymy ich na czas. Tylko nikomu nie mów.

Christine skinęła głową. A potem się uśmiechnęła. A potem pocałowała mnie i pociągnęła w kierunku łóżka. Tak, kurwy lepiej zostawić młodym.

Aliénor de la Chapelle

Nigdy nie przypuszczałam, że zostanę sama z Nicolasem des Innocents w moim ogródku. Moi rodzice zostawili nas tam, do tego stopnia przejęci wiadomościami z Paryża, że mama nawet nie powiedziała, żebym wróciła do domu. Przysiadłam na piętach, uważając, żeby nie zgnieść rosnących nieopodal konwalii. Ich kwiaty chygotały się tuż koło moich nóg, a kiedy się o nie ocierały, słodki zapach wypełniał powietrze.

Kiedy Nicolas wyjechał w lecie, myślałam, że już nie wróci. Z początku było mu z nami dobrze, ale potem nagle przestał ze mną flirtować i stał się oschły w stosunku do mamy i taty. Jednocześnie zaczął szybciej malować. A potem któregoś dnia nie przyszedł do warsztatu i Philippe poinformował nas o jego wyjeździe oraz o tym, że sam ma dokończyć ostatni karton. Być może obraziliśmy go jakoś swymi prostackimi, brukselskimi manierami. Być może nie dosyć chwaliliśmy jego pracę. Czasami znajomi taty przyglądali się, jak maluje, i wytykali mu błędy — jednorożec za bardzo przypominał konia lub kozę, to znowu lew za bardzo psa albo żeneta lisa czy też drzewko pomarańczowe włoski orzech. Nicolas tego nie znosił.

Teraz stał nade mną. Podniosłam się. Nie odsunęłam się, chociaż byłam bardzo blisko niego — tak blisko, że czułam ciepło jego kaftana i zapach skórzanych lejców na jego dłoniach, pot w jego włosach i nagrzaną słońcem skórę na jego karku.

— Wyglądasz na zmęczoną piękna.

— Pół nocy nie śpię, tylko szyję. A teraz będę musiała pracować całą noc.

— Bardzo mi przykro. Nie lubię przynosić złych wieści. Zrobiłam krok do tyłu.

— Dlaczego odjechałeś bez pożegnania?

— Jesteś taka jak twój ojciec — prychnął. — Nie wybaczasz błędów. Milczałam.

— Musiałem wracać do Paryża, bo miałem tam pracę.

— Potrafię wyczuć kłamstwo w głosie. Nogi Nicolasa zaszurały na ścieżce.

— A co cię to obchodzi, piękna? Przecież byłem dla was tylko kłopotem.

Uśmiechnęłam się.

— Możliwe, ale oczekujemy też odpowiedniego pożegnania.

Nigdy bym mu tego nie powiedziała, ale po jego odjeździe przez trzy dni nie odezwałam się ani słowem. Nikt tego nie zauważył — zawsze jestem cicha — poza mamą która tylko pocałowała mnie w czoło, kiedy znowu zaczęłam się odzywać. Ona rzadko całuje kogokolwiek.

Nicolas westchnął.

— Dowiedziałem się czegoś, czego wolałbym nie wiedzieć. Może kiedyś ci o tym powiem. Ale nie teraz.

Zanim zdołaliśmy coś jeszcze dodać, mama zawołała nas na posiłek. Później Nicolas wyszedł i nie wracał aż do wieczornych dzwonów, które oznaczają koniec naszej pracy. Tata wraz z chłopcami zabrał go do gospody. Mama wzięła się do zszywania *Smaku, a la mon seul desir*. Pracowałyśmy w ciszy — mama martwiła się gobelinami i nawet mnie nie spytała, co sędzę o powrocie Nicolasa.

Potem, kiedy tata wrócił, oboje przeszli dalej w głąb domu, a ja wciąż szylam. Georges Le Jeune i Luc wrócili dużo później. Luc źle się czuł po piwie i często wychodził na ulicę.

Nie chciałam o to pytać, ale nie mogłam się powstrzymać.

— Czy Nicolas też był z wami? — zagadnęłam Georges'a Le Jeune, który opadł na siennik koło moich nóg. Czuć od niego było piwem oraz dymem z gospody i — zmarszczyłam nos — tanią wodą kwiatową którą kurwy kupują na targu.

Brat zaśmiał się głośno — wypił zbyt dużo, by zdawać sobie sprawę z tego, że hałasuje. Uciszyłam go, żeby nie zbudził rodziców lub Madeleine.

— On nie wróci dziś na noc. Już znalazł sobie siennik, w dodatku żółty. — Georges Le Jeune znowu zaczął się śmiać.

Wstałam i zrobiłam krok przez niego, kierując się w głąb domu. Wołałam iść spać, niż znosić jego smród i wyglupy, niezależnie od tego, ile mi jeszcze zostało pracy. Wstanę wcześniej i zabiorę się do szycia, kiedy oni będą jeszcze spać.

Nicolas wrócił dopiero pod koniec następnego ranka. Pracowaliśmy już wszyscy od wielu godzin, z wyjątkiem Luca, który tak źle się czuł, że na nic się nam nie mógł przydać, i wciąż spał w części mieszkalnej domu. Tkacze siedzieli przy krosnach. Obie z mamą zajmowałyśmy się nową paką wełny — jej część była przeznaczona na gobeliny, nad którymi pracowaliśmy, a część na dwa pozostałe. Mama ją sortowała, korzystając z wysokiego do talii, drewnianego wrzeciona, by zwinąć nici w motki, a następnie wieszła je według kolorów na wałkach. Ja zaś przygotowywałam szpulki, zwijając razem nici z wałków na niewielkie patyczki, z których następnie mogli korzystać tkacze.

— Gdzie on jest? — pytała mama, wyciągając wełnę. Papa nie wyglądał na zmartwionego.

— Przyjdzie, jak będzie gotowy.

— Ale potrzebujemy go teraz.

Nie wiedziałam, dlaczego jest taka zła. Nicolas nic nam nie był winny i wcale go nie potrzebowaliśmy. Jeśli chciał przespać cały ranek z kurwą nie musiał nas pytać o zgodę. W ogóle nie powinniśmy się nim przejmować.

A potem przyszedł. Cuchnął prawie tak, jak Jacques Le Bceuf. Po nocy spędzonej pod Le Vieux Chien wciąż był wesoły, gdy

inni milczeli i bolały ich głowy. Walnął tatę i Georges'a Le Jeune w plecy i pozdrowił mnie oraz mamę.

— Czy wiecie, że Philippe jest teraz mężczyzną z krwi i kości? — zagadnął. — Poradził sobie wczoraj z kurwą a może raczej to ona pokazała mu, jak ma sobie radzić. Teraz już będzie wiedział, jak to robić.

Te słowa wydawały się wymierzone we mnie jak strzała, która przeleciała przez cały pokój. Pochyliłam głowę nad szpulką i zaczęłam szybciej pracować.

Mama położyła dłoń na mojej, żebym zwolniła. Wyczułam jej wściekłość w tym dotyku.

— Nie mów przy Alienor o takich grzechach — mruknęła. — Lepiej zabieraj całe to swoje kurewstwo z powrotem do Paryża.

— Christine... — rzucił tata.

— Nie pozwolę na taki brud w moim domu. Nie obchodzi mnie, jak bardzo potrzebujemy jego pomocy.

— Przestań — powiedział tata.

Mama zamilkła. Zawsze go słucha, kiedy tata mówi tym tonem. Teraz chrząknął, a ja przestałam nawijać nitki na szpulki — zwykle wydaje ten odgłos, kiedy ma coś ważnego do powiedzenia.

— *Alors*, Nicolas — zaczął — obiecałeś wczoraj, że nam trochę pomożesz. Być może zapomniałeś po piwie, co mógłbyś zrobić, więc powtarzam. Możesz pomóc przy nowej paczce wełny. Zajmiecie się nią z Alienor, żeby Christine mogła robić coś innego. Alienor pokaże ci, co robić, a ty będziesz jej oczami.

Ze zdziwienia aż oparłam się o tył krzesła. Nie chciałam, żeby siedział przy mnie z tym zapachem innych kobiet. Ale tata zadziwił nas jeszcze bardziej.

— Christine, siądź na chwilę przy krosnach na miejscu Luca. Kiedy dojdzie do siebie, zajmiesz miejsce syna. Georges Le Jeune, ty będziesz robił postaci w *A mon seul desir*.

— Postaci? — powtórzył brat. — Które części?

— Wszystkie. Możesz zacząć od twarzy, jak tylko wełna będzie gotowa. Jesteś do tego przygotowany, nie muszę cię pilnować.

Georges Le Jeune nacisnął pedały tak mocno, że aż zaklekotały.

— Dziękuję, tato.

— Chodź, Christine — powiedział tata.

Ławka zaskrzypiała, kiedy mama i Georges Le Jeune usiedli obok siebie. Poza tym w warsztacie panowała cisza.

— Musimy tak zrobić — odezwał się tata. — Inaczej nigdy nie skończymy tych gobelinów na czas. Nie mówcie o tym nikomu. Jeśli cech się dowie, nałoży na nas grzywnę lub nawet zamknie warsztat. Christine zawsze będzie pracowała przy tylnym krośnie, w pobliżu ogródka, tak żeby nie było jej widać przez okno. Joseph i Thomas, na koniec dostaniecie dodatkowe pieniądze za wasze milczenie.

Joseph i Thomas nic nie powiedzieli. Cóż mogli? To, czy dostaną zapłatę za swoją pracę, też od tego zależało. Jak tata powiedział, nie mieliśmy innego wyjścia.

Nicolas podszedł do mnie.

— Cóż, piękna, pokaż, co mam robić? Oto moje ręce. Położył je na moich dłoniach. Śmierdział barłogiem. Wyszarpnęłam dłonie.

— Nie dotykaj mnie. Nicolas roześmiał się.

— Nie jesteś chyba zazdrosna o kurwę, co? Myślałem zresztą że mnie w ogóle nie lubisz.

— Mamo!

Ale mama chichotała z jakiegoś powodu z Georges'em Le Jeune. Tak była zadowolona z tego, że może tkać, że zapomniała już o całej swojej złości na Nicolasa. Musiałam sama z nim walczyć.

Odwróciłam się od niego i położyłam dłonie na zostawionym przez mamę wrzecionie. Zaczęłam skubać naprężone nici.

— Zwijamy tę wełnę w kłębki — rzekłam szybko. — A potem przygotowujemy z nich szpulki. *Tiens*, musimy rozwinać to, co mama zaczęła już robić, i zaczniemy od początku. Trzymaj i nawijaj nić na dłonie, gdy ja ją będę rozwijać. Tylko jej nie upuść, bo się zabrudzi.

Nicolas wziął nić, a ja zaczęłam ją odwijać, szybciej i szybciej, tak że w końcu nie mógł nadażyć.

— Spokojnie! — krzyknął. — Pamiętaj, że nigdy nie zajmowałem się wełną. Trochę cierpliwości.

— Nie mamy czasu. To twoja wina. Twoja i Jeana Le Viste. Musisz nadażyć.

— Dobrze, piękna. Jak chcesz.

Na początku uważałam, żeby trzymać się od Nicolasa najdalej jak tylko możliwe, i nie pozwalałam, by nasze dłonie się stykały — co nie jest takie łatwe, kiedy się pracuje przy wełnie. Nie rozmawiałam z nim, a na pytania odpowiadałam paroma słowami. Zawsze wytykałam mu błędy i nigdy go nie chwaliłam.

Jednak zamiast wzbudzić w nim złość lub rezerwę, odnosiłam wrażenie, że nawet bardziej mu się to podoba. Zaczął mnie nazywać Panią Wełny i zadawał tym więcej pytań, im krótsze były moje odpowiedzi. Nawet kiedy nauczył się robienia kłębków na wrzecionie, często plątały mu się nici i musiałam mu pomagać rozplątywać węzły, dotykając jego palców. Był dobrym uczniem. Po paru dniach umiał robić kłębki i przygotowywać szpulki prawie tak dobrze jak mama i ja. Czasami mogłam nawet zostawić go samego przy pracy, by zająć się moimi roślinami — zwłaszcza w maju nie można ich zaniedbywać.

Nicolas miał dobre oko do kolorów i rozdzielał nici na więcej odcieni niż mama. Zauważył nawet, że czerwona wełna składała się z dwóch nie pasujących do siebie, oddzielnie barwionych części, zmieszanych później w jedną całość. Tata odesłał całą partię do barwiarza i zażądał opłaty, żeby nie zgłaszać tego do barwiarz-skiego cechu. Tej nocy znowu zabrał Nicolasa do gospody, by to uczcić. I tym razem Nicolas nie pojawił się w warsztacie aż do późna następnego ranka. Tym razem jednak nikt go nie beształ. Po prostu podałam mu szpulkę, na którą nawijałam nić, i uciekłam do ogródka, by nie czuć od niego kurwy.

Teraz, kiedy Nicolas nam pomagał, a mama mogła tkać, mniej się niepokoiła tym, że on się koło mnie kręci. Nigdy nie

widziałam, by była tak szczęśliwa jak przy krośnie. Nie zwracała uwagi na Madeleine ani na mnie, chyba że oboje z Nicolasem prosiliśmy o pomoc przy wełnie. W ciągu dnia siedziała przy krośnie i pracowała tak ciężko, jak inni tkacze, a kiedy szłam w nocy to, co zrobiła, czułam, że materiał jest gładki i mocno napięty. Wieczorami siadywała z tatą i rozmawiała o tym, co już zrobiła i co jeszcze mogłaby zrobić. Tata rzadko jej przerywał, chyba żeby powiedzieć: „Nie”, kiedy prosiła, by ją nauczył szrafowania.

Nicolas zwykle wychodził wieczorami do Le Vieux Chien, chociaż nie zawsze zostawał tam na noc. Czasami chodził z nim Georges Le Jeune, ale nie Luc, który miał dosyć piwa po tym pierwszym razie. Jednak najczęściej bywał tam sam. Słyszałam później, jak szedł ulicą śpiewając lub rozmawiając z ludźmi, których zapoznał w gospodzie. Dziwiło mnie to, że tak szybko znalazł tu sobie towarzystwo. Kiedy przychodził do nas zeszłego lata, nie był tak przyjazny i miły w stosunku do wszystkich, ale pozował na aroganckiego paryskiego artystę. Teraz mężczyźni — i kobiety — zaglądali do niego i pytali o niego na targu.

Często jeszcze szłam, kiedy wracał. Miałam teraz więcej roboty, bo mama mi nie pomagała — była zmęczona po dniu pracy i musiała dbać o oczy. Tym razem Nicolas zamieszkał u nas, żeby zaoszczędzić na noclegu, i kiedy wracał z gospody, kładł się na sienniku, nieopodal krosna ze *Smakiem*. Jeśli pracowałam nad tym gobelinem, niemal dotykał moich stóp. Spędzaliśmy tak kolejne noce. Nie rozmawialiśmy za dużo, bo nie chciałam obudzić Georges'a le Jeune i Luca. Ale czasami wyczuwałam, że się do mnie obracał. Jeśli widzenie przypomina osnowę rozpiętą między dwoma końcami krosna, to czułam napiętą nić jego wzroku.

Którejś nocy przyszedł bardzo późno. Wszyscy poza mną już spali. Szłam twarz Damy w *Smaku*, uważając zwłaszcza przy jej oku. Była w połowie skończona — Nicolas będzie mógł już niedługo ją zobaczyć.

Kiedy położył się u moich stóp, poczułam, że nić między nami napina się jeszcze mocniej. Chciał coś powiedzieć, ale milczał. Cisza zaczęła mi ciążyć. Powstrzymywałam się przez jakiś czas, ale w końcu zadałam mu pytanie.

— O co chodzi? — spytałam szeptem, czując się tak, jakbym w końcu podrapała ugryzione przez pchłę miejsce.

— O coś, co już dawno chciałem ci powiedzieć, piękna. Od zeszłego lata.

— To z tego powodu wyjechałeś?

— Tak.

Wstrzymałam oddech.

— Spotkałem dziś w gospodzie Jacques'a Le Boeuf.

— *Alors?* — Zacisnęłam usta.

— To gbur.

— Wiem o tym.

— Nie mogę znieść myśli...

— Jakiej myśli?

Nicolas urwał na chwilę. Wyczułam szparę w oku Damy i przekłułam je igłą.

— Słyszałem wtedy twoich rodziców, jak rozmawiali o Jacques'u Le Boeuf. Twój ojciec zawarł z nim umowę. Chodzi o ciebie.

Miał problemy z wypowiedzeniem tego wszystkiego, ale nie pomogłam mu usłużnym słowem.

— Masz za niego wyjść do Bożego Narodzenia, tak się umówili. Chociaż to się może zmienić, skoro gobeliny mają być gotowe wcześniej. Więc to się odbędzie, kiedy je skończycie. Pewnie przed Wielkim Postem.

— Wiem o tym.

— Naprawdę?

— Madeleine mi powiedziała. Dowiedziała się od mojego brata. Oni...

— Machnęłam ręką i nie powiedziałam, co razem robili. Nicolas mógł się domyślić. — Chociaż obiecywała, że nikomu o tym nie powie, to pewnie już wszyscy w Brukseli wiedzą. Ale co ciebie obchodzi mój los? Przecież jestem dla cie-

bie niczym — ślepą dziewczyną która nie może podziwiać twojej ładnej twarzy.

— Po prostu nie lubię, jak ładna dziewczyna wychodzi za brutala,
c'est tout.

Nie zabrzmiało to tak, jakby powiedział już wszystko, więc czekałam.

— To dziwne — podjął — mam wrażenie, że z powodu tych gobelinów inaczej patrzę na kobiety. Niektóre kobiety.

— Ale przecież one nie są prawdziwe, podobnie jak ich zajęcia.

Nicolas zachichotał.

— Ich twarze są prawdziwe, przynajmniej niektóre z nich. Przecież z tego jestem znany — z malowania kobiecych portretów. A teraz jeszcze z gobelinów.

— Nieźle zarobiłeś na tych projektach, co?

— Wygląda na to, że więcej niż twój ojciec.

— Biedny tata jest zgnębiony przez twojego Jeana Le Viste.

— Bardzo mi przykro z tego powodu.

Przez chwilę milczeliśmy. Słyszałam jego miarowy oddech.

— Co zrobisz z Jakiem Le Bceuf? — spytał w końcu Nicolas.

Luc przewrócił się i wymamrotał coś przez sen. Zaśmiałam się cicho.

— A co mogę zrobić? Jestem biedną ślepą dziewczyną która i tak powinna być wdzięczna, że ktoś ją chce.

— Nawet ktoś, kto śmierdzi owczymi szczynami. Wzruszyłam ramionami, chociaż wcale nie było mi to obojętne.

— *Tu sais, Alienor, jest coś, co możesz zrobić.*

Głos mu się zmienił, kiedy to powiedział. Zamarłam. Wiedziałam, o czym myśli. Sama się nad tym zastanawiałam. Ale mogłabym się znaleźć w gorszej sytuacji, niż wychodząc za Jacques'a Le Bceuf.

Nicolas jednak nie miał żadnych wątpliwości.

— Chodź, piękna — powiedział — a opowiem ci całą historię rogu jednorożca.

Przesunęłam palcami po brzegach osnowy gobelinu — po szorstkich, równych nitkach wełny i jedwabiu, który łaskotał mnie w palce. Przez chwilę trzymałam na nich ręce. Mama i ksiądz mówili, że to grzech, jeśli robi się to bez ślubu, ale nie słyszałam, żeby to wielu powstrzymało — nawet mamy nie zdołało. Mimo że ciągle powtarzała, że wyszła za tatę ze względu na warsztaty ich ojców, mój brat urodził się ledwie miesiąc po tym, jak zaczęli dzielić małżeńskie łóżce. Madeleine i Georges Le Jeune nie wydawali się przestraszeni tym, że grzeszą, ani Nicolas, ani pary, które słyszałam w alejkach, ani kobiety, które śmiały się z tego przy fontannie lub na targu.

Wbiłam igłę w usta Damy, żeby wiedzieć, gdzie skończyłam, i wyciągnęłam ręce do Nicolasa. Przyjął je, a następnie wziął mnie na ręce i poniosł do ogródka między śpiącymi tkaczami. Przywarłam do jego szyi, dotykając nosem ciepłej skóry. Pachniała cudownie.

Położył mnie na kwiatowych rabatkach — tych ze stokrotkami i goździkami, niezapominajkami i orlikiem. Nie obchodziło mnie, co gnieciemy — interesowała mnie tylko konwalia tuż obok mojej twarzy. Tak trudno ją wyhodować i tak krótko kwitnie, choć ma tak słodki zapach. Odsunęłam się trochę od niej. Teraz moja głowa znalazła się w krzaczku melisy, która ocierała się o moje czoło i policzki swoimi chłodnymi, gęstymi liśćmi. Na szczęście melisa łatwo się rozprostowuje, nawet po zgnieceniu.

Nie przypuszczałam, że w końcu znajdę się sama z mężczyzną a mimo to będę się bała o moje rośliny.

— Z czego się śmiejesz, piękna? — spytał Nicolas. Jego twarz znajdowała się tuż nad moją.

— Z niczego — odparłam i uniosłam dłoń, by go dotknąć. Przycisnął mnie do ziemi —jego nogi na moich biodrach, a pierś na mojej piersi, jego krocze wciskające się mocno w moje. Nigdy nie miałam na sobie takiego ciężaru, ale się nie bałam. Chciałam, by przycisnął mnie mocniej. Przywarł ustami do moich —jego wargi się poruszały i poczułam w środku język — tak że znowu zachciało mi się śmiać. Był miękki, ale

też twardy, mokry i ruchliwy. Wciągnął mój język do swoich ust, które były ciepłe, smakowały piwem i jeszcze czymś, czego nie znałam — jego własnym smakiem. Szarpnął moją suknię, podciągając spódnicę i opuszczając stanik. Zadrżałam, czując chłodne powietrze i jego dotyk.

Czułam go wszystkimi zmysłami, poza jednym. Zastanawiałam się, jak by to było, gdybym mogła teraz widzieć. Niewiele wiedziałam na temat tego, co robi mężczyzna z kobietą — całą wiedzę czerpałam z tego, co robili tata i mama w nocy, Georges Le Jeune z Madeleine w ogrodzie i z żartów kobiet na targu czy piosenek na ten temat — i zawsze wydawało mi się, że trzeba oczu, by móc się tym cieszyć, że jest to coś, czego sama nie mogę robić, a jeśli już, to z kimś takim jak Jacques Le Bceuf, i że wtedy będzie bolało, i że zawsze będę się tego bała. Ale teraz ból trwał tylko chwilę, kiedy Nicolas wszedł we mnie po raz pierwszy, a potem poczułam mężczyznę całym ciałem — smakiem, dotykiem, węchem i słuchem.

— Na co patrzysz? — spytałam Nicolasa, kiedy wchodził i wychodził ze mnie, a między nami rozlegały się mokre dźwięki, jakby ktoś wyciągał nogę z błota.

— Na nic, mam zamknięte oczy. Tak jest lepiej, bo mogę więcej czuć. Poza tym jest zbyt ciemno, żeby coś widzieć — księżyc się schował.

Niczego więc nie straciłam. Byłam z nim tak jak każda inna dziewczyna. To też było bardzo przyjemne. Coś zaczęło we mnie wzbierać — wciąż wyżej i wyżej, wraz z rytmem jego ciała, aż nie mogłam tego wytrzymać i krzyknęłam, a moje ciało zastygło, a potem się rozluźniło — niczym dłoń, która zaciska się w pięść, a potem rozkwita palcami.

Nicolas zakrył mi usta dłonią.

— Cii — syknął, ale ze śmiechem. — Chcesz, żeby wszyscy usłyszeli?

Wypuściłam powietrze. Byłam nie tyle przestraszona, ile zaskoczona. Nicolas ruszał się teraz szybciej i też wydawał odgłosy. Od-

dychał szybko — tak jak ja, a potem coś gorącego rozlało się w moim wnętrzu. Przestał się ruszać i zastygł na mnie — był w tej chwili tak ciężki, że prawie nie mogłam oddychać. Po chwili stoczył się na bok. Usłyszałam odgłosy łamanych roślin i poczułam słodycz konwalii. Domyśliłam się, że jązgniótł. Ale jej zapach był czystą słodyczą, jak miód bez chleba. Pod tym sycącym zapachem wyczułam coś bardziej rzeczywistego, przypominającego zapach ziemi. To był zapach łóżka, który czułam u innych, ale teraz był świeży niczym zapach kielkujących po deszczu roślin.

Wdychaliśmy go i wydechaliśmy raz za razem, raz za razem, coraz wolniej i wolniej, aż zupełnie się uspokoiliśmy.

— Czy właśnie to robisz ze swoimi kurwami? — spytałam.

— Mniej więcej — prychnął. — Czasami jest lepiej niż zwykle. Zazwyczaj wtedy, kiedy kobieta jest szczęśliwa.

Byłam szczęśliwa.

— Co to za zapach? — spytał.

— Który?

— Ten słodki. Ten drugi znam.

— To konwalia. Leżysz na niej. Zaśmiał się cicho.

— Nicolas, chcę jeszcze raz.

— Teraz? — Jego śmiech stał się głośniejszy. — Musisz dać mi chwilę, piękna. Najpierw odpocznę, a potem zobaczę, co będę mógł zrobić.

— Jutro — poprosiłam. — I następnej nocy. I jeszcze następnej.

Nicolas zwrócił się w moją stronę.

— Jesteś pewna, Alienor? Wiesz, co się może zdarzyć. Skinęłam głową.

— Wiem. — Dowiedziałam się tego z tych wszystkich rozmów, żartów i piosenek. Wiedziałam, czego chcę. Tyle mnie ominęło z powodu mojej ślepoty, że pragnęłam tego niezależnie od skutków.

Przez dwa tygodnie pracowaliśmy w ciągu dnia razem w war-

sztaście, a potem w nocy leżeliśmy w ogródku, gniotąc wszystkie moje kwiaty. Pod koniec tego okresu uporaliśmy się z całą wełną a tkacze skończyli Damy w *Smaku* i *A mon seul desir* — i to był koniec. Tata wsunął jeszcze lustro pod *Smak*, żeby Nicolas mógł obejrzeć całą twarz swojej Damy. Tej nocy pożegnał się ze mną w ogródku. Kiedy położył potem głowę na moim podołku, powiedział:

— Nie bądź smutna, piękna.

— Nie jestem smutna — odparłam. — Ani piękna. Następnego dnia wyjechał do Paryża.

Christine du Sablon

Ten Nicolas des Innocents był naprawdę sprytny. Muszę mu to przyznać. Wyrządził nam taką szkodę tuż pod naszym nosem, a ja domyśliłam się wszystkiego dopiero długo po jego wyjeździe. Tkanie mnie chyba zaślepiło. Tak bardzo pilnowałam swojej pracy, że nie zauważyłam tego, co się wtedy działo. Winię samą siebie za grzech dumy z tkania, która stała się pychą oraz za to, że nie chodziłam wówczas w dni powszednie na msze do Sablon, tak jak zawsze. Zaniedbałam Matkę Boską i Naszego Zbawcę i zostałam za to ukarana.

Którejś niedzieli po mszy Georges i Georges Le Jeune rozwinęli i powiesili oba ukończone gobeliny ze *Słuchem* i *Węchem*, żeby Nicolas mógł je obejrzeć. Kiedy były gotowe, stanęłam w drzwiach, by móc je podziwiać. Zauważyłam jednak, że ręce Damy grającej na organach mogłyby być lepiej zrobione. Gdyby Georges pozwolił mi tkać wcześniej, mógłby im poświęcić więcej uwagi. Zatrzymałam to jednak dla siebie.

— Jesteś z jakiegoś powodu bardzo zadowolona z siebie, *Madame* — zauważył Nicolas.

Potrząsnęłam głową.

— Po prostu podziwiam pracę mojego męża — odparłam. Wciąż patrzył na mnie z uśmiechem, więc w końcu klasnęłam w dłonie i odsunęłam się od drzwi.

— Dosyć już tego gapienia się — powiedziałam. — Zwińcie je, żeby mole ich nie dopadły. Alienor, zetnij świeży rozmaryn.

Kiedy Nicolas zobaczył dwa pierwsze gobeliny, a także prace przy trzecim i czwartym, powiedział, że chce zobaczyć dwa pozostałe projekty — ze *Wzrokiem* i *Dotykem* — żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Tak przynajmniej powiedział.

Wyznaję, że nie zastanawiałam się nad tym. Luc wyjął kartony, a Nicolas zaczął je oglądać samotnie w ogródku, ponieważ wszyscy pozostali zajęci byli pracą. Wkrótce też przyszedł do warsztatu i powiedział:

— Chciałbym coś w nich zmienić.

— Po co? — spytał Georges. — Przecież wszyscy się na nie zgodzili.

— Chciałbym ponownie namalować konwalie, teraz, kiedy widziałem ich prawdziwe wcielenie w ogródku Alienor.

Stojąca za wrzecionem Alienor zachichotała w sposób, jakiego jeszcze u niej nie słyszałam. Nic mi to jednak wówczas nie powiedziało, chociaż powinno.

— Możemy je zmienić w czasie tkania — zauważył Georges. — Pamiętaj, że tkacze mogą zmieniać *verdure*.

— A jednak chciałbym to zrobić — nalegał Nicolas. — Przydałaby mi się zmiana — od zajmowania się wełną moje dłonie zrobiły się tak szorstkie, że boję się, co na to powiedzą kobiety.

Mrugnął do Georges'a Le Jeune. Alienor znowu zachichotała.

Zmarszczyłam brwi, ale Georges tylko wzruszył ramionami.

— Jak uważasz, wełna jest już prawie gotowa. Niedługo nie będziesz nam potrzebny.

Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, myślę, że nikt nie popatrzył na wprowadzone przez Nicolasa zmiany. Udowodnił już wcześniej, że jest świetnym malarzem, i byliśmy zbyt zajęci, by mu zaglądać przez ramię. Pracował nad kartonami w ogródku, a kiedy wyschły, zwinął je i dołożył do innych.

Jego pożegnanie było pełne powagi, ale mieliśmy za dużo roboty, żeby to docenić. Tkaliśmy wówczas po czternaście go-

dzin na dobę z krótkimi przerwami na posiłki, a kiedy nie pracowałam, wzór gobelinu i tak majaczył mi przed oczami, i kręciło mi się w głowie. Wieczorem padałam na łóżko i spałam jak kłoda, dopóki Madeleine nie zbudziła mnie następnego ranka. Nie było czasu, by myśleć o jego wyjeździe. Poprzedniego wieczoru mężczyźni poszli do gospody, ale zasnęli nad piwem. Nawet Nicolas wrócił do domu, zamiast wypróbować po raz ostatni swoją żółtą kurwę. Wyglądało na to, że skończył z nią wcześniej. Teraz oczywiście wiem, dlaczego.

Potem nastąpiły po sobie kolejne letnie dni, kiedy to tkaliśmy, prawie się do siebie nie odzywając. W lecie dni są długie i mniej wtedy świąt, a my zaczynaliśmy wcześniej i kończyliśmy później niż zwykle. Siedzieliśmy przy krosnach piętnaście, szesnaście godzin — spoceni, zastygli w bezruchu, cisi. Przestaliśmy rozmawiać — nawet Joseph i Thomas przestali się odzywać. Bolały mnie plecy, palce miałam pocieranane od wełny, a oczy czerwone, ale mimo to nigdy wcześniej nie byłam tak szczęśliwa. Po prostu tkalam.

Madeleine starała się nam nie przeszkadzać, przynosząc piwo, chociaż jej o to nie prosiliśmy, i podając szybko posiłki. Zaczęła lepiej gotować, od kiedy stała się samodzielna, podobnie jak Georges Le Jeune zaczął lepiej tkać i nie mogłam już odróżnić jego roboty od pracy ojca. Alienor też była cicha — ale do tego zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Szyła gobeliny, pracowała w ogródku i pomagała Madeleine w kuchni. Czasami szła spać w ciągu dnia, żeby móc szyć w nocy, nikomu nie przeszkadzając.

Pod koniec lata, tuż po dniu Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, wreszcie skończyliśmy. Już od tygodni wiedziałam, że wkrótce to nastąpi — moje palce docierały do końca gobelinów, gdzie znajdowały się różne kolory — zielony, żółty i czerwony. Myślałam, że będę to świętować, ale kiedy zrobiłam ostatni czerwony pasek, odwiązałam ostatnią szpulkę i pomogłam Alienor zaszyć ostatnią szparkę, poczułam się całkowicie wyprana z energii — jak pieczeń bez przypraw. Ten dzień nie różnił się specjalnie od innych.

Oczywiście byłam dumna, kiedy Georges podał mi nożyczki. Nigdy wcześniej nie odcinałam nawet części nici osnowy. A kiedy rozwinęliśmy gobeliny, by popatrzeć na nie pierwszy raz, sprawiły nam prawdziwą radość. Moja robota *na. A mon seul désir* nie różniła się od pracy innych — pasowała tak, jakbym zawsze była tkaczem.

Nie mieliśmy czasu na odpoczynek. Zostało nam tylko pięć miesięcy na zrobienie dwóch następnych gobelinów. Georges nic nie mówił, ale wiedziałam, że je też będę tkala. Dni zrobiły się krótsze i potrzebował rąk do pracy. Gdyby Alienor mogła widzieć, pewnie ją też skłoniłby do tkania.

Którejś niedzieli po mszy wybraliśmy się na spacer na Grand Place — była to teraz jedyna okazja, by się z kimś spotkać — kiedy Alienor chwyciła mnie gwałtownie za ramię.

— Jacques Le Bœuf! — syknęła.

Jej nos się nie mylił — barwiarz właśnie szedł przez plac, kierując się w naszą stronę. Wyznaję, że w ogóle o nim nie myślałam tego lata. Nic nie powiedzieliśmy Alienor ani też nie uszyłam choćby czepka do jej wyprawy.

Przesunęłam jej dłoń do ramienia Georges'a Le Jeune.

— Zabierz ją do L'Arbre d'Or — szepnęłam.

Tylko tkacze i rodziny tkaczy mogą wchodzić do budynku cechu. Kiedy moje dzieci uciekły, wzięłam Georges'a pod rękę i przysunęłam się do niego jakby w oczekiwaniu straszliwej burzy. Oboje patrzyliśmy w stronę Hotel de Ville — tak potężnego i wielkiego, z łukami, rzeźbami i wieżą. Chciałabym, żebyśmy we dwoje byli równie potężni.

Jacques przystąpił do nas.

— Gdzie dziewczyna?! — krzyknął. — Zawsze przede mną ucieka. Co mi przyjdzie z żony, która ucieka przed mężem?

— Cii — syknął Georges.

— Nie uciszaj mnie. Mam już dość trzymania języka za zębami. Czyż nie milczałam, kiedy plotkary na rynku pytały mnie, czy zamierzam się z nią ożenić? Dlaczego mam być cicho? I czemu nie mogę się z nią zobaczyć? Przecież powinna

zacząć się do mnie przyzwyczajając. Choćby od teraz. — Obrócił się w stronę L'Arbre d'Or. Georges chwycił go za ramię.

— Nie tam, Jacques — wiesz, że nie wolno ci tam wejść. Proszę cię tylko, żebyś był cicho jeszcze przez jakiś czas.

— Dlaczego?

Georges opuścił rękę i wbił wzrok w ziemię.

— Jeszcze jej nie powiedziałem.

— Więc ona nie wie?! — Jacques huknął jeszcze głośniejszym głosem niż poprzednio.

Wokół nas zaczął się gromadzić tłum, chociaż ludzie stawali daleko z powodu smrodu. Zakaszlałam.

— Musisz wykazać cierpliwość, Jacques. Jak wiesz, jesteśmy bardzo zajęci gobelinami, w których twoja niebieska wełna odgrywa ważną rolę. Tak ważną— ciągnęłam, biorąc go pod ramię i prowadząc dalej, chociaż oczy mi łzawiły od tego odoru — że na pewno dostaniesz mnóstwo nowych zamówień, kiedy ludzie je zobaczą.

Oczy Jacques'a Le Boeuf zaślniły na moment, ale tylko na moment.

— Ale dziewczyna, dziewczyna. Przeprowadzi się do mnie na Boże Narodzenie, prawda? Kupiliście jej już łóżko?

— Miałem je właśnie jutro zamówić — powiedział Georges. — Pomyślałem, że kasztan się nada. Mamy takie i od lat dobrze nam służy.

Jacques zarechotał tak, że aż mi się zaczęły flaki przewracać.

— Georges wkrótce wybierze się do ciebie w sprawie przygotowań — dodałam. — Przecież nie możemy rozmawiać o interesach w dzień świąteczny. — Spojrzałam na niego złym wzrokiem, a on spuścił głowę. Jeszcze trochę połajanek i wreszcie się go pozbyłam, a ludzie rozeszli się, nie wiedząc, o co mu chodziło — chociaż z tego, co mówił o plotkach, wynikało, że już za późno na sekrety.

Spojrzeliliśmy na siebie z Georges'em.

— Łóżko — powiedział.

— Wyprawa — rzuciłam jednocześnie.

— Skąd ja wezmę na nie pieniądze?

— Skąd wezmę czas na szycie? Georges pokręcił głową.

— Jak zareaguje, kiedy mu powiem, że to nie będzie Boże Narodzenie, tylko Matki Bożej Gromniczej.

Już wkrótce poznałam odpowiedzi na te pytania, chociaż nie takie, jak się spodziewałam.

Na początku nikt nie zauważył. Przygotowaliśmy krosna na *Wzrok* i *Dotyk*, a następnie spędziliśmy większą część dnia na przygotowywaniu osnowy z pomocą Philippe'a i Madeleine. Później Georges rozwinął kartony i przygotował do wsunięcia pod osnowę. Sprawdziłam brzegi projektów, chcąc się upewnić, że przygotowaliśmy odpowiednie kolory. Gdy to robiłam, zerknęłam na Damę na kartonie ze *Wzrokiem*. Trwało chwilę, zanim to dostrzegłam, ale kiedy to się stało, cofnęłam się, jakby mnie ktoś uderzył w pierś. Stało się dla mnie jasne, że Nicolas coś zmienił, i że nie były to konwalie.

W tym samym czasie Georges Le Jeune zaczął się śmiać.

— *Regards, Maman!* — krzyknął. — Więc to właśnie Nicolas robił w ogródku. Powinnaś być zadowolona.

Jego śmiech tak mnie zdenerwował, że uderzyłam go w twarz. Georges Le Jeune patrzył na mnie z otwartymi ustami — był tak zdziwiony, że nawet nie zaczął rozcierać policzka, chociaż uderzyłam go naprawdę mocno.

— Co się dzieje, Christine? — spytał ostro Georges. Przeniosłam ciężar wzroku na Alienor. Siedziała na stołku, rozplątując wełnę. Oczywiście nie mogła widzieć tego, co Nicolas zrobił.

— Chciałem tylko powiedzieć mamie, że Nicolas namalował ją w *Dotyku* — poskarżył się Georges Le Jeune. — A ona mnie za to uderzyła.

Popatrzyłam na niego, a potem na *Dotyk*. Patrzyłam przez

dłuższy czas. Miał rację — Dama bardzo mnie przypominała, miała moje długie włosy i pociągłą twarz, moją ostrą brodę, mocną szczękę i wysokie łuki moich brwi. Byłam dumną żoną tkacza, trzymając z zadowoleniem drzewce flagi w jednej ręce, a w drugiej róg jednorożca. Pamiętam nawet moment, który ujął na kartonie — to było wtedy, kiedy stałam w drzwiach i myślałam o tkaniu. Nicolas des Innocents poznał mnie aż nazbyt dobrze.

— Przepraszam — powiedziała do syna. — Myślałam, że mówisz o *Wzroku*, gdzie Dama jest podobna do Alienor.

Wszyscy spojrzeli na *Wzrok*, a Alienor uniosła głowę.

— Byłam zła, bo to okrutne umieszczać ślepą dziewczynę na gobelinie, który ma przedstawiać *Wzrok* — skłamałam szybko.

Nie wspomniałam o tym, że jednorożec opiera się o podołek mojej córki i o tym, co to może znaczyć. Obserwowałam Georges'a i innych mężczyzn, którzy zaczęli się przyglądać obrazowi, ale wyglądało na to, że nic nie wzbudziło ich podejrzeń. Mężczyźni są czasami bardzo głupi.

— To rzeczywiście ty, Alienor — odezwał się Georges Le Jeune. — Z twoimi kosymi oczami i kosym uśmiechem.

Alienor zrobiła się cała czerwona i zaczęła grzebać w trzymanej na podołku wulwie.

— Zostawimy je tak, tato? — spytał Georges Le Jeune. — Nie powinniśmy zmieniać postaci zamówionych przez klienta.

Georges drapał się w policzek, marszcząc brwi.

— Możemy je chyba tak zostawić. Nie pamiętam wcześniejszych twarzy. A ty, Philippe?

Philippe wpatrywał się w portret, a potem skierował swoje okrągłe oczy na Alienor — wiedziałam, że jego tak jak i mnie zaniepokoiły dokonane zmiany. Na szczęście Philippe potrafi dochować tajemnicy — jest prawie tak cichy jak Alienor.

— Nie, nie pamiętam — odparł. — W każdym razie nie na tyle, by znowu je zmienić.

— Wobec tego nie ma sprawy — rzekł Georges. — Utkamy je tak, jak są z nadzieją że nikt nie zauważy zmiany. —

Potrząsnął głową. — Przeklęty malarz. Nie potrzeba mi nowych zmartwień.

Alienor drgnęła na te słowa i przez moment wyglądała tak smutno, jak Dama we *Wzroku*. Zagryzłam wargi. Czy Nicolas namalował ją jako Dziewicę, która złapała jednoroźca, bo pragnął, by się tak stało, czy też to rzeczywiście nastąpiło?

Zaczęłam obserwować córkę — tak jak powinnam była to robić, gdy był tu Nicolas. Patrzyłam na nią okiem matki. Nie wydawała się inna. Nie miała mdłości, nie wydawała się też bardziej zmęczona niż inni, nie bolała jej głowa i nie miała waporów. Mnie przytrafiało się to wszystko zarówno przy niej, jak i Georges'u Le Jeune. Nie zgrubiała też w talii ani nie urósł jej brzuch. Być może udało jej się wymknąć z tej pułapki, którą mężczyźni zastawiają na kobiety.

Zmieniła się tylko w jednym — nie interesowało jej to, co wcześniej. Zdarzało się, że prosiła mnie, żebym jej coś opisała albo powiedziała, co kto robi. Teraz zaczęłam szykować jej wyprawę w nocy, kiedy nie mogliśmy tkać. Wraz z upływem roku i kurczeniem się dni nie byłam już tak zmęczona po pracy i mogłam jeszcze szyć po kolacji. W nocy, kiedy pracowałam nad koszulami, chustkami i szalami, które miały powędrować do jej kuferka, Alienor nie pytała mnie, czemu nie pomagam jej przy gobelinach lub nad czym pracuję. Wyglądała na zadowoloną że może szyć sama. Czasami patrzyłam na nią jak stoi przy wrzecionie lub w ogródku, czy jak pomaga Madeleine albo pochyla się nad gobelinami, a na jej twarzy pojawiał się uśmiech, którego wcześniej nie widziałam — uśmiech kota, który się porządnie najadł i znalazł sobie miejsce przy ogniu. Wtedy robiło mi się niedobrze i w głębi serca czułam, że wpadła w pułapkę.

W końcu zdradziła ją ślepotą. Alienor nigdy nie mogła pojąć, jak inni ją widzą. Zawsze wybierałam jej liście z włosów, wycierałam tłuszcz z brody lub poprawiałam suknię, bo jej nie przychodziło do głowy, że inni mogą to zobaczyć. Kiedy więc w końcu zaczęła tyć, myślała, że jej gruba zimowa suknia to za-

maskuje, ale nie przyszło jej do głowy, że zmienił się sposób jej stania czy chodzenia.

W pewnym momencie byłam już pewna, że ma dziecko. Zaświtało mi to w głowie pewnego listopadowego dnia, kiedy zobaczyłam, jak chodzi między kapustą, którą musiała zebrać przed pierwszym śniegiem, i zaczęłam się zastanawiać, kiedy powiedzieć Georges'owi. Powinnam oczywiście była to zrobić już dawno temu, kiedy tak się martwił z powodu łóżka Alienor. Łóżko zawsze jest w posagu, a kiedy poszedł do cieśli, wrócił zmartwiony z powodu kosztów.

— Nie mam już ani *sou*, żeby mu zapłacić — powiedział mi. — Chyba, że skorzystam z pieniędzy przeznaczonych dla Jacques'a za ostatnią partię wełny. Będzie wściekły, tak jak wtedy, kiedy mu powtarzam, że Alienor musi aż do lutego zostać w domu.

— Kiedy jej powiesz? — spytałam.

Alienor wciąż nic nie wiedziała o naszych planach.

Georges wzruszył ramionami. Nie jest tchórzem, ale też nie cieszy go widok nieszczęścia własnego dziecka.

Ja też nie jestem tchórzem, ale nie powiedziałam mu o swoich podejrzeniach ani nie rozmawiałam o tym z Alienor. Oczywiście, powinnam była to zrobić, ale nie chciałam zniszczyć spokoju, który panował w warsztacie. W ciągu miesięcy tkania odsuwaliśmy od siebie z Georges'em różne problemy, by zająć się nimi po skończeniu pracy. Wszystko znalazło się w zawieszeniu — dom był brudny, ogródek Alienor zaniedbany, Georges nie szukał pracy na następny rok, a ja nie chodziłam na targ i nie starałam się dowiedzieć, co się dokoła dzieje. Wstyd mi wyznać, że nawet krócej się modliliśmy i zaniedbywaliśmy święta. Pracowaliśmy popołudniami w dniu Wszystkich Świętych i Dniu Zadusz-nym, kiedy to powinniśmy byli zostać w kościele.

Ale problem Alienor nie mógł czekać. Narodzin dziecka nie można przesunąć na późniejszy termin.

Thomas pierwszy to zauważył. Miał najbardziej rozbiegane oczy ze wszystkich tkaczy — nigdy nie mógł się skoncentrować

na robocie. Jeśli ktoś chodził po warsztacie — zwłaszcza Alienor i Madeleine — jego wzrok podążał za tą osobą. Któregoś ranka Alienor stała po jednej stronie krosna, podając przez nie szpulkę z białą nicią Georges'owi, który zaczął właśnie twarz damy ze *Wzroku*. Joseph i Thomas znajdowali się po drugiej stronie. Kiedy oparła się o krosno, każdy z obecnych mógł zobaczyć kształt jej brzucha. Nikt jednak tego nie dostrzegł poza Thomasem, który siedział blisko niej i szukał wymówki, by przerwać pracę.

— *Alors*, Pani Wełny — rzekł, naśladowując Nicolasa, choć bez jego wdzięku. — Widzę, że pięknie przytyłaś. Kiedy żniwa?

Nacisnęłam mocno pedały, tak że w całym warsztacie rozległ się ich stukot, ale hałas nie zdołał zagłuszyć jego słów. Kiedy moje krosna umilkły, w warsztacie zapanowała cisza.

Alienor upuściła szpulkę na osnowę i odsunęła się od krosna. Przycisnęła ręce do boków, ale to sprawiło, że suknia napięła się na jej brzuchu i jeśli ktoś nie rozumiał wcześniej Thomasa, teraz wiedział, o co mu chodziło.

Wydawało się, że mój mąż zrozumiał to ostatni. Kiedy Georges tka, zupełnie zatracą się w swojej pracy i trudno mu potem dojść do siebie. Patrzył na Alienor, ale minę miał taką jakby jej nie widział. A ona stała ze spuszczoną głową i rękami zaciśniętymi u boków. Kiedy w końcu to do niego dotarło, spojrzał na mnie, szukając potwierdzenia swoich domysłów. Zacisnęłam ponuro usta. Mój mąż wstał, ławka zaskrzypiała, Joseph i Thomas przesunęli się, żeby zrobić mu miejsce.

— Czy masz mi coś do powiedzenia, Alienor? — spytał cicho.

— Nie. — Głos Alienor był jeszcze cichszy.

— Kim jest ten mężczyzna? Cisza.

— Kto to?

Nie poruszyła się ani nic nie powiedziała. Wyglądała na załamana.

Georges przeszedł przez ławkę i jednym uderzeniem powalił ją na ziemię. Jak każda matka, Alienor chroniła dziecko, oto-

czywszy swój brzuch rękami. Głową uderzyła o ławkę. Wstałam ze swojej, chcąc wkroczyć między nich.

— Nie, Christine — powiedział Georges. Zatrzymałam się. Zdarza się, że matka nie może chronić swojego dziecka.

Usłyszeliśmy ruch w przejściu. Madeleine, która zaglądała do środka, teraz zniknęła. Po chwili zauważyłam, jak przebiegła pod oknami warsztatu.

Alienor usiadła. Z jej nosa płynęła krew. Być może widok tego szkarłatu spowodował, że Georges cofnął rękę. Wstała niepewnie i utykając, przeszła do ogródka.

Georges rozejrzał się po pokoju. Joseph i Thomas, i Georges Le Jeune, i Luc siedzieli rzędem jak sędziowie i patrzyli na niego.

— Wracajcie do pracy — powiedział.

Posłuchali go jeden po drugim i wkrótce ich głowy pochyliły się nad gobelinami.

Georges spojrział na mnie z rozpaczą. Skinęłam głową w stronę wnętrza domu, a on ruszył za mną. Stanęliśmy obok siebie przy palenisku, patrząc w ogień. Kiedy poczułam ciepło, zrozumiałam, jaki chłód panował w warsztacie.

— Jak sądzisz, kto jest ojcem? — spytał Georges.

Nie widział związku między zachowaniem Damy we *Wzroku* a tym, co zrobiła Alienor. Miałam nawet nadzieję, że go nigdy nie dostrzeże.

— Nie wiem — skłamałam.

— Może to sam Jacques Le Bceuf? — Georges szukał wyjścia z beznadziejnej sytuacji.

— Wiesz, że nie. Nigdy by tego z nim nie zrobiła.

— Co mamy począć, Christine? Jacques jej teraz nie zechce. Pewnie już nigdy nie będzie farbował dla nas wełny. A przecież zapłaciłem już za łóżko, i to jego pieniędzmi.

Pomyślałam o Alienor drżącej w Sablon, kiedy mówiła o Jacques'u Le Bceuf, i trochę nawet się ucieszyłam, że nie będzie z nim dzielić łoża, chociaż oczywiście nie mogłam tego powiedzieć.

Zanim zdążyłam coś mu odrzec, na zewnątrz rozległy się kroki i do kuchni weszła Madeleine oraz Philippe de la Tour. Westchnęłam—jeszcze jeden obcy świadek naszej hańby i poniżenia Alienor.

— Idź sobie — powiedział Georges, zanim Philippe zdołał otworzyć usta. — Jesteśmy zajęci.

Philippe nie zwrócił uwagi na te niegrzeczne słowa.

— Chciałem z wami porozmawiać — oznajmił, a potem nagle stracił rezon. Madeleine dźgnęła go w plecy. — O... o Alienor— podjął.

Georges zamknął na chwilę oczy i chrząknął.

— Więc już wszystkim o tym rozpowiadasz, co? — zwrócił się do Madeleine. — Może pójdziesz na rynek i wykrzyczysz to na cały głos? Albo sama pobiegiesz do Jacques'a Le Bceuf, żeby mógł sprawdzić, na jakie wariactwo się zdecydował?

Madeleine spojrzała na niego wilkiem.

— Wszyscy jesteście ślepi — powiedziała. — Czy nie widzicie, jak on ją kocha?

Popatrzyliśmy na nią ze zdziwieniem. Madeleine nigdy nie pyskuje. Czyżby mówiła o Jacques'u Le Bceuf? To nie jest człowiek, który by kogokolwiek kochał.

— Daj jej spokój, Georges, Madeleine chce dobrze — rzekł ze strachem Philippe. — Nie przyszedłem, żeby się z was naśmiewać. Ja po prostu... — Zatkanęło go ze strachu.

— O co więc chodzi? Na co mógłbyś nam się teraz przydać?

— Ja... ja jestem ojcem.

— Ty?

Philippe spojrzał na mnie dziko i od razu zrozumiałam. Patrząc mu w oczy, skinęłam lekko głową żeby mu dodać odwagi. Madeleine musi mieć rację — Philippe kocha Alienor. I teraz chciał jej pomóc —jej, ale i nam.

Philippe przełknął ślinę i wciąż na mnie patrzył, szukając wsparcia.

— Jestem ojcem i pragnę, by Alienor została moją żoną, jeśli mnie zechce.

Philippe de la Tour

Moja żona jest bardzo cicha. To nie takie złe — ciche kobiety mniej plotkują i rzadziej stają się tematem plotek.

Mimo to chciałbym, żeby więcej ze mną rozmawiała.

Nic nie mówiła w czasie ślubu — tylko odpowiadała na pytania księdza. Nigdy nie mówiła o swoim dziecku albo o Nicolasie. Nigdy mi nie podziękowała. Kiedyś powiedziałem, że cieszę się, że ją ocaliłem.

— Ocaliłam się sama — odparła i odwróciła się do mnie plecami.

Nie mieszkaliśmy wtedy z moimi rodzicami i nie przeniesiemy się tam aż do momentu ukończenia gobelinów. Jest tu potrzebna, by szyć w nocy, a nie leżeć ze mną. Mimo że klęczeliśmy przed księdzem w Sablon, nie robiliśmy jeszcze w łóżku tego, czego nauczyłem się w lecie od kurwy. Alienor była za gruba i nie miała na to ochoty. Wszystko we właściwym czasie, myślałem.

Kiedy Georges i Christine poszli do Jacques'a Le Bceuf, powiedzieli mi, żebym został u sąsiadów, aż będę bezpieczny. Odmówiłem, nie mogę się przed nim chować przez całe życie. Nigdy nie powiedzieli mi, jak przyjął wiadomość, że Alienor zostanie moją żoną ale parę dni później sam go spotkałem. Zauważył mnie po drugiej stronie rynku przy Place de la Chapelle, kiedy kupowałem orzechy, i ryknął. Miałem czas, żeby uciec, ale stałem i patrzyłem, jak naciera na mnie niczym byk. Powinienem się go

bać, ale myślałem tylko o krzywym uśmiechu Alienor. Do mnie uśmiechała się bardzo rzadko, a na pewno ani razu nie uśmiechnęłyby się do tego śmierdzącego brutala. Nawet kiedy do mnie biegł, cieszyłem się z tego, że ją ocaliłem.

Kiedy mnie uderzył, otoczyła mnie ciemność. Ocknąłem się, leżąc w śniegu — pierwszym tej zimy — z orzechami porzrzucanymi dookoła. Jacques Le Bceuf stał nade mną. Patrzyłem na wysokie, bogato zdobione okna Chapelle, które majaczyły za nim, i zastanawiałem się, czy mnie zabije. Ale tak naprawdę jest to prostak, który ma też proste potrzeby. Wystarczyło mu, że powalił mnie jednym ciosem. Pochylił się jeszcze i warknął:

— Więc bierz ją sobie. Co za pożytek ze ślepej żony? Ożenię się z kuzynką, która bardziej mi się przyda.

Nie chciałem się z nim spierać. Zresztą i tak bym nie mógł — smród sprawił, że znowu otoczyła mnie ciemność. Kiedy ponownie się ocknąłem, już sobie poszedł, a jacyś ludzie nieśli mnie rue Haute do domu Georges'a. Sama Alienor przemyśla moje siniaki, trzymając moją głowę na podołku, przy swoim wielkim brzuchu. Nic nie odpowiedziała, kiedy spytałem, co się stało. Dopiero kiedy chciałem wiedzieć, co za roślinę ma w wodzie, odparła:

— Werbenę.

To było tylko jedno słowo, ale w moich uszach zabrzmiało jak muzyka.

Jacques Le Bceuf dał mi potem spokój, ale nalegał, żeby Georges zapłacił mu za ostatnią część niebieskiej wełny, bo inaczej jej nie dostarczy. Georges dał już jego pieniądze cieśli na łóżko, które miało się znaleźć w posagu Alienor. Mogłem mu pomóc — mój pierwszy dobry uczynek jako jego zięcia. Mam kuzynkę, która niedługo będzie wychodzić za mąż, i przekonałem jej rodziców, żeby kupili jej łóżko z kasztana, więc w ten sposób Georges mógł odzyskać swoje pieniądze. Alienor i ja możemy zaczekać na łóżko.

Ta sprawa poprawiła nasze stosunki z Georges'em — chociaż czasami widzę, jak patrzy na mnie niechętnie. A może jest

tylko zdziwiony, jak mogłem być sam z Alienor bez jego wiedzy i po co to zrobiłem. Kiedyś mi ufał, a teraz sam nie wiedział, co myśleć. Zaakceptował mnie jako zięcia, ale zamiast przyjąć do rodziny, był chłodny i niespokojny.

Georges Le Jeune również zachowywał się dziwnie i traktował mnie nieco mniej przyjaźnie, chociaż byliśmy teraz braćmi. Thomas i Luc lubili naśmiewać się ze mnie lub się ze mną drażnić, co wcale mnie nie dziwiło. Przynajmniej dali spokój Alienor. Nikt jej niczego nie wyrzucał.

Łatwiej mi było to znosić, ponieważ Christine traktowała mnie dobrze. Od razu przyjęła mnie do rodziny, więc inni musieli powstrzymać swoją niechęć. Nikt nie zgadł, co tak naprawdę się stało — chociaż tuż przed nosem mieli klucz do tej zagadki. Są dobrymi tkaczami, ale byli za bardzo pochłonięci pracą żeby coś zrozumieć. Nigdy nie wspominali Nicolasa — założyli, że to ja jestem jednorożcem. Tak było łatwiej.

Poza tym brakowało czasu na podobne rozważania, bo zbliżał się termin ukończenia *Wzroku* i *Słuchu*. Dni stały się krótkie i ciemne. Czasami wydawało się, że dzwony Chapelle tylko co zadzwoniły na rozpoczęcie pracy, a już dzwoniły ponownie, by zaraz ją zakończyć. Brakowało czasu na tkanie, a zimno wcale nie pomagało w pracy. Warsztaty tkackie są szczególnie zimne, bo trzeba zostawiać w nich otwarte okna i drzwi, aby zyskać więcej światła, i nie pali się w nich ognia z obawy przed pożarem. Wiele warsztatów zamyka się lub ogranicza pracę w najchłodniejszych miesiącach, ale Georges nie mógł tego zrobić. Chociaż mieliśmy dopiero adwent, zrobiło się tak zimno jak po Trzech Królach. Madeleine ustawiała wiadra z węglem pod stopami tkaczy, ale niewiele to pomagało. Tkacze nie mogli też mieć ciężkich ubrań na ramionach i rękach, bo przeszkadzałoby im to w pracy. Na dłoniach nosili rękawiczki bez palców, które Christine zrobiła z dodatkowej wełny, ale i tak mieli poodmrażane koniuszki.

Zwłaszcza Georges źle znosił te krótkie dni. Miesiące trosk o pracę wycisnęły na nim swoje piętno. Cienie pod jego coraz

bardziej przekrwionymi oczami robiły się większe i większe. Wydawało się, że osiwiął w ciągu jednej nocy. Zaczął się garbić i prawie nie mówił, a kiedy już się odezwał, to bez odrobiny radości w głosie. Christine nie pozwalała mu pracować w niedziele, ale był tak zmęczony, że zasypiał w czasie mszy w Sablon. Nikt nie próbował go budzić, nawet gdy powinien był wstać lub klęknąć. Ksiądz nic nie mówił. Podobnie jak inni wiedział, że warsztat ma problemy.

Chodziłem prawie codziennie do warsztatu, żeby pomagać. Nie miałem nic innego do roboty — *lissiers* rzadko mają jakieś zamówienie w zimie, kiedy nikt tu nie przyjeżdża z Paryża czy innych miast. Poza tym chciałem tam być, choćby po to, by znaleźć się bliżej żony. Alienor pomagała Madeleine lub zszywała gobeliny, kiedy było dla niej trochę miejsca. Ale przez większą część czasu byliśmy jak koty, które krążą po uliczkach w poszukiwaniu odpadków, którymi mogłyby się zająć. Bolało mnie, że inni pracują tak ciężko, a ja nie jestem w stanie im pomóc. Zazdrościłem Christine jej zajęcia, chociaż wciąż szokowało mnie to, że tka gobeliny, które mają być przyjęte przez cech. Oczywiście nic o tym nie mówiłem. Należałem przecież do rodziny i musiałem dochowywać rodzinnych tajemnic.

Na Boże Narodzenie mieliśmy małą uroczystość. Zjedliśmy wieczerzę wigilijną chociaż jedzenie było kiepskie i w niewielkich ilościach — brakowało pieniędzy na mięso, ciasto czy wino. Tylko Joseph i Thomas nie pracowali na św. Szczepana. Christine poszła na mszę na Świętych Młodzianków i nalegała, by wszyscy wybrali się do Sablon na Trzech Króli, ale później pracowaliśmy, a nie świętowali. Nawet Joseph i Thomas nie wyszli na ulice, żeby dołączyć do rozradowanych tłumów, gdyż kończyli już *Dotyk* i chcieli mieć to za sobą.

Wysforowali się przed innych tkaczy — chociaż nie były to zawody i nie mieliśmy zwycięzców — z powodu problemów ze *Wzrokiem*. Któregoś dnia Georges spojrzął na gobelin tkany przez Christine i zmarszczył brwi, widząc część dębu.

— Opuściłaś kawałek gałęzi — powiedział. — Widzisz, tu

się kończy, a tu znowu zaczyna. Tam, gdzie powinno być drewno, są liście.

Christine patrzyła na to, co zrobiła. Inni tkacze milczeli. Georges Le Jeune też podszedł, żeby popatrzeć.

— Czy to ma jakieś znaczenie? — spytał, spoglądając na liście. — Nikt tego nawet nie zauważy.

Georges łypnął na niego, a potem powiedział:

— Przesuń się.

Christine podeszła do stojącej przy wrzecionie Alienor i zaczęła płakać, kiedy Georges zabrał się do prucia gobelinu. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby płakała.

— *Bonjour!*

Wszyscy odwróciliśmy się, by spojrzeć na głowę, która pojawiła się w oknie warsztatu. To był inny *lissier*, Rogier Le Brun, który sprawdzał warsztat w imieniu cechu. Georges również odwiedzał niespodziewanie inne warsztaty — w ten sposób cech wiedział, że wszyscy *lissiers* trzymają się zasad i że brukselskie gobeliny mają odpowiednią jakość.

Nie miałem pojęcia, od jak dawna Rogier Le Brun nas obserwował. Jeśli widział Christine przy pracy, mogło to oznaczać kłopoty. Z pewnością widział, jak płakała, i zastanawiał się, dlaczego. Wszyscy o tym myśleliśmy, kiedy Christine wytarła oczy rękawem i podeszła do męża, by powitać tkacza.

— Oczywiście napijiesz się piwa i mamy jeszcze korzenne ciasteczka z Trzech Króli. Madeleine! — zawołała, przechodząc w głąb domu.

Rogier Le Brun protestował słabo. Musiał wiedzieć, jaka tu panuje nędza. Ciasteczka podarowała nam współczująca sąsiadka.

— Madeleine wyszła — szepnąłem do Alienor, która szybko podała mi wełnę, którą nawijała, i poszła pomóc matce.

Rogier Le Brun patrzył za nią koncentrując się na wypiętym brzuchu. Kiedy wyszła, przyglądał mi się przez chwilę, zastanawiając się, jak ktoś tak nieśmiały jak ja zdołał tego dokonać. Aż poczerwieniałem ze wstydu.

— Prujesz gobelin, co? — powiedział Rogier Le Brun, od-

wracając się do dębu, którym zajmował się Georges. — Jak zwykle ci czeladnicy, mm?

Uderzył lekko Luca w głowę. Ten spojrział na niego złym wzrokiem, ale na szczęście nic nie powiedział. To mądry chłopak i wie, kiedy być cicho. Rogier Le Brun zmrużył oczy i ponownie zwrócił się do Georges'a.

— Współczuję ci, nie ma nic gorszego dla *lissier* niż niszczenie pracy. Ale na takich gobelinach wszystko musi się zgadzać, co? Nie powinieneś mieć tu tkaczy, którzy nie potrafią tkać. Przecież cech może nie przyjąć gobelinów z wadami, co?

W warsztacie zapanowała cisza.

— Luc zrobił tylko parę błędów — mruknął Georges.

— Jasne, że niewiele. Jestem pewny, że dobrze go przyuczyłeś. Ale to oznacza opóźnienie, *n'est-ce pas*? Właśnie teraz, gdy tak bardzo potrzeba ci czasu. Na kiedy musisz zrobić te gobeliny?

— Na Gromniczną.

— Na Gromniczną? Jak możesz je skończyć w tym terminie?

Zanim Georges zdążył odpowiedzieć, w drzwiach pojawiła się Christine z kuflami piwa.

— Nie przejmuj się nami, Rogier — wtrąciła. — Poradzimy sobie. Popatrz, drugi gobelin jest prawie skończony, a wtedy wszyscy zajmiemy się tym pierwszym.

— Może za dodatkową opłatą — prychnął Thomas. Rogier Le Brun prawie nie słuchał. Widziałem, że stara się

ocenić pozostałą pracę oraz liczbę tkaczy — czy zaliczał do nich Christine? — i pozostały czas. Wszyscy czekaliśmy, aż skończy. Ławka, na której siedzieli tkacze, zaskrzypiała, kiedy się poruszyli. Przystałem z nogi na nogę. Mimo zimna z brwi Georges'a ściekał pot.

Christine założyła ręce na piersi.

— Poradzimy sobie — powtórzyła. — Tak jak ty, kiedy Georges przyjdzie do ciebie z wizytą w imieniu cechu. — Uśmiechnęła się do niego.

Po tych słowach nastąpiła krótka przerwa. Rogier Le Brun musiał przypomnieć sobie, że członkowie cechu powinni sobie pomagać. Spojrzał na nią widziałem, jak jego grdyka poruszyła się, kiedy przetykał ślinę.

Po chwili pojawiła się Alienor i podeszła do niego lekko.

— Proszę, spróbuj, *Monsieur*. — Podsunęła mu tacę z ciasteczkami.

Rogier Le Brun zaśmiał się przy tych słowach.

— Możesz mieć problemy w warsztacie, ale kobiety ci to wynagradzają! — powiedział i ugryzł ciastko.

Kiedy sobie poszedł, Georges i Christine spojrzeli po sobie.

— Georges, chyba sam święty Maurycy nas strzegł — rzekła, potrząsając głową. — Gdybym nie zrobiła źle tego dębu, cały czas siedziałabym przy krosnach. A gdyby mnie na tym przyłapał, nie mogłby udawać, że niczego nie widzi.

Georges uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu tygodni. To było tak, jakby lód zaczął ustępować po długiej zimie — jakby ustąpił zły czar. Chłopcy roześmiali się i zaczęli przedrzeźniać Rogi era, a Christine przyniosła więcej piwa. A ja podeszedłem do Alienor i ucałowałem ją w czoło. Nie opuściła głowy, ale się uśmiechnęła.

Tkacze skończyli *Dotyk* na dwa tygodnie przed Gromniczną. Odcinanie gobelinu nie było wielką ceremonią która spodobałaby się Georges'owi Le Jeune, Josephowi i Thomasowi, ale szybką i powierzchowną czynnością. Kiedy wreszcie odwinęto i odwrócono materiał, Georges skinął głową w uznaniu roboty, ale jego myśli biegły tam, gdzie palce, a palce w stronę warsztatu. Jednak Christine zauważyła ich rozczarowanie i po jej interwencji Georges dał im ostatnie *sous*, żeby sobie wypili w gospodzie.

Georges Le Jeune dołączył do ojca i Luca przy krośnie ze *Wzrokiem*, a Christine przesiadła się, żeby zrobić brzeg *Dotyku*. Obie z Alienor włożyły nici osnowy pod spód, a następnie zaczęły przyszywać paski utkane z brązowej wełny na końcach

gobelinów. Gdy tak siedziałem obok Alienor, patrząc na nią i na Christine, powiedziałem nagle:

— Pokażcie mi, jak to się robi.

Christine zachichotała, a Alienor zmarszczyła brwi.

— Po co? Przecież jesteś malarzem, a nie kobietą.

— Chcę wam pomóc. — Jesteś moją żoną i będę przy tobie — pragnąłem powiedzieć.

— Czemu nie poszukasz sobie innej pracy? I wtedy wpadł mi do głowy pewien pomysł.

— Jeśli pokażesz mi, jak to robić, Christine będzie mogła pracować przy tkaniu.

Christine spojrzała na Georges'a. Ten po chwili skinął głową.

— Dobrze — powiedziała, wbijając igłę w wełnę. — Alienor ci pokaże.

— *Maman* — odezwała się Alienor. Wydawała się rozdrażniona.

Christine spojrzała na nią.

— Przecież to twój mąż. Powinnaś się do tego przyzwyczaić i być wdzięczna. Pomyśl o tym, co cię czekało.

Alienor pochyliła głowę. Christine uśmiechnęła się do mnie lekko, a ja podziękowałem jej wzrokiem.

Alienor nie pozwoliła mi od razu obrębiać gobelinu, tylko kazała mi ćwiczyć na kawałku materiału. Szycie wydawało mi się łatwe, ale moje szwy nie były tak proste jak jej, a poza tym bez przerwy kłułem się w palce, aż Alienor wybuchnęła śmiechem.

— Mamo, nigdy nie skończymy tego gobelinu, jeśli Philippe będzie ze mną pracował. Bo albo będę musiała spruć jego pracę, albo zakrwawi wszystko dookoła.

— Daj mu szansę — powiedziała Christine, nie podnosząc głowy. — Zobaczysz, że cię zaskoczy.

Po całym dniu prób zacząłem szyć lepiej i Alienor pozwoliła mi w końcu zająć się obrębianiem, chociaż byłem znacznie wolniejszy niż ona. Na początku nie mówiliśmy za dużo przy pracy, ale spędzone razem godziny wyraźnie nam pomogły. Cisza zawsze działa na nią kojąco. A potem zaczęliśmy powoli rozma-

wiać — o zimnie i brzegu, który szyliśmy, albo marynowanych orzechach włoskich, które jedliśmy na obiad. O drobiazgach.

Prawie skończyliśmy już obrębianie, kiedy odważyłem się zapytać o coś poważniejszego. Spojrzałem na jej wielki brzuch, z którego korzystała jak ze stołu, naciągnawszy na niego gobelin.

— Jak nazwiemy dziecko? — spytałem cicho, żeby inni nas nie słyszeli.

Alienor zastygła z igłą nad materiałem. Ponieważ jej oczy są martwe, trudno powiedzieć, o czym tak naprawdę myśli. Trzeba wsłuchać się w jej głos. Czekałem bardzo długo. Kiedy w końcu się odezwała, jego ton nie był tak smutny, jak się spodziewałem.

— Etienne, po twoim ojcu. Albo Tiennette, jeśli to będzie dziewczynka.

Uśmiechnąłem się.

— *Merci*, Alienor.

Moja żona wzruszyła ramionami. Mimo to nie zabrała się znowu do szycia. Wbiła igłę w szew i tam ją zostawiła. Następnie obróciła się w moją stronę.

— Chciałabym poczuć twoją twarz, żeby wiedzieć, jaki jest mój mąż.

Pochyliłem się i położyłem jej dłonie na moich policzkach. Zaczęła trzeć i ścisnąć całą moją twarz.

— Masz spiczastą brodę jak mój kot! — wykrzyknęła. Alienor lubi swojego kota — widywałem, jak godzinami siedziała, trzymając go na kolanach i głaskając.

— Tak — odparłem. — Jak twój kot.

Na tydzień przed Gromniczną Georges skończył ostatni zakręt lwiego ogona. Na trzy dni przed świętem Christine i Luc dotarli do brzegu gobelinu. Georges wciąż pracował nad królikiem — to była jego sygnatura: królik trzymający łapkę przy pyszczku — a Georges Le Jeune kończył ogon psa. Alienor dosiadała się do ojca i brata, żeby zaszywać szpary, chociaż brzuch miała tak wielki, że od gobelinu dzieliła ją spora odległość. Kiedy tak na nią patrzyłem, przerwała pracę i marszcząc brwi, przycisnęła

dłonie do brzucha. Powtórzyła to parę minut później i zrozumiałem, że zbliża się poród.

Skoro jednak o tym nie powiedziała, nie chciała, żebym sam o tym mówił. Odciągnąłem więc Christine na bok i wykonałem gest w stronę Aliénor.

— Myślałam, że to będzie za parę tygodni, to wczesny poród — zauważyła.

— Czy nie powinna się położyć? — spytałem. Christine potrząsnęła głową.

— Jeszcze nie. Jeszcze się wyleży. To może potrwać nawet parę dni. Pozwólmy jej pracować, jeśli tego chce. To jej pozwoli zapomnieć o bólu.

Więc Aliénor szła tego dnia przez wiele godzin, długo po tym, jak zrobiło się ciemno i tkacze przerwali pracę. Szła nawet, kiedy wszyscy zasnęli. Ja czuwałem, wsłuchując się, jak przesuwa się i tężeje na ławce. W końcu późno w nocy jęknęła:

— Philippe, zawołaj mamę.

Położyli ją do łóżka w głębi domu, a Georges przeszedł na siennik w warsztacie. Rano Christine posłała Luca po akuszerkę. Wkrótce przybiegł do warsztatu.

— W mieście są żołnierze Jeana le Viste! — krzyknął. — Słyszałem o tym na ulicy. Poszli do cechu na Grande Place, żeby o ciebie zapytać.

Georges i Georges Le Jeune unieśli głowy znad pracy.

— Przecież Gromniczej dopiero za dwa dni — powiedział Georges. Spojrzał na swoje ręce. — Skończymy już dzisiaj, ale zostanie obrębienie, a kobiety są zajęte. — Popatrzył w stronę wnętrza domu, gdzie rozległ się długi jęk, który przeszedł w krzyk.

— Ja mogę to zrobić — rzekłem szybko, zadowolony, że w końcu mogę się przydać.

Georges spojrzał na mnie.

— *Bon* — powiedział.

Po raz pierwszy od ślubu poczułem, że na coś się przydam w tym warsztacie.

— Nie przejmuj się, chłopcze — Georges zwrócił się do Luca, który przestępował z nogi na nogę. — Żołnierze zaczekają. *Tiens*, idź do Josepha i Thomasa i zaproś ich dziś na wieczór na wycinanie. Na pewno chcą tu być. Nie możemy czekać na kobiety. — Jeszcze jeden jęk spowodował, że obaj z Georges'em Le Jeune pochylili głowy nad pracą, a Luc wybiegł z warsztatu.

Kiedy wycinaliśmy *Wzrok* z krosien, już wrzeszczała. Jest to zwykle radosna czynność, ale jej wrzaski spowodowały, że bardzo się spieszyliśmy. Dopiero kiedy obróciliśmy gobelin i zobaczyliśmy go po raz pierwszy, zdołałem zapomnieć o krzykach Aliénor.

Georges spojrzął na niego i zaczął się śmiać. Sprawiał wrażenie człowieka, który miesiącami wstrzymywał oddech i w końcu mógł go wypuścić. Kiedy Georges Le Jeune, Luc i Thomas poklepywali się po plecach, on śmiał się i śmiał, a Joseph do niego dołączył. Śmiali się tak bardzo, że musieli się nawzajem podpierać, a łzy wprost lały im się z oczu. To była dziwna reakcja po tak długiej podróży, ale ja też zacząłem się śmiać. Odbyliśmy rzeczywiście długą podróż.

Aliénor znowu wrzasnęła i wszyscy umilkli. Georges otarł oczy, spojrzął na mnie i powiedział:

— Będziemy w Le Vieux Chien. Daj mi znać, gdyby pojawiło się dziecko albo żołnierze — co tam będzie pierwsze.

A potem po prawie dwóch latach pracy, z powodu której osiwiiał, przygarbił się i zaczął niedowidzieć, ten *lissier* odszedł od gobelinu, nawet się nie oglądając. Myślę, że zrobił to z przyjemnością.

Kiedy odeszli, przez dłuższy czas przyglądałem się *Wzrokowi*. Dama siedzi, a jednorożec opiera się o jej podolek. Można by pomyśleć, że się kochają. Być może jest tak w istocie. Ale Dama trzyma zwierciadło, a jednorożec równie dobrze może wpatrywać się pełnym miłości wzrokiem nie w nią ale w siebie. Dama patrzy krzywo i ma ciężkie powieki. Jej uśmiech jest pełen żalu. Być może nawet go nie widzi.

Tak właśnie myślę.

Cieszyłem się z tego, że Georges powierzył mi obrębianie. Wybrałem pasek z brązowej wełny, igłę i nić i ostrożnie założyłem nici osnowy pod spód, tak jak robiły to Christine i Alie-nor. Później usiadłem przy oknie i zacząłem szycie. Robiłem to wolno, jakbym liczył włosy na główce śpiącego dziecka. Za każdym razem, gdy Alienor krzyczała, zgrzytałem zębami i musiałem zaczekać, aż przestaną mi drżeć dłonie.

Obszyłem połowę jednej strony, kiedy wrzaski umilkły. Odłożyłem igłę i czekałem, siedząc. Chociaż powinienem był się modlić, nawet na to za bardzo się bałem.

W końcu w drzwiach pojawiła się Christine z białym tobołkiem w ramionach. Uśmiechnęła się do mnie.

— Alienor? — spytałem.

Christine roześmiała się na widok mojej miny.

— Nic jej nie jest. Wszystkie kobiety tak krzyczą. Na tym polega rodzenie. Ale powinieneś się dowiedzieć, że mamy tu nowego tkacza.

Podniosła wnuka do góry. Miał zgniecioną czerwoną twarz i był łysy.

Chrząknąłem i wyciągnąłem ramiona do Etienne'a.

— Zapomniałaś, kto jest jego ojcem — powiedziałem. — Na pewno będzie malarzem.

V

PARYŻ

Siedemdziesiątnica 1492

Nicolas des Innocents

Nigdy nie lubiłem tygodni przed Wielkim Postem. Jest teraz zimno i trwa to zdecydowanie zbyt długo — chłód wdarł się do każdego zakamarka mego ciała. Mam już dosyć odmrożeń, kości skrzypiących przy każdym ruchu i tego, jak się spinam, bo gdybym się odprężył, zrobiłoby mi się jeszcze zimniej. Mam mało jedzenia i zostały mi same kiepskie rzeczy — marynowane i solone, suszone i twarde. Tęsknię za świeżą sałatą, dziczyzną, za śliwkami i truskawkami.

Nie pracuję zbyt długo w czasie Siedemdziesiątnicy — ręce mi zeszywniały z zimna i nie mogę utrzymać pędzla. Nie szukam też kobiet, żeby sobie dogodzić. Czekam. Wolę już Wielki Post z jego wszystkimi rygorami. Przynajmniej z każdym dniem robi się cieplej i jaśniej, chociaż wciąż brakuje jedzenia.

Któregoś nieprzyjemnego ranka, kiedy drżałem pod wieloma przykryciami, zastanawiając się, czy w ogóle wstawać, dostałem wiadomość, że Leon Le Vieux czeka na mnie w Saint-Germain-des-Pres. Nie chodziłem tam teraz, bo bałem się zobaczyć Genevieve de Nanterre. Nie żebym był strachliwy, ale też nie miałem nadziei, że spotkam tam jej córkę. Mój przyjaciel, który szpiegował dla mnie przy rue du Four — nie śmiałem się tam pokazywać — powiedział, że Claude odesłano gdzieś w lecie i że nikt ze służby nie wie gdzie. Beatrice również zniknęła.

Włożyłem na siebie wszystko, co miałem, i pospieszyłem na południe, przechodząc Ponts au Change i St Michel przez zamarz-

niętą Sekwanę. Nie zatrzymałem się przy Notre Dame — nawet na to było za zimno. Kiedy dotarłem do Saint-Germain-des-Prés, rozejrzałem się ostrożnie po wnętrzu kościoła, zastanawiając się, czy nie znajdę tu klęczącej Genevieve de Nanterre. Jednak nikogo nie zauważyłem — jedna msza się skończyła, druga nie zaczęła, a było zbyt zimno, by tu po prostu siedzieć.

W końcu odnalazłem Léona w pobielonym klasztornym ogródku. Niewiele tu rosło o tej porze roku, chociaż było tam parę przebiśniegów i innych pędów, które wyrzwały spod błota. Nie wiedziałem, co z nich będzie. Alienor mówiła mi o roślinach, ale potrzebowałem więcej niż pędu, żeby wiedzieć, co z tego wyrośnie.

Léon Le Vieux chodzi w zimie z laską którą pomaga sobie na śniegu i lodzie. Teraz dotykał nią krzaczków lawendy i rozmarynu. Spojrzał w górę.

— Zawsze mnie dziwi, jak wytrzymałe są te rośliny. Żyją choć inne już dawno umarły. — Zerwał parę liści z krzaczków, a potem roztarł je między palcami i uniósł palce do nosa. — Oczywiście nie pachną teraz tak słodko, to przychodzi wraz ze słońcem i ciepłem.

— To też zależy od ogródka, *n'est-ce pas?*

— Możliwe. — Léon Le Vieux wyrzucił listki i obrócił się do mnie. — Dotarli już do nas gobeliny Jeana Le Viste.

Słyszając to, poczułem nagłą radość.

— Więc Georges jednak skończył je na Gromniczną! Widziałeś go?

Léon Le Vieux potrząsnął głową.

— Odmówiłbym podróży w zimie po takich drogach, nawet gdyby sam Król mnie o to poprosił. W moim wieku powinienem siedzieć przy ogniu, a nie jechać przez śnieg i błoto, żeby sprowadzić je do Paryża. Chcę umrzeć we własnym łóżku, a nie w jakiejś przydrożnej gospodzie. Nie, wysłałem po nie żołnierzy i prosiłem znajomego kupca z Brukseli, by sprawdził ich jakość. No i musiał je też przyjąć cech tkaczy — to ważna sprawa.

— Widziałeś je już? Jak wyglądają?

Léon Le Vieux skinął kijem i ruszył w stronę prowadzącej na zewnątrz bramy.

— Chodź na rue du Four, a sam zobaczysz.

— Czy jestem zaproszony?

— *Monseigneur Le Viste* kazał je zawiesić i chce sprawdzić, czy są na odpowiedniej wysokości. — Spojrzał przez ramię i dodał: — *Tiens*, zachowuj się tam poprawnie. — I zaśmiał się.

Nawet w najbardziej pijanym widzie pod Le Coq d'Or nie śmiałem marzyć, że tak łatwo przejdę przez drzwi domu Claude Le Viste. Jednak to właśnie się stało, a skwaszony zarządca wpuścił nas do środka. Gdybym nie był z Léonem Le Vieux, zapłaciłby mi za razy, które od niego dostałem. Ale mogłem tylko pójść za nim potulnie do Sali Paradnej, gdzie nas zostawił, żeby poszukać pana.

Stałem na środku komnaty z Leonem Le Vieux u boku i patrzyłem to na jedną Damę, to na drugą starając się objąć je wszystkie wzrokiem. Patrzyłem dłużej niż kiedykolwiek na cokolwiek. Léon też stał spokojnie i cicho. Czułem się tak, jakby zakłęto mnie w jakimś śnie. I nie wiedziałem, czy chcę się obudzić.

Kiedy Léon w końcu przestąpił z nogi na nogę, otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale po prostu zacząłem się śmiać. Nie takiej reakcji się spodziewałem. Myślałem: „Jak mogłem się martwić lwami podobnymi do psów, tłustymi jednorożcami i pomarańczami, które wyglądają jak orzechy włoskie, kiedy są tutaj te Damy?” Wszystkie były piękne, spokojne i zadowolone. A kiedy człowiek między nimi stał, czuł, że jest częścią ich magicznego, błogosławionego życia. Który jednorożec mógłby się im oprzeć?

Nie tylko Damy robiły tak olbrzymie wrażenie, ale również *millefleurs*. Jeśli nawet projekty miały jakieś wady, ginęły one w tym niebiesko-czerwonym kwietnym polu. Nawet w ten zimny i ciemny dzień w Paryżu czułem się tu tak, jakbym stał na ukwieczonej, letniej łące. To *millefleurs* scalały wszystkie gobeliny, powodując, że Damy, jednorożce, lwy i służące oraz ja tworzyliśmy jedność w tej komnacie. Czułem, że do nich należę.

— Co o tym sądzisz? — spytał Léon.

— Wspaniale. Nawet nie przypuszczałem, że tak potrafię je zrobić.
Leon zaśmiał się.

— Widzę, że duma wciąż cię rozpiera. Ale pamiętaj, że nie sam je zrobiłeś. Georges i jego pracownicy zasługują na najwyższą pochwałę. — Léon Le Vieux lubił mówić takie rzeczy.

— Georges na pewno dobrze na nich zarobi. Léon pokręcił głową.

— Nie, nie stanie się dzięki nim bogaty — Jean Le Viste trzyma sakiewkę mocno zamkniętą. A z tego, co słyszałem, Georges nie przyjmie szybko nowego zamówienia. Znajomy kupiec z Brukseli mówił mi, że albo jest pijany, albo śpi. Gorzej też widzi. To ten malarz od kartonów pomógł Christine obrębić ostatni gobelin — Georges był pijany, a jej córka właśnie urodziła dziecko. — Zmrużył oczy i spojrzał na mnie. — Wiedziałaś o tym?

Wzruszyłem ramionami, chociaż jednocześnie uśmiechnąłem się do siebie — Alienor dostała to, czego chciała.

— Od maja nie byłem w Brukseli. Skąd miałbym wiedzieć?

— Nie byłeś tam dziewięć miesięcy, co? — Léon Le Vieux potrząsnął głową — Nie szkodzi, wyszła za mąż za tego malarza.

— O. — Zdziwiłem się bardziej, niż dałem po sobie poznać. Więc Philippe nie był tak nieśmiały w stosunku do kobiet, jak sądziłem. Na pewno pomogła mu ta noc z kurwą. Cóż, cieszyłem się z powodu Alienor. Philippe to dobry człowiek i w niczym nie przypomina Jacques'a Le Bceuf. — *Tiens*, nie powiedziałaś, co myślisz o gobelinach. Przecież chciałaś, żeby kobiety były prawdziwe. Czy zmieniłaś zdanie z moje... naszego powodu. Mojego, Georges'a i Philippe'a?

Léon raz jeszcze rozejrzał się po komnacie i z lekkim uśmiechem wzruszył ramionami.

— Jest w nich coś, czego wcześniej nie widziałem ani nie czułem. Stworzyłeś dla nich cały świat, chociaż nie jest to nasz świat.

— Czy cię kuszą?

— Te Damy? *Non*. Zaśmiałem się krótko.

— Więc nie udało nam się ciebie nawrócić. Damy nie są tak potężne, jak myślałem.

Usłyszeliśmy jakieś hałasy na zewnątrz i po chwili do Sali Paradnej weszli Jean Le Viste i Genevieve de Nanterre. Skłoniłem się szybko, by ukryć zdziwienie. Nie spodziewałem się, że ją zobaczę. Kiedy uniosłem głowę, uśmiechała się do mnie tak, jak tego dnia, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy i kiedy po raz pierwszy flirtowałem z Claude — uśmiechała się, jakby doskonale wiedziała, o czym myślę.

— *Alors*, co o tym sądzisz, malarzu? — spytał Jean Le Viste. Zacząłem się zastanawiać, czy nie zapomniał, jak się nazywam. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodał: — Czy powiesiliśmy je na dobrej wysokości? Wydaje mi się, że powinny być jeszcze na długość ramienia wyżej, ale Léon twierdzi, że tak jest świetnie.

Równie dobrze mógłbym się nie odzywać, bo zrozumiałem, że nie chce mówić o pięknie gobelinów czy umiejętnościach tkaczy, ale o tym, jak zdobiją jego komnatę. Przez chwilę patrzyłem na gobeliny. Między nimi a podłogą została wolna przestrzeń na długość ręki. To powodowało, że damy znajdowały się tuż nad nami. Gdyby znalazły się wyżej, zaczęłyby nad nami górować.

Obróciłem się do Genevieve de Nanterre.

— Co sądzisz, *Madame*? Czy Damy powinny być wyżej?

— Nie — odparła. — To nie jest konieczne. Skinąłem głową.

— Sądzę, *Monseigneur*, że komnata wygląda teraz najładniej. Jean Le Viste wzruszył ramionami.

— Niedługo nam się to przyda. — Odwrócił się, żeby odejść. Nie mogłem oprzeć się pokusie.

— Przepraszam, *Monseigneur*, który gobelin uważasz za najładniejszy?

Jean Le Viste zatrzymał się i rozejrzał dookoła, jakby dopiero teraz zrozumiał, że gobeliny się ogląda. Zmarszczył brwi.

— Ten. — Wskazał *Słuch*. — Flaga jest bardzo ładna, a lew wygląda dostojnie. Chodźmy — zwrócił się do Léona Le Vieux.

— Zostanę tu na chwilę, żeby porozmawiać z Nicolasem des Innocents — oznajmiła Genevieve de Nanterre.

Jean Le Viste sprawiał wrażenie, jakby w ogóle jej nie słyszał. Podszedł do drzwi, a Léon Le Vieux za nim. Starzec spojrział jeszcze na mnie przed wyjściem, jakby chciał przypomnieć mi o tym, że mam się odpowiednio zachowywać. Uśmiechnąłem się, myśląc o tym. To nie była odpowiednia kobieta na takie figle.

Kiedy odeszli, Genevieve de Nanterre zaśmiała się lekko.

— Mój mąż nie ma ulubionego gobelinu. Wybrał najbliższy, zauważyłeś? I to wcale nie najpiękniejszy — ręce Damy nie wyglądają dobrze, a obrus ma zbyt prosty i niezbyt ładny wzór.

Najwidoczniej obejrzała sobie dobrze je wszystkie. Przynajmniej nie powiedziała, że jednorozec jest gruby.

— A który tobie się najbardziej podoba, *Madame*”?

— Ten. — Wskazała. Zdziwiłem się, że wybrała *Dotyk*. Myślałem raczej, że wybierze *A mon seul désir*. W końcu to ją przedstawiał.

— Dlaczego właśnie ten, *Madame*”?

— Ta Dama jest bardzo czysta — ma czystą duszę. Stoi w progu, między starym a nowym życiem, i jest szczęśliwa, patrząc w przyszłość. Ona wie, co się z nią stanie.

Przypomniałem sobie, co spowodowało, że namalowałem ją w ten sposób — Christine stała w drzwiach warsztatu zadowolona, że będzie mogła tkąć. Na tyle różniło się to od tego, co powiedziała Genevieve de Nanterre, że musiałem się powstrzymać, żeby jej nie poprawić.

— A co sądzisz o tej, *Madame*”? — Wskazałem Damę w *A mon seul désir*. — Czy ona też nie opuszcza jednego świata dla innego?

Geneviève de Nanterre milczała.

— Namalowałem ją specjalnie dla ciebie, *Madame*, tak by gobeliny nie dotyczyły jedynie uwiedzenia, ale też duszy. Czy

widzisz, że można zacząć od Damy wkładającej naszyjnik, by następnie uwieść jednoroźca na kolejnych płótnach? Albo odwrócić ten porządek, a wówczas Dama będzie się po kolei żegnała z poszczególnymi zmysłami, aż skończy się na tym, gdzie odkłada naszyjnik — i żegna się z fizycznością życia. Czy rozumiesz, że zrobiłem to dla ciebie, pani? Jeśli Dama tak właśnie trzyma klejnoty, nie wiemy, czy je wkłada, czy zdejmuje. Może robić i to, i to. Oto sekret, który przeznaczyłem dla ciebie, *Madame*.

Genevieve de Nanterre potrząsnęła głową.

— Ta Dama wygląda tak, jakby nie wiedziała, co woli — uwiedzenie czy duszę. Ja już zdecydowałam i chciałabym, żeby ona też to zrobiła. *Tiens*, to lepiej, że na tych gobelinach jest uwiedzenie jednoroźca, bo w końcu dostanie je moja córka. To jej się spodoba. — Spojrzała na mnie, a ja się zaczerwieniłem.

— Bardzo mi przykro, że tobie się nie spodobały, *Madame*. — Było mi rzeczywiście przykro. Myślałem, że postąpiłem sprytnie, ale mój spryt mnie zawiódł.

Genevieve de Nanterre obróciła się, raz jeszcze spoglądając na wszystkie gobeliny.

— Są bardzo piękne i to ci powinno wystarczyć. Jean jest na pewno zadowolony, nawet jeśli tego nie okazuje, a Claude będzie nimi urzeczona. Żeby ci za nie podziękować, zapraszam cię na jutrzejszy wieczór na ucztę.

— Jutrzejszy?

— Tak, z okazji świętego Walentego. Tego dnia ptaki dobierają sobie partnerów.

— Tak powiadają.

— Więc przyjdiesz? — Spojrzała na mnie, zanim się odwróciła.

Skłoniłem się jej plecom. Jedna z jej dworek zajrzała do środka, a potem ruszyła za panią gdy ta wyszła.

Zostałem sam z gobelinami. Stałem długo w komnacie, patrząc i zastanawiając się, dlaczego jest mi przy nich smutno.

*

Nigdy wcześniej nie byłem na ucztach wielmożów. Zwykle nie zaprasza się na nie malarzy. Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, dlaczego Genevieve de Nanterre mnie zaprosiła. Szybko i dużym kosztem sprawiłem sobie nowy kaftan — z czarnego atłasu z żółtym lamowaniem — i pasującą do niego czapkę. Oczyszczyłem buty i sam się wymyłem, choć woda była lodowata. Przynajmniej kiedy pojawiłem się w oświetlonym pochodniami domu przy rue du Four, lokaje nie mrugali na mój widok, traktując mnie tak, jakbym też był dobrze urodzony. W swojej izbie myślałem, że mój kaftan i czapka są eleganckie — w czym utwierdziły mnie głośne pochwały mężczyzn i kobiet z Le Coq d'Or — ale kiedy tak szedłem w stronę Sali Paradnej, pośród bogato ubranych dam i panów, poczułem się jak wieśniak.

Trzy dziewczyny krążyły między gośćmi. Najstarsza była Jeanne, siostra Claude, ta, która zaglądała do studni w dniu, kiedy poznałem Claude. Druga była do niej podobna i musiała być najmłodszą z panien Le Viste. Najmniejsza sięgała mi tylko do kolan i wcale nie wyglądała jak Le Viste'owie, choć była na swój sposób ładna, z ciemnorudymi lokami, które spływały dziko na jej szyję. Ta właśnie zaplątała się w tłumie między moimi nogami, a kiedy ją postawiłem, spojrzała na mnie złym wzrokiem spod ciężkich brwi w sposób, który wydał mi się znajomy. Uciekła jednak, zanim zdążyłem ją zapytać o imię.

W komnacie było pełno gości: grających, tańczących i fikających kozły *jongleurs*, lokajów roznoszących wino i przekąski — marynowane przepiórcze jaja, wieprzowe kotlety, przybrane suszonymi kwiatami pulpety, a nawet zwykle nieosiągalne w zimie maliny.

Jean Le Viste stał w rogu komnaty przy gobelinie z *Węchem*, w lamowanym futrem czerwonym płaszczu, pośród podobnie ubranych mężczyzn. Pewnie omawiali sprawy Króla i Dworu, którymi nigdy się nie interesowałem. Wolałem ten róg, w którym stała Genevieve de Nanterre, gdzie mogłem patrzeć na damy ubrane w brokaty, a także futra z norek, lisów i królików.

Pani domu miała na sobie prostą suknię z błękitnego jedwabiu, szare królicze futro i stała przy *A mon seul désir*.

Wszyscy podziwiali gobeliny, które dodawały komnacie ciepła i wygłuszały rozmowy, nie były jednak tak uderzające w tym głośnym towarzystwie, jak wtedy, gdy oglądałem je sam. Zrozumiałem, że bitwa, ze swoim zgiełkiem i końmi, lepiej pasowałaby do uczty. Te gobeliny powinny wisieć w komnacie przeznaczonej dla dam. Więc jednak Jean Le Viste miał rację.

Starłem się o tym nie myśleć, tylko pić tyle korzennego wina, ile mi nalewano. Początkowo stałem sam, obserwując akrobatów i tańczące damy, i jadłem pieczoną figę. Później przywołała mnie dama, którą kiedyś malowałem. Potem było mi już łatwiej rozmawiać, śmiać się i pić, jakbym był w gospodzie.

Kiedy do komnaty weszła Claude w sukni z czerwonego aksamitu, otoczona przez dworki — wraz z Beatrice — poczułem, jak ramiona same mi się rozluźniły, a ręce opadły bezwładnie. Oczywiście czekałem, aż się pojawi — nawet kiedy piłem, flirtowałem, jadłem figę czy kiedy tańczyłem galliardę z wesołą damą. Oczywiście wiedziałem, że przyjdzie. Po to tu byłem.

W komnacie było wiele osób i nie sądziłem, żeby mnie zauważyła. W każdym razie nie dała mi żadnego znaku. Była teraz chudsza i bardziej koścista. Jej oczy wciąż przypominały owoce pigwy, ale miały w sobie mniej życia. Patrzyła na swoje dworki, a nie na tańczących, albo też kierowała wzrok gdzieś dalej — być może na *millefleurs* w *Węchu* lub *Smaku*, ale nie na samą Damę.

Beatrice mnie zauważyła i śmiało skierowała na mnie swoje ciemne oczy. Ona też była chudsza. Nie pochyliła się do pani, żeby jej szepnąć na ucho, tylko patrzyła na mnie, aż skierowałem spojrzenie gdzieś w bok.

Nie próbowałem podejść do Claude. Wiedziałem, że to na nic — ktoś na pewno by mi przeszkodził, pewnie zawołaliby zarządcę, by mnie stąd wyrzucił i może jeszcze raz obił. Nie musieli mi tego mówić. Teraz zrozumiałem, dlaczego Genevieve de Nanterre mnie zaprosiła — to miała być kara dla mnie.

Wkrótce umilkła muzyka i skończyły się tańce. Trąbki dały

sygnał do rozpoczęcia uczy. Claude usiadła wraz z rodzicami i innymi wielmożami przy stole dla wielmożów — tym samym dębowym stole, z którego mierzyłem ściany. Pozostali goście zajęli miejsca przy rozstawionych na kozłach stołach tuż przy ścianach sali. Ja znalazłem się na samym końcu — na najgorszym miejscu, najdalej od Claude. Tuż za mną wisiał *Smak*. Po drugiej stronie *Wzrok* ze słodką, smutną twarzą Alienor, która dotrzymywała mi towarzystwa.

Przybył ksiądz z Saint-Germain-des-Prés, by zacząć od modlitwy. Następnie Jean Le Viste wstał i podniósł rękę. Nie owijał niczego w bawełnę, mówił prosto i jego słowa wbiły mi się mocno wprost w serce.

— Zebraliśmy się tutaj, by ogłosić zaręczyny mojej najstarszej córki i pana Geoffroya de Balzac, członka Noblesse d'Épée i *premier valet de chambre* naszego Króla. Będziemy zaszczyceni, mogąc nazwać przedstawiciela tak znamienitej rodziny naszym synem. — Wyciągnął rękę, a wówczas wstał młody człowiek z brązową brodą który siedział przy dębowym stole, i skłonił się lekko Jeanowi Le Viste i Claude, która siedziała ze wzrokiem utkwionym w stół. Genevieve de Nanterre nie spuściła głowy, tylko patrzyła na sam koniec stołu na kozłach. To kara dla ciebie, mówiły jej oczy. Spojrzałem na drewniany talerz i nagle dostrzegłem, że na chlebie są splecione litery CLV i GDB. Rzeczywiście, ptaki znajdują partnerów.

Po tym już nie słuchałem Jeana Le Viste, chociaż podnosiłem kielich wraz z innymi przy toastach, których słowa do mnie nie docierały. Kiedy znowu rozbrzmiały trąbki, wniesiono pieczone ptactwo — pawia z ogonem rozpostartym przed samicą parę bażantów ze skrzydłami ułożonymi do odlotu, dwa łabędzie splecione szyjami. Patrzyłem na nie bez przyjemności i nie sięgnąłem nożem, żeby spróbować. Moi sąsiedzi musieli mnie uznać za kiepskiego kompana.

Kiedy wniesiono odyńca przybranego złotymi liśćmi, wiedziałem, że nie zobaczę wszystkich zapowiadanych dań — całego tego pokazu, który miał trwać i trwać aż do białego rana.

Nie miałem ochoty na ucztę. Wstałem, spojrzałem po raz ostatni na gobeliny — bo wiedziałem, że nigdy więcej ich nie zobaczę

— i ruszyłem chyłkiem do drzwi. Żeby się do nich dostać, musiałem przejść koło stołu dla wielmożów. Nagle zauważyłem gwałtowny ruch. Claude opuściła rękę na stół, a jej nóż upadł na posadzkę.

— Och!—krzyknęła.

Jedna z dwerek chciała go podnieść, ale Claude powstrzymała ją ze śmiechem. Była to pierwsza oznaka radości, jaką u niej zauważyłem tego wieczoru.

— Sama go wezmę — powiedziała, dając nurka pod stół. Nie widziałem jej — biały obrus z herbem Le Viste'ow opadał aż do posadzki, kryjąc wszystko.

Odczekałem chwilę. Wyglądało na to, że nikt mnie nie zauważył. Beatrice stała za krzesłem swej pani, rozmawiając z mężczyzną, który obsługiwał Geoffroya de Balzac. Genevieve de Nanterre rozmawiała z przyszłym zięciem. Jean Le Viste spoglądał na mnie tak, jakbym był powietrzem. Już nie pamiętał, kim jestem. Kiedy zawołał przez ramię, by mu podali wino, ściągnąłem z głowy czapkę i upuściłem ją. Następnie padłem na kolana, by ją podnieść. Błyskawicznie uniosłem obrus i znalazłem się pod stołem.

Claude siedziała zwinięta w kłębek, obejmując nogi i z brodą wspartą na kolanach. Uśmiechnęła się do mnie.

— Czy zawsze masz *rendez-vous* pod stołami, *Mademoiselle*?

— spytałem, wkładając czapkę.

— Pod stołem łatwiej się schować.

— Czy tam właśnie chowałaś się cały czas, piękna? Pod stołem?

Claude przestała się uśmiechać.

— Wiedziałaś, gdzie jestem, i nie przyjechałeś po mnie. — Dotknęła policzkiem kolana, kryjąc twarz. Widziałem teraz tylko jej czerwony, zdobiony perłami stroik, który skrywał jej włosy.

— Nie miałem pojęcia, gdzie jesteś. Skąd miałbym to wiedzieć?

Claude znowu pokazała mi twarz.

— Wiedziałeś! Marie-Celeste mówiła... — Urwała i zmarszczyła brwi, jakby sama nagle nabrała wątpliwości.

— Marie-Celeste? Nie widziałem jej od tego dnia, kiedy ostatnio widziałem ciebie — gdy mnie pobito. Czy przesłałaś przez nią jakąś wiadomość?

Claude skinęła głową.

— Nigdy jej nie dostałem. Skłamała, jeśli mówiła ci, że ją przekazała.

— Och.

— Cholera z nią! Czemu kłamała? Claude oparła głowę na kolanach.

— Miała swoje powody. Nie zawsze byłam dla niej dobra. Pod stół zajrzał chart szukający resztek, a Claude zaczęła go

głaskać. Kiedy rękaw odsłonił jej nadgarstek, zauważyłem, że prawie nie ma na nim skóry, jakby ktoś drapał go pazurami. Sięgnąłem i wziąłem go łagodnie w dłoń.

— Co się stało, piękna? Czy sama to zrobiłaś? Claude cofnęła rękę.

— Czasami to jedyna rzecz, dzięki której coś czuję. *Alors* — ciągnęła, drapiąc rany — to już nie ma znaczenia. I tak byś mnie stamtąd nie uwolnił.

— Gdzie byłaś?

— W miejscu, które jest rajem dla *Maman*, a dla mnie więzieniem. Ale odkryłam, że na tym właśnie polega życie damy.

— Nie mów tak. Przecież teraz jesteś wolna. Chodź ze mną. Ucieknij od narzeczonego.

Twarz Claude rozjaśniła się na moment niczym słońce nad Sekwaną, ale im dłużej o tym myślała, tym bardziej stawała się pochmurna. Miejsce, w którym była, złamało jej ducha. Patrzyłem na to ze smutkiem.

— A co z *mon seul desir*? — spytałem delikatnie. — Zapomniałaś o tym?

Claude westchnęła.

— Nie mam już żadnych pragnień. To *desir* należało do

mamy. — Pies zaczął obwąchiwać jej podolek, a ona wzięła swoją twarz w dłonie. — Dziękuję za gobeliny — dodała, patrząc psu w oczy. — Czy ktoś ci za nie podziękował? Są piękne, chociaż kiedy je widzę, robię się smutna.

— Dlaczego, piękna? Spojrzała na mnie.

— Przypominają mi to, jaka byłam kiedyś, tak lekka, szczęśliwa i wolna. A teraz tylko ta Dama z jednorożcem na podołku mnie przypomina — jest smutna i zna życie. Wolę ją od innych.

Westchnąłem. Wyglądało na to, że wszystko mi się pomyliło.

Obrus się zmarszczył i pod stół wpełzła mała, rudowłosa dziewczynka. Odszukała psi ogon i dotarła po nim dalej. Mała nie interesowała się nami, ale gładziła tył psa, ściskając jego żebra. Zwierzę wydawało się tego nie zauważać — obgryzało teraz znalezione jagnięcą kość.

— Ale pamiętaj, że znalazłam też coś dobrego w moim więzieniu. — Claude wskazała głową dziewczynkę. — Przywiozłam ją z sobą. Nicolette, zabierz stąd psa. Beatrice znajdzie dla niego większą kość. No, idź już. — Pchnęła tył psa.

Dziewczynka i pies nie zwrócili na nią uwagi.

— Będzie jedną z moich dworek, kiedy dorośnie — dodała Claude. — Oczywiście trzeba ją będzie wyszkolić, ale ma na to dużo czasu. Jest jeszcze bardzo mała.

Spojrzałem na dziewczynkę.

— Ma na imię Nicolette?

Claude zaśmiała się tak jak kiedyś — dziewczęcym śmiechem, pełnym obietnicy.

— Zmieniłam jej imię. Nie mogliśmy przecież mieć w zakonie dwóch Claude, prawda?

Zaśmiała się, kiedy podskoczyłem tak, że aż wyrznąłem głową w stół. Spojrzałem na dziewczynkę, która była moją córką a potem na Claude, która patrzyła na mnie swoimi czystymi oczami. Na moment poczułem dawne pożądanie, które mnie do niej pchało, i wyciągnąłem rękę.

Nigdy nie dowiedziałem się, czy Claude pozwoliłaby mi się dotknąć. Raz jeszcze — podobnie jak to było ostatnio, kiedy znaleźliśmy się razem z Claude pod stołem — Beatrice wsadziła głowę do naszej kryjówki. Już taką miała rolę. Nawet się nie zdziwiła na mój widok. Cały czas nas pewnie podsłuchiwała — jak to mają w zwyczaju damy dworu.

— Twoja matka cię prosi, *Mademoiselle* — powiedziała. Na twarzy Claude pojawił się grymas, ale zaczęła się podnosić.

— *Adieu*, Nicolas — rzekła, uśmiechając się lekko. Następnie wskazała Nicolette. — Nie martw się o nią zawsze będzie przy mnie. Nieprawdaż, *ma petite*?

Wygrzebała się spod stołu, a Nicolette i pies ruszyli jej śladem.

Beatrice patrzyła na mnie.

— Mam cię — powiedziała. — To przez ciebie musiałam spędzić dziewięć miesięcy w piekle. Przez ciebie oszukiwałam. Nie wypuszczę cię teraz z rąk. — Cofnęła się i po chwili zniknęła mi z oczu.

Wciąż klęczałem pod stołem, zastanawiając się nad jej słowami. W końcu jednak ja również wypełzłem ze swojej kryjówki i wstałem. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Jean Le Viste odszedł od stołu i rozmawiał z Geoffroyem de Balzac, odwrócony do mnie tyłem. Genevieve de Nanterre stała z Claude przy drugim końcu stołu. Beatrice coś szeptała jej do ucha.

Genevieve de Nanterre spojrzała w moją stronę.

— *Bien sur!* — wykrzyknęła radośnie, wyciągając rękę i przechodząc dalej, aż znalazła się między mną a Beatrice. — Nicolasiu des Innocents, jak mogłam o tobie zapomnieć? Beatrice właśnie mi powiedziała, że zmęczyła ją służba i że wolałaby być żoną artysty. Prawda, Beatrice?

Beatrice skinęła głową.

— Oczywiście nie ja powinnam się tym zająć, gdyż Beatrice jest teraz dworką Claude. To ona musi zdecydować. Powiedz, Claude, czy możesz zwolnić Beatrice ze służby, by mogła wyjść za Nicolasa des Innocents?

Claude spojrzała na matkę, a potem na mnie. W jej oczach zalśniły łzy. Teraz ukarano nas dwoje.

— Obu z Claude będzie nam cię bardzo brakować, Beatrice — dodała Genevieve de Nanterre. — Ale moja córka zezwoli na ten ślub, prawda, Claude?

Po chwili Claude wzruszyła lekko ramionami.

— Tak, mamó. Jak sobie życzysz. — Nie patrzyła na mnie, kiedy jej matka włożyła dłoń Beatrice w moją. Wbiła wzrok w gobelin ze *Smakiem*.

A ja nie patrzyłem na gobeliny ze spoglądającymi na nas Damami ani na jedzących, pijących, śmiejących się i tańczących wielmożów. Nie musiałem patrzeć, żeby wiedzieć, że wszyscy się uśmiechają.

Epilog

Nicolas des Innocents dostał zamówienie na witraże do katedry Notre Dame w Paryżu. Miał jeszcze troje dzieci, ale żadnego z Beatrice.

Claude Le Viste i Geoffroy de Balzac nie mieli dzieci. Claude po jego śmierci w 1510 roku poślubiła Jeana de Chabannes. Z nim też nie miała dzieci. Po jej śmierci gobeliny z *Damą z jednorożcem* przeszły do rodziny jej drugiego męża.

Nicolette przez całe życie była dworką Claude Le Viste.

Philippe i Aliénor mieli jeszcze trzech chłopców. Najstarszy syn, Etienne, i najmłodszy zostali malarzami, a pozostali tkaczami.

Georges dostał jeszcze kilka zamówień na jednorożce. Nie przyjął ich. „Za dużo kłopotu” — wyjaśnił Christine.

Christine utkała mały gobelin z *millefleurs* jako spóźnioną wyprawę dla córki. Nigdy więcej nie tkła na potrzeby warsztatu.

Léon Le Vieux zmarł we własnym łóżku, z żoną i dziećmi przy boku.

Wyjaśnienia i podziękowania

Przedstawiona historia jest fikcyjna, ale oparta na uzasadnionych przypuszczeniach dotyczących gobelinów *Dama z jednorożcem*. Nie wiadomo na pewno, który z członków rodu Le Viste'ów je zamówił ani dlaczego je zrobiono, ani nawet kiedy — chociaż ubrania Dam i techniki tkackie wskazują że prawdopodobnie wykonano je pod koniec XV wieku. W tamtym czasie Jean Le Viste był jedynym mężczyzną w rodzie, który mógł korzystać z herbu. Nie wiemy też, kto zrobił te gobeliny, chociaż umiejętności i zastosowane techniki wskazują na północ, być może Brukselę, która szczyła się podówczas swoimi *mille-fleurs*.

Mimo związanych z nimi kosztów i gloryfikacji herbu Le Viste'ów gobeliny nie pozostały zbyt długo w tej rodzinie — po śmierci Claude, która nastąpiła jakiś czas przed 1544 rokiem, dostały się spadkobiercom jej drugiego męża. Do 1660 roku wisiały w chateau w Boussac w środkowej Francji. Odkrył je tam ponownie w 1841 roku Prosper Mérimée, który nadzorował zabytki. Były w złym stanie, częściowo nadgryzione przez szczury i w paru miejscach ucięte — zapewne miejscowi z sąsiednich wsi używali ich części jako obrusów lub zasłon. Wkrótce zajęła się nimi pisarka Georges Sand, pisząc o nich w swoich artykułach, powieściach oraz dzienniku. W roku 1882 rząd francuski odkupił te gobeliny do Musée de Cluny (obecnie Musée Na-

tional du Moyen Âge) w Paryżu, gdzie wiszą po dziś dzień. Odrestaurowano je i przeznaczono dla nich specjalną salę.

Staralam się być wierna temu, co wiadomo na temat gobelinów, ale w sprawach bardziej ogólnych tu i ówdzie pozwalałam sobie na dowolność, jak to się często dzieje w przypadku pisarzy. Być może największa z nich dotyczy tego, że brukselczycy mówią u mnie po francusku, chociaż prawdopodobnie posługiwali się raczej flamandzkim, zarówno między sobą, jak i w kontaktach z obcymi.

Istnieje wiele książek na temat późnośredniowiecznej/renesansowej Francji, jak i samego życia w średniowieczu. Jedną z najciekawszych to *Life on a Mediaeval Barony* Williama S. Davisa (1923). Książki, które pomogły mi w sprawach bardziej szczegółowych, to: *La Tapisserie au Moyen Age* Fabienne Joubert (2000), *Tapestry in the Renaissance: Art and Magnificence*, wydana pod redakcją Thomasa P. Campbella (2002), *The Lady and the Unicorn* Alaina Erlande-Brandenburga (1991), *The Unicorn Tapestries* Margaret B. Freeman (1976), *Medieval Tapestries in the Metropolitan Museum of Art* Adolfo Salvatore Cavallo (1993), *The Oak King, the Holly King, and the Unicorn: The Myths and Symbolism of the Unicorn Tapestries* Johna Williamsona (1986), *Sur la terre comme au ciel: Jardins d'Occident à la fin du Moyen Âge* pod redakcją Elisabeth Antoine (2002), *Le Chateau d'Arcy et ses seigneurs* A. i C.-M. Fleury (1917).

Poza tym chciałabym podziękować Elisabeth Antoine z Musee National du Moyen Âge w Paryżu; Philipowi Sandersonowi, Katharine Swailes, a zwłaszcza Caron Penney wraz z jej Pracownią Gobelinów z West Dean College w Sussex — to oni odtwarzają inny słynny gobelin z jednorożcem i mogli mi zademonstrować, jak wyglądała średniowieczna technika tkacka; Lindseyowi Youngowi; Sally Dormer; Katie Espiner, jak również Susan Watt i Carole Baron, Jenny Galler i Deborah Schneider.

Nota tłumacza

Podobnie jak Autorka stanąłem przed różnego rodzaju wyborami, dotyczącymi głównie „uwspółcześniania” tej osadzonej w historii (bo chyba nie historycznej) książki. Mam nadzieję, że większość rozwiązań tłumaczy się sama. Chciałem jednak wspomnieć o dwóch sprawach. Po pierwsze, do opisu wyrobów piętnastowiecznych *lissiers* użyłem znacznie późniejszego epo-nimu „gobeliny”, a nie słowa „tapiserie”. Wynika to z tego, że jest to nazwa częściej spotykana, również w odniesieniu do serii tkanin *Dama z jednorożcem*. Druga sprawa ma inny charakter. Otóż na potrzeby powieści musiałem zamienić w cytatach z Biblii (Piąta Księga Mojżeszowa 33,17 i Księga Psalmów 92,11) wołu na jednorożca. Takie bowiem tłumaczenie znajduje się we współczesnych wersjach Starego Testamentu, chociaż np. King James Bibie wydana w Anglii w 1611 roku i ponownie opracowana w latach 1881-1885 mówi: „*his horns are like the horns of unicorns*” (Deut. 34,17). Z powodu tej zmiany nie podaję źródła bezpośrednio przy cytatach, ale translatorska uczciwość nakazuje wspomnieć, że posłużyłem się przekładem Biblii wydanym przez Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne z 1976 roku.